This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

SZUBRAWCY

I

MARYAN GAWALEWICZ

SZUBRAWCY

POWIEŚĆ

TOM I

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1896

GUBRYNOWICZ i SCHMIDT
we LWOWIE
Księgarnia i Skład nut.

PG7158
G38S9
v.1

Дозволено Цензурою.
Варшава 5 Іюля 1895 г.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Czesławowi Jankowskiemu

dobremu przyjacielowi

na pamiątkę

Autor

I.

W Omylinie od trzech dni robiono na gwałt porządki; przewietrzano cały dwór, trzepano meble, froterowano posadzki, okurzano wszystkie kąty.

Służba od rana do wieczora kręciła się po pokojach ze szczotkami, miotełkami, ścierkami i gąbkami w ręku.

W niedzielę Krokowscy mieli powrócić z zagranicy.

We środę przyszedł jeden telegram z Berlina, we czwartek drugi z Aleksandrowa, w sobotę trzeci z Warszawy z wiadomością, że wracają i z poleceniami co do przygotowań na ich przyjęcie.

Krysiewicz głową kręcił, wąsy swoim zwyczajem zagryzał z jednej strony, co u niego znaczyło zakłopotanie; zwykle małomówny, teraz milczał, jak zaklęty i odpowiadał piąte przez dziesiąte na zapytania służby:

— Czy jaśnie pani gorzej się zrobiło, czy co?... przecie mieli wracać aż na październik, a tu się wrzesień jeszcze nie skończył.

Rządca brwi chmurzył tylko i z rękoma w kieszeniach, w słomkowym kapeluszu na głowie chodził z pokoju do pokoju, robiąc przegląd pańskich apartamentów, nagląc służbę do pośpiechu.

— Antoni, zwijaj-no ty się prędzej!... guzdrzesz się, jak mucha w mazi. Drugi dzień z temi szybami nie możecie sobie dać rady. Fruziowa chce dziś firanki zakładać; kiedy to wszystko będzie gotowe?!... Wstyd!... może mam ja wam pomagać?...

Stary lokaj i chłopak kredensowy uwijali się w salonie, ustawiając meble; kilka dziewcząt folwarcznych umywało drzwi i okna, w których szyby kredą pomazane czekały oczyszczenia bibułą i ścierką.

Na dworze był upał, słońce przypiekało, jakby je w piekielnych czeluściach rozżarzono.

Na widok rządcy, wszystkie ręce zajęte robotą, przyspieszały ruch; dziewki uznojone czoła i nosy ocierały rękawami koszuli. W powietrzu unosił się zapach mydła, kredy, terpentyny, potu ludzkiego, z którym od czasu do czasu mieszała się woń rozkwitych róż sztamowych, sadzonych długim rzędem pod oknami dworu od strony parku i kwiatów w starannie utrzymanych gazonach.

Chlupotanie wody z wyżymanych ścierek nad miską, skrzyp bibuły o szkło, stukanie młotków i wbijanych gwoździ w ścianę, łoskot przesuwanych mebli i urywane słowa służących, klnących „psiakrew, gorąco“ i robotę, mąciły spokój południowej pory, w której zdawała się omdlewać cała

natura pod wrażeniem słonecznych pocałunków z jasnego nieba.

Krysiewicz w płóciennym kitlu, bez kamizelki, bez krawata pod wyłożonym kołnierzykiem, wachlując się kapeluszem, stawał od czasu do czasu w otwartem oknie dla nabrania świeższego powietrza i zapuszczał wzrok w dal na rozległe pola, ciągnące się po płaskim gruncie aż ku krańcom widnokręgu, ku któremu jak strzelił ciągnęła się w prostej linii szosa, wysadzana topolami.

Twarz jego miała wyraz markotny.

Stawał, zamyślał się, oczy zmrużał i zdawał się wyglądać kogoś lub czegoś z owej dali.

Raz nawet westchnął głęboko, wyjął z kieszeni na piersiach złożony we czworo list, rozwinął go i przebiegał oczyma po raz dziesiąty zapewne.

„A niech pan dopilnuje, mój panie Krysiewicz — czytał — żebyśmy wszystko zastali w porządku. Pokoje żony zwłaszcza dobrze przewietrzyć; story i firanki kazać pospuszczać, aby był cień, bo na ten upał ciężkoby było wytrzymać przy otwartych oknach. Świeżych kwiatów nie trzeba wnosić do pokoju żony, aby zapach jej nie drażnił. Ona teraz nie znosi żadnych aromatów.

„Mój panie Krysiewicz, polegam na pańskiem poczciwem sercu, że wszystkie moje dyspozycye wykonasz co do słowa.

„Na stacyę trzeba będzie wysłać lando i powóz, ten nowy, oprócz furmanki pod kufry. Co lepiej

niesie, jak pan uważa?... żeby jak najmniej trzęsło, bo żonie doktorzy zalecili największą wygodę w podróży. Najlepiejby było przenieść ją na rękach w lektyce, gdyby się dało.

„Poślij pan w sobotę konie po doktora Pniaka; niech nocuje w Omylinie, abyśmy go już zastali za przyjazdem.

„Z panem plenipotentem zobaczę się w Warszawie, skąd zapewne razem wracać będziemy, tylko, że my krok za krokiem, a on nas będzie mógł wyprzedzić o kilka godzin, więc gdyby co było potrzeba jeszcze, to już przez niego będzie pan uwiadomiony.

„W niedzielę rano niech ksiądz Jarzymowicz odprawi wotywę na intencyę szczęśliwego powrotu naszego i pomódlcie się tam wszyscy za moją biedaczkę i za mnie, żeby mi Bóg dozwolił znieść to ciężkie zmartwienie, którem doświadcza".

Krysiewiczowi wąsy i brwi drżeć zaczęły, wyraz wzruszenia malował się na jego ogorzałej, pomiętej, z fałdów i zmarszczek ułożonej twarzy.

Westchnął jeszcze raz, dłonią przetarł wyłysiałe czoło i odchrząknął, jakby mu łzy połknięte w gardle stanęły.

Pokiwał głową i odszedł od okna.

Z dziedzińca dał się słyszeć dzwonek na południe, a za chwilę duży zegar w rzeźbionej szafie, stojący w jednym rogu pokoju stołowego, wybił powoli godzinę dwunastą, na co mu odpowiedział

zaraz srebrny głosik bronzowego zegara na kominku w salonie i trzeci, warczący, ochrypnięty jakiś i jakby zardzewiały od starości w kancelaryi samego dziedzica.

Przechodząc przez salon, stary rządca zatrzymał się na chwilę i powiódł okiem wokoło, jakby się chciał przekonać, czy wszystko znajduje się tu na swojem miejscu.

Pod ścianami stały ciężkie, adamaszkiem kryte meble, oszklone serwantki, staroświeckie szafki inkrustowane, stoliki z mozajką, ozdobne sepeciki na nich, marmurowe słupy z wazonami alabastrowymi lub ze starej saskiej porcelany; na kominku bronzowe świeczniki z wisiorkami kryształowymi, od sufitu zwieszał się przepięknej roboty pająk w organtynowym pokrowcu, na ścianach błyszczały obrazy w złoconych ramach, lustra na konsolach, u drzwi zwieszały się ciężkie portyery podbijane atłasem, podpinane grubymi sznurami i chwastami z jedwabiu.

Kilka portretów, bardzo dobrego pendzla, wisiało nad kanapą, a z nich, jakby żywe, spoglądały twarze mężczyzn w perukach, wygolonych, w wysokich halsztukach białych, we frakach haftowanych, dam dekoltowanych, we fryzurach pudrowanych, w gazach i jedwabiach elegantek zeszłowiecznych.

Nad kominkiem dużych rozmiarów zwracał uwagę portret kobiecy, prawie naturalnej wielkości; na tle

wspaniałej makaty jasnego koloru rysowała się postać czterdziestoletniej brunetki, w czarnej, aksamitnej sukni z koronkowym kołnierzem, z obnażonemi po łokcie rękoma, z rękawiczkami i wachlarzem w pulchnych, białych, kształtnych rękach.

Przed laty kilkunastu, kiedy ten portret malował jeden z najlepszych artystów francuskich, zachwycano się nim w Paryżu, gdzie Krokowscy wówczas właśnie zimę spędzali; pani Balbina uważała wszelako, że jej malarz nadał trochę więcej tuszy i uczynił ją tęższą, niż była w rzeczywistości.

Znajomi zaś utrzymywali przeciwnie, że uczynił ją nawet szczuplejszą.

Wysoka, rozrosła, zbudowana jak karyatyda, od najwcześniejszych lat okazywała skłonność do otyłości i należała do tych okazowych kobiet, które imponują odrazu swoją fizyognomią.

Z latami przybywało jej jeszcze okazałości i tuszy, chociaż starała się powstrzymywać tę wybujałość wspaniałych kształtów wszelkimi sposobami.

Krokowska była z rodu Orszanką, herbu Tur, a Orszowie wszyscy odznaczali się taką tężyzną fizyczną i nie darmo tura dźwigali w herbie; mężczyźni mieli wzrost i kształty cyklopów, kobiety bywały majestatyczne.

Z wiekiem zaokrąglali się w coraz większe bryły i chorowali na nadmiar sił żywotnych.

Wada sercowa była w ich rodzinie dziedziczną.

Wiedzieli przynajmniej z góry, jaką śmiercią przyjdzie im schodzić z tego świata.

Krysiewicz, który trzydzieści lat przeszło od praktykanta sługiwał w majątkach Orszów i Krokowskich, pamiętał panią Balbinę, dzisiejszą swoją dziedziczkę, jeszcze z czasów panieńskich.

Patrząc też na jej portret teraz w salonie, przypominał sobie owe odległe czasy i rozmaite momenta tak długiej przeszłości; miał ją przecie na oczach, kiedy pierwszy raz wychodziła za mąż za Omylińskiego.

Dobrana była z nich para na pozór, ale szczęścia sobie nie dali.

Stary rządca westchnął głęboko, gdy sobie przypomniał pierwszego męża swej pani.

Przecież to tu, w tym samym parku, w jakieś dwa lata po ślubie, znaleziono go bez życia przy mostku, na samym brzegu rzeczki, przepływającej ogród.

Zastrzelił się nad wodą, z tym zamiarem zapewne, aby ciało spadło do rzeki i aby go tak rychło nie odszukano.

O tem samobójstwie różnie ludzie opowiadali...

Prawdziwy powód jednak pozostał tajemnicą; utrzymywano, że nieboszczyk cierpiał na melancholię i w łeb sobie palnął bez wszelkiej przyczyny.

Młoda wdowa kilka lat nosiła żałobę, aż nareszcie zdjęła ją na parę miesięcy przed zaślubieniem drugiego męża.

To powtórne małżeństwo także wydawało się ludziom zagadką; nie umieli sobie jej wytłumaczyć.

Janusz Krokowski był wprawdzie człowiekiem młodym jeszcze i przystojnym, należał do bardzo dobrej i znacznej rodziny, dosyć był nawet zamożnym, ale był niemową; podobno w dzieciństwie upuściła go niezręczna niańka na ziemię i od tego fatalnego wypadku zaniemówił zupełnie.

Oprócz tego jednego braku, posiadać miał wiele zalet charakteru, umysłu i usposobienia; ograniczony tylko do towarzystwa osób najbliższych, najzaufańszych, nie udzielał się prawie zupełnie, nie bywał nigdzie, zajęty jedynie lekturą i muzyką, którą uprawiał namiętnie.

Zastępowała mu ona z konieczności wszystkie inne rozkosze i przyjemności życia, z których korzystanie utrudniało mu jego smutne kalectwo.

Dobry, uprzejmy, niezmiernie ugrzeczniony i wdzięczny za każdy objaw współczucia dla siebie, łączył żywość temperamentu z wielką delikatnością serca i wytwornością natury o artystycznych instynktach.

Nizki, wątły z pozoru, drobnych kształtów, ale zgrabny i ożywiony w ruchach, stanowił pod względem powierzchowności zupełny kontrast z żoną, obok której wyglądał, jak „beduin przy piramidzie“, według złośliwego wyrażenia jednego z odpalonych konkurentów pani Omylińskiej.

W twarzy szczupłej, śniadej, o rysach wyrazistych, malowała się wielka dobroć i inteligencya;

w oczach ciemnych paliły się chwilami błyski dziwnego ognia, który musiał mu gorzeć w duszy, chociaż na ustach miewał prawie zawsze ten smętny jakiś uśmiech, spotykany tak często u oniemiałych.

Z Omylińską był w dalekiem kuzynostwie i to ich zbliżyło do siebie.

Pomimo wszelkich pozornych przeciwności, małżeństwo ich uchodziło za bardzo szczęśliwe i wyjątkowo przykładne; kochali się i godzili ze sobą, jak najdobrańsze stadło, któremu do zupełnego zadowolenia brakowało tylko potomstwa.

Związek ich pozostał bezdzietnym.

Dwadzieścia kilka lat przeżyli z sobą we wzorowej harmonii, pomimo złowróżbnych głosów i sceptycznych przewidywań — zadając kłam wszystkim złym językom, które sobie pozwalały podrwiwać z takiego małżeństwa i utrzymywały, że Krokowska będzie nosiła męża w medalionie, żeby się jej nie zgubił kiedy po drodze.

I wszystko było jak najlepiej, dopóki w ostatnich latach pani Januszowa nie zaczęła coraz częściej zapadać na zdrowiu; badali ją i leczyli najsłynniejsi specyaliści w kraju, zasięgała porady w Paryżu i Berlinie, szukała ratunku u wód za granicą, prowadziła kuracyę bardzo ścisłą i życie jak najregularniejsze — mimo to rodowa fatalność Orszów nie dała stę niczem zakląć i usunąć.

— Stłuszczenie serca! — orzekała jednogłośna dyagnoza wszystkich powag lekarskich.

Pukano, słuchano, badano na rozmaite sposoby ten nieszczęsny organ, który, jak rdzewiejąca sprężyna w zegarze, wydawał charakterystyczne skrzypienia i szmery, zapowiadające prędzej, czy później nieuchronną katastrofę.

Stan chorej nie polepszał się, pomimo wszelkich starań i środków.

Lekarze zacinali usta, kiwali głowami, skubali brodę, marszczyli czoła i brwi w głębokiem zamyśleniu i powiadali:

— Spróbujemy jeszcze tego lub tego, może się uda!...

Nie udawało się jednak nic więcej; natura szydziła z usiłowań nauki i wystawiała medycynę na same zawody i bezskuteczne próby.

Krokowska sama przestała się łudzić nadzieją wyzdrowienia; wiedziała już, co ją czeka.

Ostatni wyjazd do wód za granicą rozczarował ją w tym względzie zupełnie, wymogła na mężu, by przyspieszyli powrót do domu; chciała przynajmniej zamknąć oczy u siebie i nie umierać wśród obcych.

— Ja się najlepiej czuję w Omylinie — zapewniała swego Januszka — tam mi się poprawi, zobaczysz!... Pniak się będzie mną opiekował, ja jemu najwięcej ufam z nich wszystkich.

Nie pomogły perswazye, prośby, namowy; nie

chciała nawet słuchać, aby do końca sezonu pozostać w Nauheim.

Musiano uczynić zadość jej woli, by nie rozdrażniać i nie pogarszać jej stanu.

— Odwieźcie mnie do domu, odwieźcie jak najprędzej! — prosiła się i nalegała, jakby w przeczuciu i obawie, by katastrofa nie zaskoczyła jej w drodze, przed powrotem do Omylina.

Z tych powodów też przyspieszano tak gorączkowo przygotowania na powrót państwa z zagranicy, a służba w omylińskim dworze, pod dozorem Krysiewicza, krzątała się od świtu do nocy, by na oznaczony dzień wszystko było we wzorowym porządku.

Doktor Pniak, gdy mu przed dwoma dniami rządca przywiózł wiadomość o powrocie Krokowskiej i zapytał, coby to znaczyć miało, że tak naglą o pośpiech i skracają pobyt na kuracyi, z zafrasowaną miną mruknął tylko:

— Niedobrze!

— Źle? — zagadnął Krysiewicz młodego lekarza, patrząc mu badawczo w oczy.

— Niedobrze! — powtórzył i głowę zwiesił zachmurzony.

— Niema ratunku?...

— Żadnego.

Nie rozmawiali więcej.

Krysiewicz odjechał do domu przybity; wiedział już, że straci dziedziczkę, której służył wiernie

i przywiązanie lat tyle i zawdzięczał dużo dobrego w życiu. Łzy mu się kręciły pod powieką, gdy myślał o tem, że może żywej już nie powita w progach tego dworu i tylko trumnę jej będzie mógł ucałować, kiedy ją przywiozą do pochowania na omylińskim cmentarzu.

Stał też w tej chwili przed jej portretem z najlepszych czasów, gdy była w pełni sił, zdrowia, krasy i rozkwitu życia, wpatrywał się w nią wilgotnemi oczyma i serce mu się ściskało z żalu.

— Ot, życie ludzkie! — mruknął i ręką machnął w powietrzu, jakby chciał powiedzieć, że ono i funta kłaków nie warte.

Ciężko mu było pogodzić się z myślą, że niema ratunku dla takiej wielkiej pani, która mogłaby przecież na wagę złota okupić sobie każdą godzinę i że tak samo umierać musi, jak umierała jego biedna żona przed czternastu laty, tam, na folwarku w Krasinie, gdzie rezydował i owdowiał, tak samo, jak teraz pewnie owdowieje jego dziedzic.

Dużo mu przyjdzie z tego majątku i z tych pieniędzy, i z tego wspaniałego dworu i z tych wspaniałych mebli złoconych, luster, obrazów, firanek, świecideł!...

— Ot, życie ludzkie!...

Smutek robił ze starego rządcy jeszcze większego pesymistę i mruka, niż był nim od czasu swego wdowieństwa.

Zamiast na obiad do siebie, poszedł na probo-

stwo zamówić wotywę na intencyę szczęśliwego powrotu dziedziczki i opowiedzieć księdzu, na co się zanosi z dopuszczenia Bożego, a po drodze myślał:

— Potrzebna też to taka spieka teraz właśnie?... nie mogłoby to być pochmurno?... Na taki upał będą biedaczkę wieźli chorą, zmęczoną, życia niepewną!... Człowiekowi zdrowemu oddychać trudno, a nie dopiero takiej męczennicy. Także się z nią wybrali!...

Na niebie ani jedna chmurka nie fałdowała błękitu: pogoda była o tej porze nawet wyjątkową; jutrzejszy dzień zapowiadał się równie upalny.

Do późnego wieczora trwały przygotowania we dworze, ale jakoś szczęśliwie, pomimo pośpiechu, doprowadzono wszystko do ładu i, oprócz paru szyb wygniecionych przy wycieraniu, obyło się bez ważniejszej jakiejś szkody.

O świcie, stosownie do dyspozycyi dziedzica, lando, powóz i furmanka na rzeczy wyruszyły na stacyę.

Krysiewicz sam się chciał wybrać po jaśnie państwa, ale się rozmyślił; wygolony, ostrzyżony, ubrany odświętnie, obejrzawszy jeszcze wszystkie kąty, poszedł z całą służbą dworską do kościoła i na klęczkach modlił się przez całą wotywę.

A o tym samym czasie, gdy w kościółku wiejskim za zdrowie i zachowanie chorej dziedziczki płynęły słowa modlitwy, prostej ale szczerej i gorącej do Pana Zastępów — po gościńcu, wiodącym

prawie prostopadle do kolejowego toru, toczyło się zwolna i ostrożnie wygodne lando, w którem ona sama w towarzystwie męża i panny służącej wracała do Omylina.

Wysłano jej siedzenie, poobtykano wydętemi poduszkami, podniesiono do połowy budę, aby ją od kurzu i słońca choć trochę osłonić, podsunięto pod opuchnięte stopy podnóżek i ruszono w drogę ze stacyi.

Naprzeciw siedział Krokowski w żółtym garniturze z chińskiego jedwabiu, w kapeluszu ryżowym, z torebką podróżną przez ramię i oka nie spuszczał z żony.

Obok niego zajęła miejsce panna Anastazya, skromne, potulne, ciche jakieś stworzenie, w popielatej sukience z białym, wyłożonym kołnierzykiem, w czarnym grzybku z woalką zieloną na głowie, gładko uczesanej, w mitynkach nicianych na chudych rękach, które trzymały mnóstwo drobiazgów, w każdej chwili potrzebnych dla chorej — istne wcielenie posłuszeństwa, poświęcenia i troskliwości w osobie starej panny z fizyognomią rezydentki dawnego stylu.

Krokowska siedziała oparta o poduszki, z omdlewającym wyrazem znużenia i cierpienia na twarzy, niegdyś pięknej i pełnej życia, a dzisiaj apatycznej, zmienionej chorobą do niepoznania; oczy miała przymknięte, a usta wpół otwarte, z dolną wargą nieco obwisłą i lekko wydętą, z poza której widać było

szereg białych jeszcze, równych i zdrowych zębów, zaciskanych chwilami, jakby z bólu.

Pojazd toczył się powoli, krok za krokiem nieledwie, po drodze, przy dniu świątecznym niezbyt zajętej przez furmanki przejezdnych.

Ilekroć, pomimo wszelkiej ostrożności stangreta, koło zawadziło o kamień na gościńcu, lub turkot wymijającej bryczki albo wozu głośniej dawał się słyszeć, chora podnosiła powieki i wyraz bolesny zwiększał się około ust, ale w tej samej chwili spotkawszy troskliwe i niespokojne spojrzenie mężowskich oczu, starała się powściągnąć i przemódz; blady, sztuczny, wysilony uśmiech poruszał jej wargi, szepczące łagodnie i dobrotliwie:

— Nic... nic!... nie bój się!...

On wtedy pochylał się do jej kolan i delikatnie, lekko, ostrożnie całował jej ręce, jakby w podziękowaniu za to zapewnienie i za tę odpowiedź, którą dawała jego pytającym oczom.

Niekiedy brał z rąk panny Anastazyi duży wachlarz i uważnie, cicho, aby nawet szelestem jedwabiu nie podrażnić nerwów chorej, wachlował na twarz żonie ożywcze powietrze, wpatrując się w nią troskliwie, nieustannie, jakby odgadnąć chciał każdą myśl w tej znużonej głowie i kontrolować każde drgnienie serca.

Otwierała oczy na chwilę, uśmiechała się znowu do niego i wymawiała jedno słowo:

— Dziękuję...

Jemu zaś wtedy na wilgotnych rzęsach zwieszała się łza rozczulenia, ale palec kładąc sobie na ustach, niemem spojrzeniem błagać się zdawał:

— Nie mów, nie mów nic!...

Raz po raz spoglądał niecierpliwie na zegarek, aby się przekonać, czy ten żółw czasu lezie tak powoli i ociężale, jak gdyby miał ustać w drodze i jakby nigdy nie mieli dojechać do tego Omylina.

Godzina jedenasta była zaledwie, a powietrze, nie wystygłe jeszcze po wczorajszej spiekocie, nowym się warem słonecznym napełniało; dzień zapowiadał się jeszcze bardziej upalny.

Krokowski, jakby z wyrzutem, patrzał w nielitościwe niebo i ku słońcu rzucał spojrzenia bojaźliwe niemal, tak go przerażeniem, trwogą, niepokojem przejmowało zbliżające się południe.

Składał ręce z jakąś bolesną rezygnacyą i chwilami zdawał się zapominać nawet o chorej żonie; myśli jego odlatywały wtedy aż pod samo niebo, skarżyć się Bogu i błagać Go, aby obłokiem kazał nakryć złotą paszczę tego Molocha, ziejącą żarem na ziemię i na jego chorą biedaczkę, której płytki, krótki oddech świadczył o coraz większem osłabieniu.

Ilekroć przejeżdżali koło przydrożnych karczem lub domostw, ludzie ze zdziwieniem spoglądali na ów podróżny powóz, wlokący się gościńcem i ze współczuciem zmieszanem z ciekawością zwracali oczy na państwo z Omylina; niektórzy w milczeniu

odsłaniali głowy i przystawali w miejscu, jakby nie pojazd z żywymi ludźmi, ale karawan z nieboszczykiem przejeżdżał.

Kundle wiejskie, ujadające i pędzące za każdym wozem po drodze, aby go psim zwyczajem powitać i pożegnać wymyślaniem, instynktem chyba wiedzione, pomrukiwały tylko i ze zdziwieniem, przekrzywiając łby, patrzały na lando Krokowskich.

Panna Anastazya miała w pogotowiu bułkę, którą w razie potrzeby łagodziła humor wiejskich Cerberów, rzucając im po kawałku ze słowami:

— Masz, Brysiu, masz!... a bądź grzeczny, cicho bądź!...

Spory kawał drogi, na szczęście, przerzynał las; wjechali w cień i zboczyli z gościńca na piaski, po których ciężej było koniom ciągnąć, ale koła toczyły się równiej, pojazd prawie nie podskoczył ani razu — chora mogła spokojnie drzemać.

Krokowski pocichutku uniósł się na siedzeniu i pogłaskał z wdzięcznością stangreta po plecach, jak gdyby mu wyrazić chciał swoje uznanie za ostrożną i równą jazdę, a jednocześnie dał mu znać na migi, by konie zatrzymał.

Miejsce było cieniste, chłód przyjemny łagodził spiekę południa, balsamiczny zapach zawiewał od sosen i świerków.

Cisza głęboka, senna, rozlaną była w naturze; od czasu do czasu tylko brzęknęły sprzączki, skrzypnęły rzemienie uprzęży, poruszane łbami koni,

opędzających się od dokuczliwych much, zaświergotał ptak na gałęzi lub zdala od gościńca dobiegło zgłuszone echo turkotu.

Krokowska zdawała się lżej oddychać i uspokajać.

Twarz jej łagodniejszy przybrała wyraz; z głową, przechyloną nieco na ramię, zasypiała snem głębokim, w jaki zapadają ludzie znużeni długim wysiłkiem.

Panna Anastazya z jednej, Krokowski z drugiej strony czuwali, aby tego błogiego snu nie przerwała jej nawet muszka swoim brzękiem.

Minuty upływały, wypoczynek chorej się przedłużał...

Z głową opartą na dłoni, nieruchomy prawie, jakby się obawiał spłoszyć sen swojej biedaczki, siedział biedny niemowa na swojem miejscu i czekał.

Stara panna zadumała się smutnie; stangret, jak automat nieporuszony, czekał na kozle rozkazu, ażeby w dalszą puścić się drogę.

Trzy kwadranse upłynęły w ten sposób.

Chora spała ciągle w niezmienionej pozycyi; chwilami zdawało się, że nie oddycha wcale i że z tego ciężkiego snu nie obudzi się już nigdy.

Krokowskiego oczy zaczęły się niepokoić; próbował nachylić się ku żonie, wytężał słuch, jakby usłyszeć chciał tętno jej serca, zlekka zbliżał swą dłoń do jej ręki, trzymanej na kolanach, ale onie-

śmielała go myśl, że najlżejsze dotknięcie, najmniejszy szelest mógłby ją zbudzić.

Cofał się i zatrzymywał, a jednocześnie znać było, że go ten wypoczynek, tak długi, nabawia jakiejś trwogi.

Dotknął ramienia panny Anastazyi i niemym ruchem głowy wskazał na żonę, jakby pytał:

— Co to jest?... jak się pani zdaje?... Czy to sen tak głęboki, czy co innego?

Panna Anastazya miała minę zakłopotaną; nie wiedziała, co poradzić, co zrobić.

Oboje siedzieli znowu jakiś czas, czekali jeszcze.

Krokowski na zegarek spojrzał; dochodziła dwunasta. Trzy długie godziny upłynęły im już w drodze, a do domu mieli jeszcze wiorst kilkanaście i to w największy upał, w warunkach najuciążliwszych.

Pokazał zegarek swojej sąsiadce, jakby pytał:

— Co począć?... jechać, czy stać?... południe już...

Stara panna westchnęła, spojrzała na niebo i za całą odpowiedź otarła sobie uznojone czoło; usta jej poruszyły się tylko bez głosu.

Bała się wyrazić swoje zdanie.

Twarz Krokowskiego oblekała się coraz głębszym smutkiem, który chwilami przybierał wyraz niewymownego zgnębienia i rezygnacyi.

Milcząca, nieruchoma, ponura niemal fizyognomia

śpiącej żony nasuwała mu myśli straszne, rozpaczliwe.

W ostatnich czasach zbyt często nasłuchać się musiał o niebezpieczeństwie, jakie jej groziło, o katastrofie, której przed nim nie tajono, aby był przygotowany na przewidywaną ewentualność, o tem, że żadna siła ludzka nic tutaj już nie pomoże i że wszystko tylko w ręku Boga.

Mówiono mu:

— Wypadek bardzo ciężki!... stan groźny. Choroba uparta postępuje; może się zatrzymać w pewnem stadyum, ale cofnąć zupełnie — już nie.

Podczas ostatniego konsylium w Berlinie siedział, jak na torturach, wyczekując wyroku z ust lekarzy, których aż pięciu, samych specyalistów, wezwał do porady. Trzech nie robiło żadnej nadziei; czwarty wspomniał coś o podobnym wypadku, który mu się wyleczyć udało, w gorszych nawet warunkach, tylko, że pacyent nabawił się zapalenia płuc przez własną nieostrożność i umarł; ostatni łysy i wygolony staruszek, z poczciwą jakąś i jowialną twarzą, na odchodnem ujął go za obie ręce, widząc, jak straszne cierpienia zadali mu jego koledzy i ze współczuciem rzekł:

— A ja panu powiem, że pańskiej żony nie podjąłbym się wprawdzie wyleczyć, ale całkiem tracić wiarę w żywotność organizmu i cudowną siłę natury — nie należy nigdy!... Jak mnie pan widzisz, od ośmnastu lat choruję także na serce i noszę

wyrok na siebie podpisany przez samych znawców, których kompetencyi nie śmiałbym zaprzeczyć, a jednak żyję jeszcze i, niestety, przeżyłem wielu moich własnych pacyentów w tym okresie czasu.

Uśmiechnął się przyjaźnie, pokiwał głową i uścisnąwszy mu serdecznie rękę, dodał:

— Życie, drogi panie, jest bardziej łykowate, niż się to nam wydaje, dlatego radzę nie zwieszać głowy i zaufać do ostatniej chwili naturze!...

Słowa te ożywiły znowu zdrętwiałe serce Krokowskiego; powtarzał je dla dodania sobie otuchy i czuł niewymowną wdzięczność dla starego medyka, że mu nawiązał w sercu chociaż tę ostatnią, wątłą, pajęczą nitkę nadziei, bez której czułby się był zupełnie złamanym i zgnębionym na duchu.

Z początku te bóle i strapienia działały na niego, jak powódź, zapowiadająca się groźnie, ale jeszcze zdaleka; przeraził się przewidywaną klęską i chciał bronić wszystkiego, co mógł utracić.

Mówił sobie:

— Nie, to niepodobna!... oni się mylą, im się tylko tak zdaje. Przesadzają, straszą!... gdzieżby to mogło być aż tak źle?! Oni mi ją muszą wyleczyć, nie ci, to inni; przecież doktorów nie brak na świecie! Co oni gadają, że to wypadek ciężki, że nie można się spodziewać zupełnego wyzdrowienia!... Spróbujemy.

Ale im bardziej niebezpieczeństwo się zwiększało, im bardziej stan chorej się pogarszał, tem większe

musiał robić ustępstwa ze swych wymagań i swoich nadziei, tem więcej się wyrzekał, byle tylko uratować, jak w powodzi, choćby to jedno pole, choćby jednę skibę, jeden skrawek, jednę piędź ziemi na ostatku.

Już nie marzył o tem i nie pragnął zupełnego wyleczenia żony, przedłużenia jej życia na lata, na miesiące, ale na tygodnie, na dnie, na godziny choćby, jak w tej chwili, na owym postoju w lesie, gdy mu się zakradły do serca straszne przeczucia i gryźć je zaczęły przypuszczeniem:

— A jeśli... jeśli to nie sen?...

I między tą straszną niepewnością a obawą przerwania chorej tego wypoczynku, który mógł być dla niej dobrodziejstwem; między tą trwogą a delikatnością kochającego serca, wahał się z męczarnią okrutną w duszy i nie umiał się na nic stanowczego zdecydować.

Załamał ręce, oczy przymknął i wpadł przez chwilę w stan bolesnej kontemplacyi.

Przez tę nieszczęsną zaporę kalectwa, które go od świata odgradzało, nie mogąc z ludźmi dzielić się swemi myślami, nie mogąc uczuć swoich wyrazić i ulżyć sercu, tak ciężko strapionemu, wybiegał duchem do jedynego Pocieszyciela, który go rozumiał bez słów, który w myślach i w sercu ludzkiem czyta, jak w księdze otwartej, z którym rozmowa była dlań najłatwiejszą i największą przynieść mogła pociechę.

Niemowa rozmawiał z Bogiem — językiem duszy, słowami modlitwy.

— Boże! — żalił się w ciężkiem strapieniu swojem — przecież to nie może być, abyś tej biednej męczennicy mojej nie dozwolił wrócić żywej jeszcze do domu, abyś ją powoływał do Siebie bez ostatniej pociechy, abyś tej łaski jej odmawiał, o którą Cię prosiła tak gorąco dziś jeszcze: „Pozwól mi, Panie, dojechać przynajmniej do Omylina!“... Dlaczego miałbyś tego nie uczynić?... Toż to ostatnia jej prośba, ostatnie jej życzenie... Zmiłuj się Boże nad nami!... Przecież tak, bez pożegnania, bez spojrzenia przynajmniej, bez uścisku ręki nie możesz mi jej zabrać; ja i tak, i tak zostanę bez niej już na resztę życia, jak rozbitek... Czyż ja mam jaką drugą duszę równie mi życzliwą, czyż ja mam kogo więcej oprócz niej?... Dwadzieścia lat pozwoliłeś nam przeżyć ze sobą, dwadzieścia lat!... a teraz ją zabierasz, a mnie zostawiasz. Zabierz nas chociaż razem, jak razem żyliśmy z sobą!... To przecież nie żona tylko, ale przyjaciel, rodzina moja, świat mój cały był w niej, a bez niej, co?... Pustka!... Ja nie chcę, ja nie mogę, nie potrafię żyć sam, opuszczony, odcięty od wszystkiego!... Wysłuchaj Ty, Boże mój, prośby, skargi, głosu mojego!...

Słowa modlitwy mieszały się mu z myślami o nieszczęściu, jakiego się obawiał, o losie, który go czekał; gdyby w tej chwili cudem jakim głos był

odzyskał, pierwsze słowo, jakieby mu z ust się wydarło, byłoby błaganiem:

— Boże, łaski!...

W tej pietycznej zadumie pogrążał się coraz bardziej, nie śmiejąc oczu otworzyć, jak gdyby obawiał się blasku dnia jasnego i widoku tej cichej, nieruchomej, milczącej twarzy, na której straszna dla niego malowała się zagadka: sen, czy śmierć?...

Nagle, jak objawienie jakie, przyszła mu myśl do głowy, że mógłby, że powinienby votum jakie uczynić na intencyę wyzdrowienia żony; przecież mu ludzie mówili, iż tylko cudu należy się spodziewać, że tylko Bóg jeden mógłby ją uratować; powtarzali to tak często, a on słuchał i nie dorozumiewał się, że to może nie przypadkowe były tylko słowa, ale wskazówka z jakiegoś wyższego natchnienia.

Tyle środków ludzkiej wiedzy i mocy zużyto nadaremnie do tej pory; a u Boga nie próbowano wyprosić niczego?... Kto to wie, czy Bóg umyślnie tak nie doświadczał ich, nie skierowywał ku sobie, nie naprowadzał na drogę ofiary.

Cud!... a przecież i cuda były: umarli z grobu wstawali, konający wracali do życia przez wiarę i ofiarę.

Wiary mu nigdy nie brakło, religijne usposobienie zachowało się w nim od dzieciństwa; całe życie należał do wierzących, do gorliwych nawet, nabożny był i dzisiaj — z szóstym krzyżykiem na bar-

kach — rano i wieczorem klękając przykładnie do pacierzy, jak za owych lat chłopięcych, gdy go dopiero modlić się uczono.

Tak — wiarą i ofiarą u nieba cudu należało mu wyprosić.

Ta myśl podniosła go nagle, pokrzepiła, otuchą natchnęła.

— Ofiarą — ale jaką?... — przemknęło mu po głowie.

Jakąkolwiekbądź, choćby największą, choćby najcięższą — z Bogiem w targi wchodzić rzecz niegodna!

Wszystko, wszystko oddać na chwałę Bożą, na pożytek bliźnim, na zwiększenie dobra, prawdy, światła na ziemi, na okupienie jasności niebieskiej poza światami.

I zrodziła się w nim w tej chwili myśl, mglista jeszcze, nieokreślona, nie ujęta w gotową formę, którą, jak świecę na ołtarzu, zapalił Bogu w swej cichej, niemej, gorącej modlitwie o życie żony.

— Cały majątek, całe mienie moje niech będzie ofiarą! — powiedział sobie wówczas i uczuł, jak mu nagle dziwnie lżej się zrobiło w duszy, jak mu odwagi i pewności jakiejś przybyło. że złe da się zażegnać, że cud będzie i że tam, gdzie moc ludzka bezsilną się okazała, moc Boska okaże swoją łaskawą potęgę.

Słyszał, jakby głos jakiś w swojej duszy, który doń mówił:

— Otwórz oczy, spojrzyj!... prośby twoje są wysłuchane.

I w tej samej chwili zadrżał, opuściły go od razu wszystkie zwątpienia, wszystkie złe przeczucia pierzchnęły nagle, niewymowna, dziecięca jakaś radość przepełniła mu piersi; było mu tak, jakby wśród ciemnej nocy błysnęło nagle słońc kilka nad jego głową.

Usłyszał głos żony:

— Nastusiu, pić!...

Obudziła się zatem z owego snu, który miał pozory śmierci i takim niepokojem, taką troską przenikał jego serce.

— Dlaczegoście kazali stanąć? — pytała Krokowska — co to za las?... gdzie my jesteśmy?...

Oczy jej rozglądały się dokoła, twarz miała wyraz wypoczęty; oddychała lżej i zaschnięty język odwilżała chciwie mlekiem, które z porcelanowej butelki sączyła jej w usta usłużna panna służąca.

— Jak ci jest?... jak się czujesz?... czyś dobrze spała? — pytały oczy rozjaśnione niemowy, a usta poruszały się głuchemi wyrazami, które chora nauczyła się jednak odgadywać przez dwudziestoletnie obcowanie z mężem i słuchać je sercem.

Jedwabnym fularem ocierał jej czoło i odgarniał z niego grube pukle siwawych już włosów, a twarz mu przytem promieniała takiem szczęściem, radością, rozrzewnieniem, że język sam nie byłby mógł

wyrazić lepiej uczuć, których w tej chwili doznawał.

Chora westchnęła i z wdzięcznością ściskała rękę męża.

— Jakoś mi dobrze — szepnęła, a on zaczął głową kiwać i uśmiechać się do niej, i rękoma w powietrzu potrząsać, jakby wołał:

— A widzisz, widzisz!... To Pan Bóg, to Pan Bóg zrobił... ja Go uprosiłem, ja się modliłem do Niego, On mnie wysłuchał. To cud, to Pan Bóg!...

Stangret na koźle poruszył się, obejrzał i kapelusz zdjął z głowy.

Krokowski pytające spojrzenie rzucił pannie Anastazyi.

— W kościele gdzieś na Anioł Pański dzwonią — objaśniła go.

Zdaleka, z poza lasu dochodził wyraźnie odgłos sygnaturki w tej chwili.

— To w Pociejowicach — dorzucił woźnica — musi być po sumie. Tam odpust dzisiaj.

Krokowska ciężką rękę podniosła i zrobiła znak krzyża na piersiach.

Panna Anastazya przeżegnała się i zaczęła odmawiać Antyfonę, a Krokowski wysiadł z pojazdu, odszedł o kilka kroków w las i z gołą głową rzucił się na kolana.

Dzwon dźwięczał na „Ave Maria“, a słońce złotymi promieniami zdawało się chwytać rozbujane

dźwięki i w ciszy roznosić je po okolicy, oblanej blaskiem południa.

Uroczystą powagę w swej prostocie miała ta chwila modlitwy...

Krokowska przestała szeptać „Zdrowaś Marya“ i pochyliła niżej głowę, kładąc znak krzyża na czole i na piersiach.

Twarz jej wyrażała teraz spokój i jakby doznaną ulgę w cierpieniach.

— Daleko mamy jeszcze do domu? — spytała głosem słabym, ale wyraźnym i bez owego przykrego wysiłku, z jakim poprzednio się odzywała.

Stangret, uchylając czapki, odwrócił się z kozła i odpowiedział:

— Będzie nie całe dwie mile, proszę jaśnie pani; na trzecią zajedziemy.

— Dopiero?... — westchnęła żałośnie. — Zdaje mi się, że całą dobę już jedziemy.

— A tak, powolutku to się sprzykrzy; teraz będą piachy, to możemy trochę przyspieszyć, bo koła pójdą jak po pierzynie, a od Snopkowic będzie znowu las, to i upał trochę zelży.

Krokowski, posłyszawszy rozmowę, zbliżył się do pojazdu i zaczął poprawiać poduszki, na których opierała się chora; z bocznej kieszeni wyjął małą tabliczkę i szyferek w srebrnej obsadce, nakreślił kilka słów i pokazał je żonie.

— Jak się czujesz, kochanko? — odczytała pisane zapytanie i patrząc mu w oczy, odrzekła:

— Jakoś lepiej.

Zmazał pismo i szybko na jego miejscu inne postawił wyrazy.

— Bóg łaskaw, zlitúje się nad nami; bądź dobrej myśli.

Znowu tabliczkę podniósł jej do oczu i uśmiechając się czule, kiwał głową, podczas gdy czytała, jakby pragnął przekonać ją i otuchy dodać z głębi serca, przepełnionego teraz nadzieją i radością.

— Czy możemy już jechać? — spytał w ten sam sposób, za pośrednictwem tej szybkiej korespondencyi, która mu zwykle ułatwiała porozumiewanie się z żoną.

Skinęła głową potakująco i powiedziała:

— Owszem; takbym chciała być już w domu!... U siebie, to i umierać lżej.

Spojrzał na nią z takim wyrzutem, jakby bluźnierstwo usłyszał z jej ust i podnosząc palec w górę, niemym gestem pokazał jej niebo; potem usiadł na swojem miejscu i dał znak stangretowi, aby zwolna ruszył w dalszą drogę.

Pojazd potoczył się gładko, równo po leśnej drodze, a w tej samej chwili z odległości dał się słyszeć tentent kopyt końskich i turkot kół od strony gościńca.

Elegancki brek, czwórką zaprzężony, zdążał również przez bocznicę od szosy, drogą do lasu.

Panna Anastazya zmrużyła oczy i z odległości starała się rozpoznać jadących.

— Albo się mylę, albo to pani baronowa jedzie za nami — odezwała się z twarzą ożywioną i przyłożywszy rękę do czoła, zaglądała wychylona z pojazdu na drogę.

Krokowski poruszył się machinalnie, powstał i trzymając się kozła, ponad budą spozierał w kierunku, wskazanym przez pannę Anastazyę.

Czwórka była jeszcze za daleko, aby mógł wyraźnie dojrzeć cośkolwiek; przestrzeń jednak pomiędzy dwoma powozami zmniejszała się z każdą chwilą.

Po kilku minutach powinni się byli zrównać.

— Ależ tak, teraz to na pewno widzę, że to pani baronowa z panem baronem, a pan Andrzej sam powozi; to dopiero spotkanie! — zawołała znowu panna Anastazya, podnosząc nieco głos z wielkiego uradowania i zdziwienia, jakie jej ta miła niespodzianka sprawiała.

Krokowski położył jej rękę na ramieniu, jakby z przypomnieniem, żeby oszczędzała bardziej spokój chorej pani i wyjąwszy fular z kieszeni, zaczął nim dawać znaki jadącym, aby wstrzymali konie i nie najeżdżali z takim impetem; obawiał się o swoją żonę.

— To w istocie Idalka? — zagadnęła go chora.

Skinął głową potwierdzająco, ale w twarzy malowało mu się jakieś zakłopotanie i niezadowolenie;

widać było, że to spotkanie nie wypadło po jego myśli, że wolałby był ominąć tę niespodziankę.

W odległości kilkunastu kroków od siebie dwa pojazdy stanęły w miejscu.

Z breku wyskoczyły dwie osoby: szczupła, wysoka blondynka, około czterdziestoletnia, w płaszczyku rypsowym od kurzu i szpakowaty mężczyzna w marynarkowym, szarym garniturze, z białym parasolem w ręku.

Na koźle pozostał młody człowiek w butach ze sztylpami, z pewną pretensyonalnością ubrany, o twarzy wymuskanego gagatka, z cieniutkimi wąsikami, które mu się dopiero puszczały pod nosem, z miną uśmiechniętą i zadowoloną automedona, któremu to widocznie pochlebiało, że tak zręcznie osadził w miejscu kłusującą przed chwilą czwórkę gniadoszów.

Nie ruszał się z miejsca, nie chcąc z rąk w krzyczącо jaskrawych rękawiczkach wypuścić lejców i bata.

Obok niego, z założonemi na piersiach rękoma, w granatowej liberyi, siedział jak wypchany manekin, wygolony lokaj z czarnymi baczkami i miną sztywną a nadętą.

— *Oh, quel bonheur cher oncle! quelle surprise!* — wołała, trzepocząc się, przeginając wpół, uśmiechając się całą twarzą i podrygując nieustannie, baronowa na powitanie Krokowskiego, który wysiadł z pojazdu i uprzedzając powitanie żony, podchodził właśnie do breku; — a my jedziemy do wujostwa!...

Wybraliśmy się na wiadomość, że państwo dzisiaj wracacie, aby dowiedzieć się o zdrowie cioteczki. Byliśmy tak zaniepokojeni, tak pomartwieni!... No, i jakże?... czy doprawdy kuracya nic nie pomogła?... O, mój Boże!... jakże się cieszę, że wujaszka spotykamy!... No, patrzaj, Toniu!... a miałam przeczucie, żebyśmy na Pociejowice jechali. Widzisz, dobrze się stało; bylibyśmy się minęli.

Pochylała się po raz trzeci już do ramienia Krokowskiego, aby je niby obrzucić pocałunkami w powietrzu, zaznaczając jednak tylko tym ruchem czułą intencyę powitania wujaszka, wielkiej radości z jego spotkania i wielkiego zmartwienia zarazem z powodu choroby cioteczki.

Wszystkie te uczucia mieszały się z sobą i migały kolejno przelotnemi wrażeniami na jej twarzy ruchliwej, ożywionej, niełądnej, ale dość świeżej jeszcze, pomimo zaokrąglonej czterdziestki.

Pan baron z dystyngowaną powagą stał obok i poprzestał na uściśnieniu ręki wujowi, który kłaniał się ciągle, jakby dziękując za objawy tylu uczuć naraz i potakując na istny grad zapytań, któremi go obrzucała siostrzenica żony.

— *André!* — zwróciła się do młodego człowieka na koźle — zejdźże przywitać się także; niech Filip konie potrzyma. Co za upał okropny!... jakże to cioteczka znosi?... macie państwo wygodny powóz?... możeby w naszym breku... Chociaż prawda, słońce operowałoby zanadto na głowę. Przecież możemy

się przywitać z ciocią, co?... Ja wiem, wiem, jak najdelikatniej, aby się nie zmęczyła; już mnie uprzedzono o tem. Pisała do nas Leosia z Warszawy; wujaszek widział naszą Leosię?... widział? była u państwa?... Trochę mizerna, prawda?... Ach, tyle mamy z nią kłopotu!... anemia!... Ale my gadamy, a tam cioteczka kochana... O, mój Boże!... Tonio, spytaj się, czy możemy podejść do powozu?

Nie czekając jednak odpowiedzi, podeszła sama, wyprzedzając męża i z przesadną ostrożnością zaglądała przez chwilę z boku, czy swoim widokiem nie sprawia zbyt wielkiego wrażenia na chorej; potem nagle zmienionym, rzewnym, łzawym już głosem zaczęła witać Krokowską i przemawiać do niej po francusku:

— Ach, mój Boże, cóż za spotkanie!... jakże się droga ciocia czuje?... z całego serca, z całej duszy witam cioteczkę!... Modliliśmy się tu wszyscy za zdrowie cioci. No, i naprawdę nic a nic nie jest lepiej? Bo to ci doktorzy... co oni wiedzą!... Najlepiej nie słuchać ich wcale, jak cioteczkę kocham; straszą tylko i przewlekają chorobę. Myśmy z Toniem... ale!... masz przy sobie te pigułki, Toniu?... Dostaliśmy cudowne lekarstwo, cioteczko!... zobaczy ciocia, po trzech pigułeczkach będzie zaraz lepiej. To jeden z naszych przyjaciół przywiózł je podobno aż z Indyi i wyleczył niemi kilka czy kilkanaście nawet osób z największej palpitacyi. Myśmy

z Toniem dlatego głównie wybrali się do Omylina dzisiaj, prawda, Toniu?...

Mieszała wszystko razem, składała ręce, jak do modlitwy, gestykulowała żywo, to znowu powściągała się, przyciszała głos, aby nie drażnić nerwów cioteczki, obrzucała ją tak samo pytaniami, nie czekając wcale na odpowiedź.

— Ach, Nastusia!... panna Anastazya!... jak się masz? — zwróciła się rozpromieniona nagle po dziesięciu minutach do starej panny, której nie uważała do tej chwili, chociaż stała tuż obok i dygała pokornie; rozmawiając, w roztargnieniu patrzała na nią pani baronowa i nie widziała jej przed sobą.

— Cóż?... jakże?... pilnuje panna Anastazya dobrze cioteczkę? — pytała dalej. — O trzeba, trzeba, moja droga!... uważaj, proszę cię, jak mnie kochasz!... będziemy pannie Nastusi wszyscy serdecznie obowiązani za jej troskliwość.

Zwracała ku niej błagalne oczy, jakby była nie panną służącą, ale samą Opatrznością i miała życie chorej wyłącznie w swoich rękach.

Krokowska słuchała cierpliwie, półsłówkami zaledwie się odzywając; czekała, aż jej pozwoli przemówić.

— Do Omylina jedziecie? — zwróciła się wreszcie z zapytaniem do barona, który stał namarszczony, pochmurny, zawsze nastrojony bardzo poważnie i z pozoru głęboko przejęty sytuacyą.

Na powitanie ucałowawszy rękę Krokowskiej,

zdjął kapelusz i z odkrytą głową, na znak wielkiej atencyi, stał oparty zlekka ramieniem o drzwiczki powozu, nie przerywając żonie i nie mieszając się dotąd do rozmowy.

— Tak, cioteczko! — wyprzedziła w odpowiedzi męża pani baronowa — jeśli nam wolno będzie te pierwsze chwile spędzić z wujostwem po powrocie. Może moje usługi mogą się przydać na co?... To przecież nasz obowiązek! Byliśmy tak niespokojni; Tonio i ja trzy noce oka nie mogliśmy zmrużyć... Ale, Bogu dzięki, żeśmy cioteczkę zobaczyli!... Pan Bóg to wszystko teraz odmieni.

— Idalko! — przerwał jej mąż — czy nie utrudzasz zanadto?... Jabym radził, abyśmy wsiedli i wyprzedzili... W Omylinie jeszcze się zobaczymy...

Mrugnął na żonę energicznie — a chociaż przemawiał głosem spokojnym i przyciszonym, w spojrzeniu jego było coś nakazującego, despotycznego, co od razu rozstroiło cały rezon baronowej; zamilkła, cofnęła się i jak przywołana do porządku pensyonarka, szepnęła:

— Jak uważasz, mój drogi; możemy jechać...

Omal nie zapomniała pożegnać się z cioteczką, spiesząc woli mężowskiej zadosyć uczynić; to spojrzenie karcące wyprowadziło, a raczej przywróciło ją do równowagi — bo właściwie nie wiadomo było, co stanowiło równowagę baronowej: ciągła afektacya i roztargnienie, czy też stan zalęknienia i nagłej pokory wobec miarkującej ją energii męża.

Krokowski odprowadził obojga do breku i powrócił do żony.

Pan Andrzej, przejęty rolą automedona, pomimo wezwania matki, ani się ruszył z kozła; czwórka zajmowała go więcej, aniżeli dziadunio Krokowski i chora babunia.

Tak mało o niej myślał nawet w tej chwili, że kiedy rodzice usadowili się znowu w breku i w dalszą mieli ruszyć drogę, zamierzał dla fantazyi strzelić z bata, aby się popisać w furmańskim kunszcie, ale go w porę, na szczęście, schwycił baron za ramię i przeszkodził temu ze względu na chorą ciotkę.

Odwrócił się zdziwiony, ze słowami:

— Co?... dlaczego?... nie można?...

Ojciec wskazał mu znacząco głową powóz przed nimi.

— To i co?... Aha!... *pardon!*

Dorozumiał się nareszcie, o co chodzi i tylko cmoknął na gniadoszów, które lekko ruszyły z miejsca.

Mijając lando, baronostwo raz jeszcze ukłonem pożegnali Krokowskich, odwrócili się kilka razy, wołając:

— Do widzenia w Omylinie! — i pomknęli przodem przez las.

— Ty zawsze musisz pytlować, jak wiatrak, moja droga — zaczął baron, wyjmując papierośnicę srebrną z herbową koroną, aby zapalić papierosa. — Widziałaś przecież, że ją to męczy.

— Właśnie dlatego chciałam ją zagadywać, aby nie potrzebowała odpowiadać — tłumaczyła się żona, w obawie bury, której się spodziewała po karcącem spojrzeniu męża.

— Już tylko daj pokój!... niby to cię nie znam; mnie zdrowemu głowa puchnie czasem przy tobie, a cóż dopiero chorej kobiecie, której trzy ćwierci do śmierci. O, ciotka patrzy na księżą oborę!... dyabelnie się zmieniła. To się chyba wcześniej skończy, niż przypuszczałem.

— Tak sądzisz?... a mnie się zdaje...

Skrzywił się i ramionami podrzucił.

— Tobie się zawsze wszystko zdaje, tylko nie to, co jest! — ofuknął ją szorstko.

Przyzwyczajony był traktować żonę, jak małoletnią i zachowywał zwykle względem niej ton mentorski, zwłaszcza w cztery oczy.

— Tu się nic zdawać nie może, tylko jest źle i basta! — mówił dalej, jak wyrocznia. — Daj Boże, żeby ją jeszcze żywą dowieźli!... Mało będzie czasu, aby z nią co zrobić... — dorzucił niezadowolony, wydymając usta i brwi ściągając nachmurzony.

Baronowa zrobiła minę zafrasowaną; jakaś myśl ciężka osiadła jej na czole.

— Ja nawet nie wiem, czy wypada nam w takiej chwili zaczynać — odezwała się nieśmiało.

Ale ta uwaga wywołała znowu wyraz niechęci na twarzy męża.

Rzucił jej spojrzenie krótkie, ale ostre, jakby

miał szpilki w swych stalowych, zmrużonych oczach; odwrócił głowę i lekceważąco się uśmiechnął.

— To po cóżbyśmy jechali? — wybuchnął po chwili niemal z pasyą. — Trzeba z tej ostatniej sposobności skorzystać, bo potem chyba, jak umrze, będziesz z nią przez stołowe nogi rozmawiała... Ty przecież jesteś spirytystka, ale ja nie. Jeśli nam się teraz nie uda nic zrobić, to się pożegnamy raz na zawsze z nadzieją wydostania czego od kochanej cioteczki... a ja mam nóż na gardle, wiesz o tem.

Zrobiła pokorną minę i westchnęła ciężko; bała się widocznie odezwać.

Baron pykał swojego papierosa i rozmyślał; nachmurzony był i zły, co zresztą zdarzało mu się od rana do nocy.

— Jesteś zatem tego zdania, że trzeba koniecznie próbować? — odważyła się zapytać go żona.

Puścił kłąb dymu z impetem i odpowiedział ironicznie:

— Nie, jestem tego zdania, żeby nam Żołędziówkę sprzedali i żebyśmy poszli z torbami. Paradna sobie jesteś!... Ciekawym, co nam pozostaje innego?... Jeśli tych sześćdziesięciu tysięcy nie wyrwę do Bożego Narodzenia, to nas dyabli wezmą! Ona się jeszcze pyta, czy mamy próbować!...

— Nie to, ale... — próbowała się bronić zakłopotana, lecz baron nie pozwolił jej dojść do słowa.

— Nie byłbym się przecież z domu ruszał, żeby

mi ten interes na karku nie siedział. Łaski ci wielkiej nie zrobi, jeśli pożyczy; tak, czy owak, będzie ci się należało coś po niej, jako najbliższej krewnej. Do grobu przecież majątku z sobą nie weźmie; komuż zostawi?...

— No tak, ale...

— Nie przerywaj! — ofuknął ją znowu krótko i ostro. — Już ja wiem, co mi chcesz powiedzieć; ale jest jeszcze mąż, prawda?... wiem o tem. To i cóż z tego?... on także nie jest wieczny, a choćby żył pięć, dziesięć, piętnaście lat, to wkońcu przecie umrzeć raz musi. Dzieci nie mają, spadkobierców z pierwszej linii nie będzie, a więc rzecz prosta... Zresztą, co tam będę z tobą o tem dyskutował!...

— Papa zapomina, że są jeszcze... — zwrócił się z kozła do ojca młody baron, który słuchał rozmowy rodziców, prowadzonej po francusku ze względu na lokaja, ale ojciec przeciął mu od razu rozpoczętą uwagę słowami:

— Ty się nie wtrącaj, pilnuj swoich koni!

Skonfundowany młodzieniec trzepnął batem i jak oparzony odwrócił szybko głowę, mruknąwszy tylko swoje ulubione, dystyngowane, krótkie:

— *Pardon!*

Wyjechali z lasu na drogę, która się teraz pomiędzy polami wiła, zataczając duże łuki i pełzała, jak wąż, ku rozsypanej wiosce na widnokręgu.

Z obu stron rozciągała się płaszczyzna równa, szeroka, pokrajana w różnokolorowe płaty, na któ-

rych monotonię krajobrazu urozmaicały sterczące gdzieniegdzie kępy drzew przy chatach i budynkach gospodarskich, złoto-żółte stogi zboża lub szarozielone kopce siana, rozczochrane wierzby, co się porozłaziły po miedzach, albo czarne, smukłe krzyże przy drogach.

Od Żołędziówki baronostwa do Omylina było trzy mile z okładem.

W półtorej godziny, licząc w to i postój w lesie przy spotkaniu Krokowskich, brek, powożony przez młodego „barona“, zatoczył się na dziedziniec i okrążywszy gazon z olbrzymim wazonem, pełnym kwiatów w pośrodku, stanął przed pałacem w Omylinie.

Krysiewicz, w czarnym tużurku poniżej kolan, w białej chustce na szyi, u progu powitał gości niespodzianych; minę miał uroczystą, ale zpod niej błysnęło rozczarowanie na widok baronostwa.

— Oho, kruki się zlatują!... — pomyślał.

— Jak się macie tutaj?... co słychać?... wujostwo jadą, jadą za nami, noga za nogą — trzepotała baronowa, zapomniawszy już o mężowskiej przestrodze. — Wyprzedziliśmy cioteczkę i wujaszka. Ach, jaka zmieniona, jaka zmieniona!... Gdzież nas pan Krysiewicz ulokuje?... może w zielonym pokoju, dobrze?... Zostaniemy pewnie na noc, prawda Toniu?...

Krysiewicz ręce powoli zacierał i kłaniał się.

— Znajdzie się, znajdzie, miejsca dość!... Mamy tu już gościa, także niespodzianego.

Baron się zmarszczył i zatrzymał na kamiennych stopniach.

— Któż taki?...

— A, familia.

— Familia?... jaka?...

— Pan Ignacy z wnuczką; jest i doktór Pniak.

— Pan Orsza?... Idalko, słyszysz?... hm?... *Une surprise!*

Ale Idalka nie słyszała, bo była już w sieni i wchodziła do pokoju, który służył za rozbieralnię, gdzie stara gospodyni Fruziowa witała się z nią i pomagała zdejmować płaszczyk podróżny.

Baron się zawahał przez chwilę; znać było, że się namyśla, czy wejść, czy się cofnąć.

Pod pozorem wydania służącemu dyspozycyi, zawrócił na dziedziniec i podszedł do breku, który okrążał jeszcze powoli gazon; pan Andrzej nie mógł się rozstać tak łatwo ze swoją ulubioną czwórką.

Chciał, aby konie wytchnęły, zanim je odprowadzą do stajni.

— A tośmy wpadli! — zaczął ojciec po francusku, zagryzając wąs z jednej strony. — Wyobraź sobie, ten stary niedźwiedź Orsza jest tutaj.

— *Sapristi!* — wyrwało się z ust Jędrusiowi — to niemiłe! Cóż papa myśli zrobić?...

— A cóż, przecież nie wsiądę do breku i nie odjadę! — burknął baron. — Nie zje mnie, a ja

jego nie ugryzę, bo musiałbym przez tydzień spluwać po takiem sadle. Dobrześmy się wybrali!...

Krzywił się i chmurzył niemiłosiernie.

— Sam jest? — zagadnął go syn.

— Ale gdzież tam!... z tą czarną małpką swoją.

— Lolusią?... o!... będziemy się brali na pazurki!

— Ani mi się waż! bardzo cię proszę. Zupełnie tak się zachowuj, jakbyś ich nie znał. Jeżeli tam matka tylko jakiego bąka nie strzeli, to możemy ich ignorować.

— Ależ...

Baron był podrażniony; błysnął gniewnie oczyma i mruknął przez zęby:

— Żadnych ale, bardzo proszę!... Słuchać, co każę i basta! Ja wiem, co robię, a ty mi się nie wtrącaj!...

— *Pardon!*

Zrzedła mina młodemu człowiekowi i pokornie spuścił głowę, nie chcąc odpowiadać więcej ojcu.

Ułożony był, jak matka, do ulegania woli despotycznego papy, który żadnej opozycyi nie znosił w swojem rodzinnem państewku.

Zaciął zlekka konie i skierował brek ku murowanej bramie, wiodącej na drugi dziedziniec, fornalski, gdzie stały stajnie, obory, spichlerze i inne budynki gospodarskie.

Chciał być osobiście przy wyprzęganiu czwórki i umieszczeniu jej przy żłobie.

Podczas gdy baron niezdecydowany stał jeszcze przy gazonie, baronowa swoim zwyczajem roztargniona, nie zważająca na nic i na nikogo w pewnych chwilach, wpadła do pokoju, dowiadując się, czy wszystko gotowe na przyjęcie cioteczki; chciała zaraz obejrzeć sypialnię, wybrać najwygodniejszy dla chorej kącik; miała ochotę rozporządzać się i rozbijać w cudzym domu, na dowód szczególniejszej troskliwości.

Krysiewicz powstrzymał ją od razu w tych zapędach:

— Niech pani baronowa będzie spokojną; wszystko jest zrobione według dyspozycyi samego pana dziedzica.

— Jak to?... rolety pospuszczane, okna pozamykane?... ani jednego kwiatka niema na stole?...

— Z wyraźnego rozkazu.

— Ależ to być nie może!...

— Miałem w liście tak polecone — spokojnie, krótko, stanowczo, przyciszonym głosem tłumaczył się rządca, chodząc o dwa kroki za panią baronową po całym apartamencie.

Doszli tak do uchylonych drzwi stołowego pokoju, przez które słychać było rozmowę dwóch głosów męskich i jednego kobiecego.

— A tam kto? — spytała baronowa, zatrzymując się zdziwiona.

— Doktor Pniak i...

— A, Pniaczek!

Nie dosłuchawszy dalszych objaśnień Krysiewicza, z uprzejmie uśmiechniętą i rozpogodzoną twarzą, pospieszyła naprzód i zabierając się do powitania doktora z jakąś konfidencyonalną życzliwością, zatrzymała się nagle w otwartych drzwiach.

Niespodziany widok zmienił ją tak od razu i zmieszał.

Przy stole siedział siwy, z przystrzyżoną czupryną, tęgi, korpulentnej tuszy, okazały mężczyzna; serwetkę miał podwiązaną pod brodą, w ręce trzymał łyżkę srebrną i nad salaterką pełną jajecznicy zabierał się właśnie do jedzenia.

Przy oknie stała nizka, smagła brunetka, z obciętymi krótko włosami, w bronzowej sukni, w męskim kołnierzyku stojącym, z fularem w gruby węzeł związanym.

Twarz miała niełądną, ale oczy bystre, żywe, ogniste, które przeskakiwały niespokojnie z jednego punktu na drugi i jak płoszone muchy zrywały się co chwila.

Rozmawiał z nią smukły, dobrze zbudowany blondyn w okularach, z brodą lekko-ryżawego koloru, ubrany w jasny garnitur marynarkowy.

Baronowa nie wiedziała, co z sobą począć...

Wpadła całkiem niespodzianie i znalazła się oko w oko z siwym jegomością, który podniósłszy na chwilę głowę, zrobił taką minę, jak gdyby tuż nad salaterką jego zawisł brzydki pająk na swojej nici.

Chwilę jednak trwał tylko ten wyraz niesmaku na jego ustach.

— Mój Krysiewicz, każ-no mi dać pieprzu i trochę posiekanej cebulki! — odezwał się najspokojniej do rządcy, którego dojrzał we drzwiach i nie zwracając więcej uwagi na baronową, jak gdyby jej wcale nie było, zaczął jeść.

Baronowa wpadła jak w pułapkę; instynktownie skinęła głową, co mogło równie dobrze znaczyć: „witam“, jak i — „mniejsza o to“ i zwróciła się ku młodemu mężczyznie w okularach.

— Jak mi się doktor miewasz?... szukam pana właśnie; mam do konsyliarza słóweczko!... na chwilkę!...

Wyciągnęła powtórnie do niego rękę, wykręciła się na pięcie i zabrała go ze sobą z pokoju.

Siwy jegomość odsapnął głęboko, spojrzał ku nizkiej brunetce, obtarł usta serwetą i przestał jeść na chwilę.

— Gdzie ten Krysiewicz z tym pieprzem się podział?... Cała jajecznica mi ostygnie!...

Siwe oczy zwrócił ku drzwiom i czekał niecierpliwie.

— Loluś!... otwórz okno; piżmem tu czuć... pfe!... aż w nosie kręci... — odezwał się głosem nizkim, powoli, monotonnie.

— Uważał dziadunio, jak się Phalernowa zmieszała, kiedy nas zobaczyła?... — zagadnęła go wnuczka, podbiegając żywo do stołu.

— Kto taki?...

Udał, że nie dosłyszał.

— No, ciotka Phalernowa?... nie widział to dziadzio?...

Stary patrzał na nią przez chwilę, jakby o czem innem rozmyślał — a wreszcie odrzekł:

— Nie widziałem i tobie radzę nie widzieć...

— No, a jeżeli sama zagadnie?

— To nie słyszeć.

— A jeżeli rękę poda?

— To nie dotknąć.

Jakaś groźna zaciętość malowała mu się w twarzy; odpowiadał na zapytania wnuczki krótko, stanowczo, jednym tonem, z głową odwróconą, unikając jej ciekawych, czarnych, błyszczących oczu.

— Jakżeż tak można?... — spróbowała jeszcze raz go zapytać.

Odsapnął znowu głęboko i obojętnie na pozór, ale bez apelacyi mruknął tylko jeden wyraz:

— Można.

Krysiewicz z pieprzniczką w jednej ręce, a talerzykiem cebuli w drugiej, przerwał dalszą rozmowę.

— No, nareszcie!... Maruda się robi z ciebie, mój Krysiewicz! — powitał go dziadek nieładnej panny i doprawiwszy sobie jajecznicę, zaczął jeść ponownie, nie odzywając się więcej do nikogo, zajęty własnemi tylko myślami.

Baronowa tymczasem pociągnęła za sobą doktora

aż do salonu, wychodzącego na kamienny taras z małą i zgrabną kolumnadą, zakrytą płóciennemi firankami z czerwonym szlakiem — i stanąwszy z nim we framudze okna, prowadziła nader żywo rozmowę półgłosem:

— Cóż?... jakże się doktorowi zdaje?... Trzeba się spodziewać nieszczęścia, prawda? Okropność!... nie mogę o tem myśleć bez łez w oczach... Spotkaliśmy wujostwa na drodze. Jadą za nami; wiozą biedaczkę, wiozą noga za nogą!... Tonio utrzymuje, że ciocia bardzo zmieniona; ja się panu przyznam, że tego nie uważałam: łzy mi wzrok zasłoniły. Pan wiesz, kochany doktorze, ile mnie to obchodzi!... tracę w niej drugą matkę.

Zaczęła szukać chustki do nosa, której w żadnej kieszeni znaleźć nie mogła, bo została w okryciu; musiała sobie oczy dłonią ocierać.

— Pana także to głęboko smuci, prawda? — zaczęła znowu. — Wychował się pan u nich, jak syn, jak własne dziecko. O, to bolesne pomyśleć, że niema ratunku, co?... bo niema ratunku, prawda, doktorze?...

Patrzyła mu w oczy, wyczekując odpowiedzi, której nie dawał, jakby z umysłu.

— Jak doktor sądzi? — zagadnęła go po chwili — długo też biedaczka męczyć się jeszcze może?... tydzień, dwa, może dłużej?... co?... dłużej?...

Zależało jej widocznie bardzo na tem, aby z niego

wyciągnąć cośkolwiek, ale doktor, jak sfinks, zachowywał tajemnicze milczenie i patrzał w okno.

— Nie wiem, nie badałem pani Krokowskiej już dawno — zdecydował się wreszcie odezwać. — Słyszałem tylko, że się jej pogorszyło za granicą.

— Ale w takich chorobach jedna chwila nieraz decyduje, prawda?... co?...

Skinął głową na potwierdzenie; baronowa się zafrasowała jeszcze bardziej.

Myślała o tem, że jeśli się ta choroba nie przeciągnie, to jej już czasu nie starczy na przeprowadzenie projektu męża, od którego zawisło na razie powstrzymanie grożącej im ruiny.

— Żeby choć tydzień, choć kilka dni, chociaż parę godzin polepszenia!...

Pniak zdawał się przenikać te jej najtajniejsze myśli, chociaż maskowała je przed nim pozorami bezinteresownej troskliwości o zdrowie i życie ciotki.

— Pani baronowej zależałoby na odsunięciu katastrofy? — spytał ją po chwili milczenia; ale w tem zapytaniu brzmiała jakby lekka ironia, na której jednak się nie spostrzegła.

— O, tak, bardzo! — wyrwało jej się z ust dobrodusznie. — Powiem ci, konsyliarzu, że własnem życiem przedłużyłabym cioci te ostatnie chwile, gdyby to było możliwe. Ona jedna mi pozostała! — dorzuciła, jakby dla zmylenia jego podejrzeń. — Nie będę miała nikogo więcej z rodziny mojej nieboszczki matki!...

— No, jest jeszcze pan Ignacy — wtrącił Pniak.

Baronowa się żachnęła.

— Ach, nie mów mi pan o nim!... widziałeś przecież, żeśmy się nawet nie przywitali. Zresztą, to tylko stryjeczny brat mojej matki.

Zwróciła się nagle do doktora i zaczęła go wybadywać:

— Czego on tu chce?... po co przyjechał?... nie wiesz konsyliarz?... To także sens, żeby się w takiej chwili narzucać!... W domu śmiertelna choroba, a jemu z wizytami pilno!... Bez serca człowiek!...

Pniak ściągnął usta, po których złośliwy uśmiech przemknął.

— Właśnie, zaniepokojony wiadomością o zdrowiu siostry, przybył ją odwiedzić po raz ostatni — rzekł.

Phalernowa aż się zaczerwieniła z oburzenia.

— Jaki troskliwy!... a z wielkiego zmartwienia aż mu się jajecznicy zachciało!... Przecież widziałam: jadł tak, że mu się aż uszy trzęsły!

— No, z tego nie można jeszcze wnioskować o uczuciach, zwłaszcza u tego rodzaju ludzi — próbował usprawiedliwiać go doktor. — Przyjechał na czczo i ja mu sam poddałem tę myśl, aby posilił się czemkolwiek. Stary jest i przywykł zawsze dobrze się odżywiać...

— Tylko go doktor nie broń!... Ja także jestem tylko po czystej herbacie, a nie włożyłabym nic do

ust, choćby mi bażanty zastawili. Faryzeusz jest!... pieczeniarz!... całe życie dbał tylko o siebie i dwa majątki przejadł, a teraz patrzy tylko, gdzie się z komina kurzy. Intrygant!...

Zapomniała się i głos podniosła.

Doktor dyskretnie obejrzał się na drzwi niedomknięte. Baronowa spostrzegła to — i z irytacyą, ale już trochę ciszej, mówiła znowu:

— Niech słyszy!... ja mojego zdania wcale nie ukrywam. Intrygant jest!... ja mu nigdy nie zapomnę obelgi, jaką wyrządził Toniowi. Doktor myślisz, że on tu z dobrego serca przyjechał?... Właśnie!... Przyjechał zatruć jeszcze ostatnie chwile ciotce Krokowskiej. To jego pasya ludziom dokuczać, na złość robić, szkodzić, gdzie się uda. Stryj!... co mi za stryj!... gorszy od wroga!

Aż wypieków dostała z gniewu.

Pniak udawał, że patrzy w ogród, ale z pod oka rzucał na baronową spojrzenia, w których odbijał się jakiś odcień szyderstwa, a nawet wzgardliwego niesmaku.

Grube, nieregularne rysy jego twarzy miały wyraz energii i stanowczości, a zarazem wielkiej siły panowania nad sobą.

Umiał sobie nadawać pozór spokoju i równowagi, nakładając jakby nieruchomą maskę na twarz, pod którą trudno było dojrzeć, co pokrywa.

Phalernowa niczego się nie dowiedziała.

Słuchał jej tylko i milczał, a jeśli musiał się ode-

zwać, to odpowiedzi jego były krótkie, wymijające i dwuznaczne.

Znać było, że jedynie z obowiązkowej jakiejś grzeczności z nią rozmawia.

Ona zaś zachodziła go ze wszystkich stron: była słodką, uprzejmą, czułą, wynurzała się ciągle ze swą miłością i przywiązaniem dla ciotki, pamiętając, że mówi do jej faworyta i wychowanka, który posiadał wielką sympatyę i zaufanie chorej.

Krokowska bowiem zajmowała się Pniakiem od lat dziecinnych, „czuła słabość do niego“, jak w rodzinie utrzymywano; był synem gajowego z Omylina, pochodził z chłopów, ale pracą, zdolnościami i ambicyą wybił się na wierzch przy pomocy swojej protektorki, której kosztem ukończył szkoły i odebrał całe wychowanie.

Nie była to fantazya pańska ze strony Krokowskiej, ale świadomy cel i w czyn wprowadzona zasada.

— Czyń każdy w swojem kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży! — lubiła powtarzać słowa poety i o ile możności działać według tego hasła ludzi rozsądnych i uczciwych.

Kiedy jej robiono uwagę, że ta filantropia z jej strony jest za daleko posuniętą i że psuje chłopca, który bądź co bądź jest tylko synem prostego chłopa i w normalnych warunkach pasałby bydło, a co najwięcej, został potem fornalem we dworze — odpowiadała z dobrotliwym uśmiechem:

— Moi kochani, z pastuchów wyrastali już wielcy ludzie, o których historya nawet wspomina, a gdyby z mojego Franka tylko felczer wyrósł, aby było komu bańki stawiać i krew puszczać w razie potrzeby, a znachorki nie potrzebowały w takich razach uroków odczyniać, to jużby była dla Omylina historyczna chwila, że omyliniak zaprowadził postęp w swojej wsi.

— Tak, zapewne — przytakiwano z pewnem niedowierzaniem — ale to nie powód, aby chłopca przyjmować w pałacu i sadzać go przy stole razem z państwem.

Krokowska obracała to w żarty, odpowiadając:

— Dlaczego nie?... skoro tylko palcami nie jada i nie mlaska przy jedzeniu, to nie widzę przyczyny, aby raz na tydzień nie zjadł z nami dobrego obiadu. Chłopczysko i tak głodem się morzy w mieście, bo pieniądze odkłada na książki i instrumenta. Zobaczycie, będzie z niego jeszcze taki doktor, że mnie leczyć potrafi.

I miała dobre przeczucia.

Franek Pniak został doktorem Franciszkiem Pniakiem, który brał udział w konsyliach, radzących nad jej leczeniem, gdy chorować zaczęła.

Krokowska miała do „swojego doktora“ szczególne zaufanie, chociaż medycynie wogóle nie dowierzała, mawiając:

— Jest tylko jeden lekarz, który naprawdę leczy, to jest Pan Bóg sam, jeżeli Mu się podoba;

ja zaś mojego Pniaczka lubię, to mi się zdaje, że mnie zaraz serce mniej boli, kiedy go przy sobie widzę. Januszek śmieje się ze mnie i powiada, że to przywidzenie; niech sobie będzie i przywidzenie, skoro skutkuje!...

Lubiła go i miała do niego zaufanie, nietylko w kwestyi swojego zdrowia, ale i w rozmaitych innych, o czem wiedziano dobrze i z tego powodu baronowa okazywała doktorowi cioteczki również swoją nadzwyczajną sympatyę, schlebiała mu i próbowała ująć go sobie, chociaż natrafiała — podobnie jak w tej chwili — tylko na zimną grzeczność i obojętność z jego strony.

Nazywała go doktorkiem, Pniaczkiem, kochanym konsyliarzem, wciągała też w swoje konszachty, ilekroć jej to było potrzebnem, aby sobie jego przychylność pozyskać, obrzucała go pochlestwami z przesadną serdecznością — on zaś był względem niej i całej rodziny baronostwa zawsze jednakim; „nie dał się wziąć“, jak baron powiadał, a co mu miał do zarzucenia, wymawiając żonie:

— Po co ty przy tym chamie skaczesz, jakby był naprawdę jaką ważną figurą?... smaruj chłopu miodem, a on będzie zawsze...

Urywał, krzywiąc się i spluwając pogardliwie.

Nie lubił go, jakkolwiek musiał z nim politykować, aby go sobie nie narazić.

Pniak za dobrze znał ludzi i za dużo miał instynktu, aby tego nie poznawać; udawał jednak,

że tego nie widzi i względem barona zachowywał taką samą taktykę, jak względem baronowej: był zimnym i grzecznym, małomównym i ostrożnym w słowach.

Sam stał z daleka, ale też nie pozwalał zanadto zbliżać się do siebie.

— Mój doktorku — mówiła do niego właśnie po raz trzeci baronowa — przecież pan nie pozwolisz, aby taki niedźwiedź męczył ciocię i zrzędził jej nad głową; gdzież to towarzystwo dla zmordowanej, chorej, nerwowej kobiety?... On sapie, jak miech kowalski, a gdy się odezwie tym swoim grubiańskim głosem, to ja, co jestem zdrową, dostaję palpitacyi!... Przecież pana Ignacego konsyliarz do cioci nie dopuści, co?... powiedz, że nie dopuścisz, mój doktorku!...

Pniak dwoma palcami skubał brodę i udawał, że się namyśla, co zrobić, nie dając żadnej odpowiedzi; spostrzegł się od razu, że starego Orszę chciano usunąć od chorej, aby sobie tylko przy niej wyłączne miejsce zarezerwować.

— Ja sądzę — rzekł po chwili — że dla chorej wogóle bezwzględny spokój będzie koniecznym i przedewszystkiem trzeba jej dać zupełnie wypocząć po przyjeździe, dlatego absolutnie nikogo nie można do niej dopuścić.

Baronowej twarz się zmieniła.

— Jak to?... nikogo?

— Nikogo — powtórzył spokojnie, ale stanowczo — przynajmniej przez pierwszych kilka dni.

— Przez kilka dni nawet?...

Chciała zaprotestować i wymódz na nim ustępstwo dla siebie jednej tylko, bo ją ta klauzura przeraziła, gdy od strony tarasu ukazał się baron i przez szyby zaglądnął do salonu, a dostrzegłszy żonę na rozmowie z Pniakiem, zapukał silnie palcem do drzwi, zamkniętych na klucz od wewnątrz.

Pospieszyła mu otworzyć.

Twarz męża zwiastowała jej nową burzę.

— Szukam cię od kwadransa — zaczął szeptem, ale z tłumioną pasyą — a ty musisz zawsze zależć gdzieś do kąta i strzępić sobie język, Bóg wie, po co!... Czy wiesz, kogo tu jeszcze licho przyniosło?...

Wystraszonemi oczyma spojrzała na niego.

— No?...

— Szubina się przywlokła.

— Co ty mówisz?... sama?...

— Z całą fornalką.

Odsunął żonę i nie zdejmując kapelusza, wszedł do salonu.

— Witam pana!

Protekcyonalnie wyciągnął rękę do Pniaka z dwoma wystającymi palcami.

— Jak się pan miewasz?... — zaczął — zdrowo?... co?... Doktor nie może chorować, aby nie dawać z siebie złego przykładu pacyentom.

Udawał swobodny ton i maskował dość niezręcznie swój zgorzkniały humor.

Pniak skłonił mu się w milczeniu i dotknął dwóch palców barona sztywno i obojętnie.

— Istny zjazd familijny dziś w Omylinie — mówił baron dalej, siadając na fotelu i zakładając nogę na kolano. — Ściągają już, jak na pogrzeb. Pani Szubina przyjechała przed chwilą i tylko czworo robaczków swoich przywiozła. Cóż pan na to?...

Doktor zaciął usta z jednej strony.

— Tak, zaniepokoiła wszystkich wiadomość o zdrowiu pani Krokowskiej — rzekł.

— Zaniepokoiła?... — spytał z ironicznym uśmiechem baron. — Hm, hm!... może być.

— Widziałeś się z nią? — zagadnęła go nieśmiało. żona.

— Bóg strzegł! — odpowiedział, młynkując laską z monogramem i herbem na srebrnej gałce — dałem drapaka odrazu, gdym zobaczył zdaleka, że się tu wlecze.

— Skądże oni się tu wzięli? — złamanym jakimś głosem spytała znów baronowa, zwracając się do doktora.

— Zapewne z Zakalca — odparł — bo wiem, że państwo Szubowie z dziećmi od dłuższego czasu bawią tam na wakacyach.

— U Dłuskich?

— Tak; co roku spędzają tam lato.

— A rozumie się! — z przekąsem wtrącił baron — ja się dziwię, że tylko na lato przyjeżdżają. Albo im tam źle?... przyzwyczajeni są przecie siedzieć zawsze komuś na karku i żyć cudzym kosztem.

— No, Dłuscy przecież to blizkie kuzynostwo — zauważyła baronowa.

— Bliższe, dalsze, wszystko jedno, byle darmo dawali jeść, pić i trzymali u siebie z miesiąca na miesiąc — zaśmiał się gorzko mąż. — Nie znasz ich?... familijka pasożytów!... No, zdaje mi się, że myśmy tu wleźli dzisiaj, jak Piłat w Credo, prawda, doktorze?... Niema po co nawet się rozkładać; trzeba mieć sumienie nad chorą.

Poruszył się na fotelu i przekładając nogę na nogę, mówił dalej z przekąsem:

— Niech ją ci państwo zamęczają swoją troskliwością, a my chyba siadajmy i jedźmy z powrotem, nim doczekamy się przybycia wujostwa.

Baronowa zrobiła minę niezdecydowaną; trudno jej było uwierzyć w podobny zamiar męża.

— Przynajmniej przywitamy cioteczkę — rzekła nieśmiało.

— Pożegnamy raczej, chcesz powiedzieć — poprawił ją z tym samym odcieniem zgryźliwego szyderstwa — bo zdaje mi się, że jej tu żywej już nie zastaniemy wśród tylu troskliwych opiekunów!

Westchnął i głowę odwrócił, ale nie spieszył się z wyjazdem.

Z dalszych pokoi dał się słyszeć gwar kilku głosów, ponad którymi górował organ kobiecy, wysoki a płaczliwy.

— To jeszcze nie przyjechała?... dopiero jedzie?... na taki upał!... Ach, mój Boże!... przecież to się usmażyć można na takiem gorącu!... Felisiu, bój się Boga, co ty robisz?... Wodę pijesz?... Panie Krysiewicz, błagam pana, niech mu pan nie pozwoli!...

Do salonu wbiegło dwóch chłopców: jeden dwunastoletni, drugi o parę lat od niego starszy, w bluzach uczniowskich, ze słomianymi kapeluszami w rękach, niedomytych, spoconych, ogorzałych.

Młodszy zachęcał starszego:

— Chodź, chodź, ja ci zaraz pokażę!... ten z murzynem nie gra, tylko oczyma przewraca!

— A właśnie, że ten gra; no, zobaczysz!...

Sprzeczali się po drodze o zegar, który stał pod lustrem na konsoli, a który ich ciekawość budził za każdym pobytem w Omylinie.

Zmieszani zatrzymali się w połowie salonu, zobaczywszy obce osoby i niezgrabnie szurać zaczęli nogami, potykając się o dywan na podłodze.

Wpadli, jak dwa niesforne źrebaki do stajni i cofnęli się nagle pod ścianę, onieśmieleni.

Za nimi w kilka chwil ukazała się sama pani Szubina w popielatej sukni, słomkowym kapeluszu, z dużą kryzą i w bronzowej woalce, pod którą widać było okrągłą twarz z małym noskiem, ster-

czącym, jak migdał w kartoflu, obok którego, niby dwa ziarnka pieprzu, czerniły się oczki, małe z natury, a przymrużane jeszcze z przyzwyczajenia.

Za nią szły dwie dziewczyny, chude, wysokie, podobne do siebie, jak dwie tyczki chmielu, na których wisiały pomięte bluzki i perkalikowe spódniczki, odsłaniające duże nogi w niezgrabnych bucikach, o pomarszczonych i wytartych cholewkach.

Płowe włosy, jak dwa powrósła słomy, splecione w cieńkie warkocze, zwieszały się im na plecy, a pożółkłe, zakurzone, opalone od słońca pasterki z różowemi wstążeczkami nakrywały im głowy, osadzone na długich i chudych szyjach.

Obie były w wieku podlotków i jako bliźniaczki wydawały się wystrugane według jednego szablonu z dwóch deseczek sosnowych.

Szedł z niemi Krysiewicz; miał fizyognomię jeszcze bardziej zafrasowaną i niechętną, robiąc niejako z musu honory domu w zastępstwie gospodarstwa.

— Ach, pan baron!... ach, pani baronowa!... ach, i pan doktor! — stopniując o ton wyżej każdy z tych trzech wykrzykników, wołała niby z nadzwyczajnie uprzejmem zadowoleniem matka „fornalki“. — Co za miła niespodzianka!... o mój Boże!... kogo ja tu spotykam!... Pani baronowa!... szanowna pani baronowa!...

Podeszła, zgięta wpół, jak kabłąk i z wielką aten

cyą zaczęła cmokać w powietrzu na wszystkie strony Phalernową.

— Panienki!... ucałujcie rączki pani baronowej!... Pani baronowa pamięta Felisię?... A to moja Malcia!... Józieczku! Romciu!... przywitajcie się!... — komenderowała dalej. — Cóż to, nie poznaliście pana barona?...

Chłopcy rzucili się łapczywie do całowania rąk i ponownego szurania nogami po dywanie.

— Co za szczęście! — piszczała dalej głosem rzewnym i przesłodzonym Szubina. — Mój Boże, mój Boże!... ktoby pomyślał, że się spotkamy tutaj znowu w tak bolesnej chwili!... Państwo zapewne tak, jak i my, na powitanie kochanej, drogiej, jedynej naszej pani Balbiny?... Ktoby się to był spodziewał, prawda?... Przecież to samo zdrowie, krew z mlekiem, kobieta, jak... jak... jak...

Nie mogła znaleźć dosyć trafnego porównania, a więc dała pokój dalszym określeniom.

— I parę lat wystarczyło, żeby taki kolos... ach, mój Boże, mój Boże!... Państwo bo częściej musieli bywać w Omylinie?... ja w ostatnich czasach nie śmiałam się narzucać. Za życia nieboszczyka pierwszego męża, jako kuzynka, bywałam tu także częstym gościem, ale to dawne czasy, o! bardzo dawne!...

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, jak gdyby jej te wspomnienia serce rozkrwawiły.

— Pamiętam, pamiętam — zapewniała ją baro-

nowa, nastrajając się bezwiednie na ten sam ton minorowy. — Byłyśmy obie pannami wtedy...

— A tak, tak!...

— Trzydzieści lat!...

— A tak, a tak, mój Boże!...

Pochyliła się, aby w imię tych wspomnień ucałować w ramię swą towarzyszkę minionej dawno młodości.

Baron siedział, jak na szpilkach i gładził swój kapelusz, Krysiewicz z doktorem szeptali coś we drzwiach, obie panie prowadziły rozmowę na temat wspólnych wspomnień i refleksyi, które im smutna teraźniejszość nasuwała.

Nagle bronzowy zegar na konsoli z figurą czarnego murzyna zaczął grać skocznego jakiegoś walczyka w chwili najpatetyczniejszych wyrzekań nad dolą tej biednej, kochanej, zacnej pani Balbiny, którą rodzina pierwszego męża i drugiego utracić miała na zawsze...

W tem miejscu bowiem Józieczek z Romciem przysunąwszy się do zegaru, zdołali pomanewrować przy nim tak zręcznie, że niepostrzeżenie pociągnęli za sznurek, wystający zpod klosza i wprowadzili w ruch pozytywkę, co starszego brata tak ucieszyło, iż na cały głos z tryumfem zawołał, zapominając o obecności osób starszych:

— A widzisz ośle, że gra!...

Matka zerwała się, jak oparzona.

— Pójdźcie precz od zegaru!... kto wam po-

zwolił ruszać?... Całą drogę uczyłam, jak się macie zachowywać!... Co to jest!

Wypchnęła obu niesfornych chłopców do ogrodu i wróciła na swoje miejsce przy baronowej.

— Co ja mam z tymi chłopakami! — żaliła się — a tu trzech jeszcze w domu zostało... Najstarszy jest w Warszawie, pracuje już na siebie.

— Cóż robi?... — przez grzeczność spytała Phalernowa.

Szubina westchnęła ciężko, głowę spuściła i oczy zamknęła, jak gdyby ją ta odpowiedź wiele kosztować miała.

— Ha, niby literat! — rzekła po chwili, ale takim głosem miłosiernym i nieszczęśliwym, który starczył za najobszerniejszy komentarz żalu i urazy macierzyńskiej do syna, plamiącego palce atramentem.

Baronowa zaczęła niby coś sobie przypominać.

— Prawda, prawda!... słyszałam coś o tem; podobno w jakiejś redakcyi pracuje?... Utalentowany?...

— Czy ja wiem!... jemu się zdaje, że ma zdolności; ale ojciec powiada, że... Ot, zmartwienie!... Tyle nas kosztowała jego edukacya, bo to najstarszy, tyleśmy się dla niego poświęcali... i co z tego!...

Nachyliła się do ucha baronowej i w sekrecie szepnęła:

— Szkół nie skończył, egzaminów mu się zdawać nie chciało, w głowie mu się przewróciło!...

Ręką machnęła w powietrzu i westchnęła jeszcze żałośniej:

— Ja to wszystko pani baronowej kiedy opowiem.

Zegar, na szczęście, grać przestał.

Krysiewicz wyprowadził doktora z salonu i pocichu kończył z nim rozmowę.

— Najlepiej tak zrobić; pojechać naprzeciw... konie stoją założone. Bóg wie, co tam po drodze zaszło!...

— Jadę!...

— A nie wracajcie od młyna, tylko pod kościołem — ostrzegał rządca — tamtędy lepsza droga.

Baron kręcił się na fotelu i w swoich myślach był zatopiony; znudziło go słuchanie utyskiwań pani Szubiny i opowiadań o wszystkich nieszczęściach, które ich prześladują, bał się jednak wyjść do ogrodu, aby nie wpaść na Orszę.

Wyjął notatnik i zaczął w nim przeglądać jakieś cyfry, sumować, odejmować, mazać; srebrny ołóweczek gryzł w zębach i kombinował.

Rezultaty musiały być niedobre, bo się krzywił i poprawiał na fotelu, spoglądając w roztargnieniu na zegarek, jakby mu każda minuta godziną się wydawała.

Szubina tymczasem nudziła ciągle baronową, która niespokojne spojrzenia rzucała w stronę męża i z jego fizyognomii odgadywała tę wewnętrzną rozterkę, którą przechodził.

Udawała, że słucha z zajęciem, ale więcej ją obchodził każdy ruch męża, każdy grymas, który mu usta wykrzywiał, każda zmarszczka, fałdująca głębiej jego czoło — aniżeli opowiadanie Szubiny.

Ta zaś, jak skrzypiące taczki, swoim płaczliwym głosem mówiła jej:

— Cała nasza nadzieja teraz w Krokowskiej, przyznam się pani baronowej. Ośmioro dzieci!... to strach, prawda?... Dziewczynki są jej chrzestnemi córkami, może chociaż o nich nie zapomni. Ma przecież obowiązki; nieboszczyk Omyliński był moim stryjem, choć był tylko przyrodnim bratem mojej matki, która z drugiego małżeństwa się rodziła. Po sprawiedliwości, to powinno mi się coś dostać ze schedy po nieboszczyku, prawda?... Omylin, to jego własność właściwie, nie jej; ona miała swój majątek posagowy. Dzieci Pan Bóg nie dał, komuż to zostawi?... A u nas ledwo koniec z końcem się wiąże. Ot, Felisia, Malcia!... pokażcie pani baronowej swoje buciki. Nikomubym tego nie powiedziała, ale pani baronowej mogę; pani baronowa sama jest matką, to mnie dobrze zrozumie.

Dziewczęta zawstydzone powystawiały swoje chude nogi w białych pończochach, które źle naciągnięte, pofałdowały się i poskręcały.

— Widzi pani baronowa, nawet podzelować tego już nie warto — wyrzekała dalej matka — a na nowe, dalibóg, niema skąd wziąć. Ja sama w jednej sukni trzeci rok chodzę: przerabiam, nicuję,

do farby daję, aby oszczędzać. Bóg jeden widzi, jak nam jest ciężko!...

Otarła sobie oczy chustką, którą wzięła z rąk jednej z córek i zadumała się nad swoją dolą.

Baronowa skorzystała z tej chwili i podeszła do męża.

— Ależ to piła! — szepnęła mu pocichutku, zrobiwszy minę zmęczonej ofiary. — *Insupportable!...* zabierz mnie stąd.

Mąż ramionami wzruszył niechętnie i głowę odwrócił.

— Nie przerywaj mi teraz!... ja ci nie przeszkadzałem, prawda?...

Stała przed nim z rękoma splecionemi, nie wiedząc, co z sobą zrobić.

Zobaczyła, na szczęście, Krysiewicza w ogrodzie; wyszła do niego, niby to z ważną jakąś kwestyą, aby się uwolnić od Szubiny, która posiedziała jeszcze chwilę na swojem miejscu, potem wstała pocichu i na palcach podeszła do drzwi sąsiedniego pokoju.

Córeczki ruszyły się w ślad za matką, jak pisklęta za kokoszą.

Po niejakim czasie słychać ją było, jak skradając się nieśmiało, z pokorną, ale nieśmiałą miną do stołowego pokoju, witała tam już starego Orszę z taką napozór radością i zadowoleniem, z jakiem pół godziny temu spotykała barona i baronową.

— Ach, pan Ignacy!... ach, kochana Lolusia!...

Jakże mi się pan dobrodziej miewa?... Co za niespodzianka!... Panienki, przywitajcie się z panem Orszą!... Bardzo mi przyjemnie!...

Stary mruk nie wstając z miejsca, podał jej rękę, a dygającym dziewczynkom kiwnął ciężko głową i obojętnie słuchał rozczulonych wynurzeń Szubiny.

— No, patrzajcie państwo!... jak to góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem... A toć to kopa lat, jakeśmy się nie widzieli!... Pan Ignacy ślicznie wygląda, zawsze jak ćwik rumiany, samo zdrowie!... Chwała Panu Bogu Najwyższemu!... Lolusia mi tylko jakoś pomizerniała, a może tylko tak się wydaje. Upały te musiały ją zmęczyć; ja sama ledwo dyszę. A tam tę naszą kochaną panią Balbinę wiozą i wiozą na taki skwar!... Strach!... aż mi się coś robi, kiedy o tem pomyślę.

Rzuciła okiem na pustą salaterkę po jajecznicy, na resztki chleba i masła, zostawione na stole przed Orszą i tym samym minorowym tonem, z jakim przed chwilą ubolewała nad losem chorej i umęczonej Krokowskiej, rzekła:

— Pan dobrodziej już po śniadanku?... Ja bo... nie wiem tylko, czy wypada?... Dzieci! wyście może już głodne, nie?... zjadłybyście choć chleba z masłem, prawda?...

Lolusia porwała się nagle z miejsca na te słowa.

— To ja powiem panu Krysiewiczowi...

— Ależ, niechże Bóg broni!.. W cudzym domu...

w takiej chwili... — wymawiała się jedynie dla formy Szubina. — Co najwięcej, jeżeli Lolusia już taka dobra, szklaneczkę mleka dla moich panienek, albo cokolwiek. Oni tu głowy biedaki dzisiaj nie mają myśleć o gościach!... Gdzież, takie zmartwienie, mój Boże!...

Lolusia obie dziewczyny wzięła za ręce i wyprowadziła je z sobą z pokoju, by znaleźć dla nich jaki posiłek.

Szubina z wdzięcznością ucałowała ją trzy razy za to, że taka uprzejma, a potem wróciła do pana Ignacego i przybierając znowu swą miłosierną minę, usiadła naprzeciw niego przy stole.

— Widziałeś pan dobrodziej?... — zagadnęła go, dyskretnie głos przyciszając. — Phalernowie... państwo Phalernowie — poprawiła się — przyjechali także. On ma jakąś bardzo rzadką minę... a ona czegoś zakłopotana. Przyjechali pewno drzeć łyko, nieprawda?...

Orsza patrzał zamyślony w pustą salaterkę i nie odpowiadał.

Namarszczony był i chmurny jeszcze bardziej, aniżeli wprzódy, po zobaczeniu baronowej.

Szubina obejrzała się ostrożnie i poszła przezornie zamknąć drzwi jedne i drugie, wróciła na swoje miejsce, tylko przysunęła się bliżej do pana Ignacego i szeptem mówiła dalej:

— Z nimi podobno bardzo krucho, słyszał pan dobrodziej?... Pańskie fumy ich się trzymają, ale

już po sto rubli pożyczają na weksle. Starszą córkę... tę Leosię, co to im ciągle choruje, chcieli wydać teraz za mąż za jakiegoś hrabiego, ale podobno wszystko się zerwało, bo coś tam o posag nie mogli się pogodzić. Wysłali ją teraz do Warszawy, żeby narzeczonego znowu złowić, a te dwie młodsze siedzą na wsi, bo...

Orsza odchrząknął głośno i zwrócił się do niej szorstko:

— Siedzą nie siedzą, łowią nie łowią, co mnie do tego?... Ja się babskiemi plotkami nie zajmuję!... Pytam się panią o to?...

Wsiadł na nią tak rubasznie, że aż odskoczyła od niego.

— No, nie... ale myślałam, że...

— Daj mi pani pokój!... — ofuknął ją — co mnie to teraz obchodzi?... Ja mam co innego na głowie! Siostra mi może umrzeć lada chwila, ot!... a pani mi tam plotki gderasz!...

Westchnął ciężko i powstał z krzesła, aby się przejść po pokoju.

Podłoga pod nim zatrzeszczała, gdy się wyprostował; mężczyzna był rosły, jak dąb, gruby, duży, zażywnej fizyognomii.

— Ach, prawda, prawda!... — podchwyciła Szubina, przyprowadzona do porządku — przecież to i mnie na sercu leży, jak kamień!... Alboż to my do familii nie należymy?...

Zmieniła ton i zaczęła wyrzekać, ubolewać nad

chorą, nad sobą, nad swojemi dziećmi, nad biednym swoim Wenusiem (Szuba miał na imię Wenanty), utyskiwać na losy i opowiadać o tych starych bucikach, których nie warto nawet dawać do podzelowania i o tej sukni, w której trzy lata chodzi dla oszczędności — słowo w słowo niemal to samo, co opowiadała baronowej.

Pan Ignacy chodził po pokoju zniecierpliwiony. Kwadranse mijały; doktor nie wracał, Krysiewicz się nie pokazywał.

Na zegarze trzecia wybiła.

— Co to jest, że oni nie przyjeżdżają?... — mruczał Orsza. — Mogłabyś pani pójść się dowiedzieć, czy nie widać powozu!... Może tam już co wiedzą?... — zwrócił się do Szubiny.

— Z największą chęcią! — oświadczyła pokornie, z przesadną grzecznością — ja zaraz... ja w tej chwili...

I wyszła swoim cichym, lisim, nieśmiałym krokiem do przedpokoju.

Nie natrafiła nigdzie ani na Krysiewicza, ani na baronostwo, ani na Lolusię z dziećmi, ani na nikogo ze służby.

Wstąpiła do salonu, spodziewając się zastać tam choćby doktora — ale i w salonie było pusto.

Dopiero w narożnym pokoju, z którego okno wychodziło na drogę, wijącą się od młyna ku dworowi, posłyszała głosy.

Phalernowie urządzili sobie tutaj obserwatoryum;

nie mogąc się doczekać powrotu Krokowskich, weszli do tego gabinetu i obsiedli okno, a że słońce operowało przez szyby, zapuścili storę niebieską i kolejno zmieniali się, by przez szparę między roletą a murem wyglądać, czy się nie ukaże nareszcie wyczekiwany powóz.

— Stopić się można! — wyrzekał baron. — Żeby choć dali co się napić dla ochłody.:. Język mi zasechł zupełnie. A ci tam wloką się, jak ślimaki!...

— Ja przypuszczam, że się chyba Krysiewicz domyśli i zadysponuje jakiś obiad! — odezwała się baronowa. — Tam po drugiej stronie już się śniadaniem uraczyli; zastałam Orszę nad jajecznicą.

— Niechby dali już cobądź — wtrącił Jędruś. — Przyznam się, że jestem dyabelnie głodny!...

— Jakoś nie wypada się upomnieć.

— Dlaczego nie wypada?... Kondolencya swoim porządkiem, a apetyt swoim; mama wie, że jestem tylko po herbacie — skarżył się syn. — Niepraktyczniśmy się urządzili!

— Pssst! — przerwał mu krótko ojciec, którego raziła obca rozmowa w jego obecności; przyłożył do oczu binokle, któremi się bawił dotąd i przez szparę wyjrzał po raz dwudziesty.

— No, i jak niema ich, tak niema!... czyżby się im w drodze co przydarzyło?... Już mi to wyczekiwanie bokiem wyłazi!

Wstał, ręką machnął i uznojone czoło chustką sobie ocierał.

— Ja powiadam, że jak się wiedzie, to się wiedzie! — zaczął — gotowi ją jeszcze przywieźć prosto na katafalk. To już takie psie szczęście!... A wtedy co?... stryk na szyję tylko i koniec!

— Toniu! — jęknęła boleśnie żona i wystraszone oczy zwróciła na męża, jak gdyby go już widziała wiszącego.

— Toniu! Toniu!... — powtórzył z przesadą, przedrzeźniając jej wykrzyknik. — Ty tylko to umiesz!... A cóż innego zrobić?... Radź, kiedyś taka mądra.

— W najgorszym razie coś się jeszcze znajdzie...

Zatrzymał się przed nią niemal z pasyą.

— Co?... co się znajdzie?... no co?...

— Sprzeda się, Antosin... — szepnęła nieśmiało — a zostaniemy tylko przy Żołędziówce i...

— Jesteś...

Ugryzł się w język, nie dopowiedziawszy drugiego wyrazu, bo w tej chwili ujrzał we drzwiach Szubinę, która od kilku chwil podsłuchiwała już ich rozmowę, ale nie dając tego poznać po sobie, weszła z miną dobroduszną, pytając:

— I tutaj niema moich panienek?... Szukam ich po całym domu; gdzieś mi się moje dziateczki podziały. Państwo nie wiedzą, co się dzieje?... Nikogo tu dopytać się nie można...

Baron bez słowa odpowiedzi wyszedł; dusił się

z irytacyi, potrzebował świeżego powietrza, więc wybiegł spiesznie na dziedziniec.

Dokoła klombu dziateczki pani Szubiny goniły się i dręczyły młodego kundla, którego ciągnął za ogon Romuś, podczas gdy Józieczek od przodu wymachiwał mu przed samym nosem swym kapeluszem.

Pies szczekał, chłopaki się śmiały i bawiły w najlepsze, chociaż słońce przypiekało z góry, a pot perlił się im na skroniach i na nosie.

— Nie puszczaj go!... nie puszczaj! — wołał starszy braciszek, któremu te psie figle widocznie nadzwyczajnie się podobały.

Z bocznych drzwi pałacu wyszedł nagle Krysiewicz i do chłopców dość ostro zawołał:

— Proszę być cicho!... nie trzeba robić krzyków. Pani Krokowska śpi!... do pokoju mi zaraz!

Baron podniósł głowę i aż drgnął na te słowa.

— Co robi? — śpi?... — spytał żywo, podchodząc do rządcy, którego dotąd daremnie poszukiwali wszyscy goście we dworze; — więc przyjechali nareszcie?...

— Od godziny — spokojnie odparł Krysiewicz.

— Jak to?... którędy?...

— Tamtą stroną od kościoła. Doktor przywiózł państwa Krokowskich; jeździł naprzeciw...

— A... a czemużeś nam pan nie powiedział o tem?

Stary rządca spojrzał mu w oczy i wzruszył ramionami.

— Myślałem, że pan baron dawno już wie...

— Skądże miałem wiedzieć?... wyglądaliśmy ich od strony młyna.

Ożywił się i zawrócił do pałacu.

—Muszę uwiadomić natychmiast żonę... przecież można będzie pójść zaraz do...

Krysiewicz ręce rozłożył.

— Dzisiaj już nie — rzekł pokornie, ale stanowczo. — Doktor zabronił.

— A kiedy?...

— Może za kilka dni dopiero. Doktor nie pozwala nikomu wchodzić do pokoju.

— Co?... co znowu?...

— Nie pozwala, cóż robić?... trzeba słuchać, tu chodzi o życie, panie baronie.

Baron z otwartemi ustami stał przed nim i własnym uszom wierzyć nie chciał.

Rachuby jego na dzisiaj przynajmniej — zawiodły zupełnie.

II.

Pałac w Omylinie należał do najokazalszych budowli w całej okolicy; murowany, piętrowy, w stylu włoskiego renesansu, wydawał się jakby przez pomyłkę architekta postawiony w dworskim ogrodzie majętnego szlachcica, zamiast na bruku miejskim, w odpowiedniejszem dla siebie otoczeniu.

Stawiał go jeszcze dziadek nieboszczyka Omylińskiego, pierwszego męża Krokowskiej, gdy się miał żenić z jakąś księżniczką francuską, która oprócz tytułu, nie posiadała, co prawda, nic więcej w posagu dla dodania blasku mitrze książęcej.

Małżeństwo jednak do skutku nie doszło, ale pałac pozostał, jako pamiątka konkurów, skutkiem których młodsza linia Omylińskich omal z księżniczki się nie rodziła.

Kiedy z zrządzenia losów stało się potem całkiem inaczej i dziadek Omyliński ochłonął z miłosnego zapału i ambicyi arystokratycznych związków, poślubiwszy zacnego rodu, choć nie bogatą szlach-

ciankę, zwykł był swą pańską rezydencyę nazywać „pomnikiem swojej głupoty“.

— Ot, pstro mi było w głowie! — mawiał z uśmiechem politowania nad samym sobą — potrzeba mi było takiego kasztelu zamiast porządnej chałupy, coby i trzeciej części tego grosza nie kosztowała!...

Nosił się nawet z myślą zwalenia dwóch skrzydeł i pozostawienia jedynie środkowego korpusu, ale odkładając wykonanie swojego zamiaru z roku na rok, umarł, nie tknąwszy ani jednej cegły z kosztownej rezydencyi i pałac w swoim pierwotnym stanie ocalał.

Stary Orsza, ojciec pani Balbiny i siostry jej Laury, matki dzisiejszej baronowej, wydając córkę za Omylińskiego, spłacił rodzinę zięcia i dobra omylińskie wraz z pałacem włączył do posagu Krokowskiej.

Po fatalnym zgonie pierwszego męża, pozostała wdowa załatwiła resztę spadkowych ciężarów dobrowolną ugodą, wszedłszy w posiadanie całej fortuny, powiększonej następnie niezbyt wielkiem, ale dość jeszcze znacznem mieniem drugiego małżonka.

Najsłuszniej też Krokowscy uchodzili za ludzi bardzo zamożnych, jakkolwiek ściśle nie umiał nikt, nawet z najbliższych, oznaczyć sumy ich kapitałów, lokowanych na hypotekach i w bankach, oprócz wartości w ziemi i majątku nieruchomym.

Baron, którego szczególniej zajmowała ta kwe-

stya, wyrażał się w sposób nie bardzo malowniczy, ale dosadny:

— Przecież Krokowscy mogliby na śniadanie, obiad i kolacyę zjadać swoje pieniądze we dwoje i taki wikt wystarczyłby im z pewnością na jakie sto lat.

Utrzymywał też z jakąś złośliwą urazą, że chyba rzeczywiście pożerać muszą swoje ogromne dochody w gotówce, bo niewiadomo coby z nimi robili przy wydatkach stosunkowo nie dużych na siebie i swoje skromne potrzeby.

— Twoja ciotka to Harpagon w spódnicy! — wyrzucał żonie w chwilach złego humoru. — Założyłbym się, że ona chodzi w cerowanych pończochach dlatego tylko, żeby sobie nowych nie potrzebowała kupić!

Zapominał jednak, że temu Harpagonowi zawdzięczał niejednokrotnie pomoc w bardzo krytycznych wypadkach, kiedy go jego ciągłe spekulacye majątkowe i niepohamowana żądza jak największych zysków, stawiały nad brzegiem ruiny.

Miał jej jednak zawsze do zarzucenia, że skąpiła, bo wszystkie jego prośby i nalegania o pożyczki. prolongaty, kupna i wykupy, spełniała tylko w połowie lub w dwóch trzecich częściach.

Ona jednak wiedziała dobrze, dlaczego to robi; znała naturę barona, który w interesach pieniężnych bywał chciwszy od żyda i próbował wyzyskiwać nawet tych, którzy mu w danych chwilach

nietylko przysługi, ale prawdziwe dobrodziejstwa nieraz wyświadczali.

Była przekonaną, że zwykle dwa razy więcej od niej żądał, aniżeli mu rzeczywiście było potrzeba, więc umyślnie redukowała do połowy pożyczki, których spłata nie obywała się nigdy bez kłopotów i różnych przykrości.

Zresztą nie Phalernowie jedni korzystali z jej szczodrobliwości i majątku; miała w rodzinie więcej tego rodzaju „pijawek“ większych i mniejszych; nie darmo nosiła tytuły: kochanej cioteczki, drogiej siostry, jedynej babuni, szanownej kuzynki, najdroższej stryjeneczki i t. p.

Wszystko to trzeba było opłacać na swój sposób, wszystko to obłożone było nieraz bardzo znacznym nawet podatkiem, jakkolwiek trudno przychodziło zadowolić zupełnie każdego z licznych krewnych, powinowatych i kuzynów, którzy w oczy jej schlebiali i nadskakiwali, ilekroć im potrzebną była, a za plecami mruczeli:

— Mogłaby też więcej robić dla rodziny, niż robi!...

Do najwdzięczniejszych napozór należała Szubina ze swemi dziateczkami; ta przynajmniej nie uciekała się do żadnych sztuczek i sposobików, odwoływała się zawsze wprost do łaski i złotego serca stryjenki dobrodziejki, ale utyskiwała wiecznie, jęczała, wzdychała, płakała tak zawzięcie, jakby to

złote serce było co najmniej z bazaltu i kruszyć je trzeba było oskardami.

Przywoziła z sobą stale kilkoro pociech, które umyślnie na tę wizytę ubierała w powycierane sukienki, w stare buciki, w obdarte okrycia, aby tym widokiem rozczulić Krokowską i skłonić ją do większych względów dla biednej matki ośmiorga głodnych dzieteczek.

— Wenuś kazał stryjeneczce rączki i nóżki ucałować — zapewniała zawsze, ale Wenuś nie lubił się pokazywać w Omylinie; pozostawiał żonie misyę roztkliwiania złotego serca stryjenki.

Ona zaś nie wiedziała może nawet o tem, że swoją rolą przejmuje się tak głęboko i tak szczerze, iż sama za prawdę uważa wszystko, co w gruncie rzeczy aż o komedyę potrącało; w rzeczywistości bowiem nie było podobno u Szubów nigdy tak źle, jak to oboje opowiadali, pomimo ośmiorga dzieci i braku stałych dochodów.

Wenuś od lat dwudziestu prowadził z rodziną żywot koczujący, ciągle nibyto szukając dla siebie oparcia, zajęcia, odpowiedniej posady, kawałka chleba i zapewnionego bytu; nigdzie jednak dłużej nad rok, co najwyżej dwa, spokojnie usiedzieć nie potrafił.

Czepiał się rozmaitych zawodów, próbował tego i owego, puszczał się na przedsiębiorstwa, na których niby tracił, utyskiwał, że mu się nieszczęściło we wszystkiem, kupował, targował, sprzedawał fol-

warki, zakładał biura komisowe, agentury ziemiańskie, chodził dzierżawą, przyjmował obowiązki w większych gospodarstwach, handlował końmi i wełną, na wszystkiem się niby znał i na wszystkiem niby tracił, bo — jak utrzymywał — pod ciemną gwiazdą się urodził.

— Psie szczęście człowiek ma!... — mówił o sobie. — Innemu szydła golą, mnie brzytwy nie chcą. Żebym palec w masło wsadził, tom go złamać gotów, a drugi na łeb spadnie z trzeciego piętra i nic sobie nie zrobi. Do czego się wezmę — stracę. Już się człowiek poprostu boi zaczynać, tyle razy się sparzył!...

Wymyślał na ludzi, na świat, na losy, na wszystko i wszystkich, udawał krańcowego pesymistę, aby mieć wymówkę, że się... do niczego nie zabiera, bo leniuch i wałkoń był z natury, któremu najlepiej cudzy chleb smakował.

Do jednego miał tylko szczerą ochotę i zdolność rzadką, to do życia cudzym kosztem.

Zawsze sobie gdzieś kogoś takiego wynalazł, który go przygarniał razem z rodziną, litował się nad nim, uwierzył w jego „pech“ i dopomódz mu próbował.

Liczną rodzinę miał, pomiędzy którą znajdowali się ludzie zamożni i wpływowi; do nich trafiał, wyszukując rozmaitych dróg, a gdzie sam nie mógł, posyłał żonę lub dzieci, i poprostu spekulował na

litość i współczucie swoich i obcych, aby żyć, rozumie się, o ile możności najwygodniej.

Byli tacy, którzy niedowierzali jego wyrzekaniom i jeremiadom, utrzymując nawet, że Szuba wcale biednym nie jest, że tylko chce za takiego uchodzić, ale ma kapitalik uciułany i na cudze imię nim obraca, chowając zyski do własnej kieszeni, a z cudzej czerpiąc nieustannie na swoje i rodziny utrzymanie.

To pewna, że w ostatecznej potrzebie umiał sobie jakoś dawać sam radę bez cudzej pomocy i niewiadomo skąd „wytrzasnął“ zawsze tyle, ile mu niedostawało, gdy natręctwem swojem i skomleniem zniecierpliwił wszystkich tak, iż mu zapomóg i pożyczek odmówili.

— Już mi włosy z głowy wyłażą! — biadał, przegarniając swoją bujną i wcale jeszcze nie siwiejącą czuprynę. — Sypiać po całych nocach nie mogę, miejsca sobie znaleźć trudno, żyć się człowiekowi przykrzy!... Przysięgam Bogu, stryk tylko założyć na szyję i skończyć raz z takiem podłem i marnem życiem!...

Mimo to, apetytu wcale nie tracił, sypiał po dziesięć godzin na jednym boku, tuszy był okrąglutkiej, twarz miał pełną i wcale zdrową cerę, tylko nos nieustannie na kwintę spuszczony, a około ust pod wąsem zwieszonym, jak u suma, sztuczny grymas niezadowolenia i rezygnacyi.

Umiał przyjść do kogo na pięć minut, a prze-

siedzieć pół dnia, przypadkiem niby trafić na śniadanie, a wyjść dopiero po obiedzie, zatrzymać się w przejeździe, a popasać dwa tygodnie.

W Omylinie niechętnie go widziano od czasu, gdy pewnego razu przyjechał z rozpaczliwą, zgnębioną miną, aby pożegnać się z wujenką na wieki, zwierzywszy się jej w zaufaniu, że postanowił sobie w łeb strzelić, bo mu tak już to podłe życie dojadło, że musi skończyć.

— Wujenko dobrodziejko, nie żądam nic, grosza nie chcę — zapewniał ją patetycznie — tylko dla moich sierót miejcie po mojej śmierci zlitowanie i dla tej nieszczęśliwej Salusi, aby z głodu i w nędzy nie zmarniała. Ze mną już postanowione!... jutro już mnie nie zobaczycie!... Naparstek prochu, szczypta ołowiu i będzie koniec. Przysięgam Bogu, dojadło mi!... Już wam Szuba więcej zawadzać na tym świecie nie będzie, o nie! nie!...

— O cóż znów idzie? — spytała go pani Balbina. — Co się panu takiego stało? Skądże ten desperacki humor?...

Nie chciał z początku mówić o tem, zrezygnowany już na wszystko.

— Co tam!... nie warto tego dotykać... Już zapóźno! — powtarzał, łzy połykając — poco mam gadać?... co komu z tego przyjdzie?...

— Jednak możeby się dało zaradzić?... — próbowała go wybadać Krokowska.

Szuba ręką machał, włosy przegarniał, czoło

dłońmi ściskał, parę razy nawet, niby od niechcenia, nie nabity rewolwer w jej obecności z jednej kieszeni do drugiej przekładał, ale tak, aby go dostrzegła, potem nareszcie wyrzekać zaczął:

— Żeby porządny, uczciwy człowiek, który na złamany grosz w całem życiu nikogo nie skrzywdził, nie mógł głupiego tysiąca rubli wydostać znikąd i to wtedy, kiedy całą rodzinę z nędzy wydobyć może i na nogi postawić — to bolesne!... o, to bardzo bolesne!... Jakto, żeby człowiek na tyle nie miał już zaufania?... Tysiąc rubli?!.. a czyż to tak dużo?... Dla nas, biedaków, to majątek, ale wieluż to takich większe sumy dla prostej fantazyi swojej puszcza?... A jednak, gdziem tylko zapukał, wszędzie — wszędzie mi odmówili. Nikt nie chciał poratować, nikt miłosierdzia nie miał; niechże teraz zlituje się nad mojemi sierotami, skoro bliźniego w krytycznej chwili poratować nie chciał!... O, mam już dosyć tego wszystkiego, dość!... Trzeba zrobić raz koniec!

Powoli dał się niechętnie niby to wyciągnąć na słówka i przyznał się, do czego mu te pieniądze były potrzebne; miał świetne kombinacye: proponowano mu spółkę w jakimś interesie, który dawał sto za sto, mógł nareszcie wypłynąć, a tu — ot, los!... podłe życie!... ani ratunku, ani kredytu, ani zaufania, ani nic.

Mówił, że bez tysiąca rady sobie nie da, bo tylko okrągły tysiąc może go uratować; straszył

raz po raz naparstkiem prochu i szczyptą ołowiu, w ostateczności jednak wyjechał z dwustu rublami, które mu Krokowska ofiarowała i pogodził się z życiem, zwłaszcza za cenę prawie nowej jeszcze lisiury, dodanej mu na drogę przez Krokowskiego w prezencie, bo miał jechać aż do Kijowa na kontrakty, aby tam szukać jakiego zajęcia, a nie miał wcale cieplejszego palta na drogę.

— Człowiek chodzi jak obszarpaniec! — skarżył się. — Gdzie tu się porządnym ludziom na oczy pokazać?... Jak cię widzą, tak cię piszą!... Nie jeden, jak mnie w takiej wyszarzanej burce zobaczy, pomyśli: „Ten Szuba, to jakiś szubrawiec!“ — i dalibóg, nawet mu się dziwić nie można.

Pomanewrował tak, że jeszcze ceremonie robił, gdy mu pan Janusz prawie gwałtem lisiurę na plecy wkładał; ale od tego czasu do Omylina już nie zaglądał, bo Krokowska jego żonie przy sposobności powiedziała, żeby tych komedyi z rewolwerem nie powtarzał więcej.

— To komedye?... komedye?... — powtarzał z goryczą i żalem robionym na zimno, gdy mu Salusia te słowa powtórzyła. — U niej to były komedye?... dobrze, dobrze, że wiem o tem. Z głodu prędzej zdechnę, niżeli drugi raz przed nią się zwierzę z tego, co mi dolega... Noga moja więcej w Omylinie nie postanie!... — zakonkludował z urazą

w końcu, ale natychmiast, robiąc praktyczne ustępstwo, dodał:

— Ty sobie możesz jeździć tam, jeżeli ci się podoba — ja nigdy!... Nie zobaczy mnie więcej szanowna pani Krokowska u siebie. *Dixi!*

Salusi zaś nie przeszkodziło to odwiedzać kochanej stryjenki i przywozić jej swoje dzieteczki w wyszarzanych sukienkach i podniszczonych bucikach; pisywać listów na czterech stronach z lamentacyami i prośbą o wsparcie poraz najostatniejszy w życiu, zaco przyrzekała w imieniu całego rodu Szubów wdzięczność dozgonną, a nawet pozagrobową.

Zupełnie odmiennym typem był pan Ignacy Orsza, stryjeczny brat Krokowskiej.

Dziedzic niegdyś znacznej fortuny, przepuścił wszystko w młodszych latach i dwie schedy zdążył zmarnować jeszcze w dodatku, tak, że oprócz małej wiosczyny, oddanej w dzierżawę swemu byłemu ekonomowi, nie miał literalnie nic więcej we własnem posiadaniu.

Ten przynajmniej na losy nie wyrzekał; co najwięcej, wydymając ze wzgardą dla takich marności światowych swoje grube wargi, mówił:

— Bóg dał, czart wziął!... Da Pan Bóg jeszcze, to dyabeł znowu weźmie!

Pieniądze go się nigdy nie trzymały, tak samo wówczas, gdy miał krocie, jak i teraz, gdy stu-

rublówka bywała bardzo rzadkim gościem w jego kieszeni.

Z kredką w ręku nie byłby się nigdy potrafił obliczyć na co właściwie puścił majątek; zawsze mu się gdzieś gotówka sama rozłaziła.

Do rachunków nie miał zmysłu i powiadał o sobie:

— Ja mam już taką dziurawą kieszeń widocznie, bo zawsze z niej tylko resztę wydostaję z tego, co w nią włożę.

Często i tej reszty doszukać się nie mógł; wtedy bywało krucho z panem Ignacym i gdyby nie jakieś tam dożywocie, które jeszcze posiadał, nie byłoby może nieraz żyć z czego.

Miał jednak tę dobrą naturę, że na wozie, czy pod wozem, zachowywał zawsze tę samą równowagę i nie byłoby można poznać po nim, czy jest goły, jak święty turecki, czy też ma całą garść zmiętych banknotów w kieszonce od kamizelki, w której zwykł był nosić swoje kapitały, obchodząc się całe życie bez pugilaresu.

Ten sposób noszenia pieniędzy był też charakterystycznym rysem porządku i gospodarki starego Orszy; do niczego nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi.

— Jest, to jest, a niema, to trudno! — mawiał z wyrozumiałością fatalisty. — Zawsze się tam skądś w końcu wziąć musi.

Od lat piętnastu był już wdowcem i miał przy sobie tylko jedyną wnuczkę, Lolusię, która mu po

zmarłej córce pozostała; zięcia stracił trochę wcześniej i musiał opiekować się dziewczyną, co mu wszelako wielkiego kłopotu nie sprawiało, bo właściwie wnuczka więcej troszczyła się i opiekowała dziadkiem, aniżeli dziadek nią.

Zajmowała się jego gospodarstwem domowem, dbała o jego wygody, towarzyszyła mu wszędzie i czuwała nad nim, o ile sama potrafiła.

— Lolusia, czy ja tam mam co jeszcze w kamizelce?... Lolusia, czy ja wczoraj, czy przedwczoraj brałem czystą koszulę?... Lolusia, jak ty myślisz, czy ja nie zadużo zjadłem tego bigosu?...

Lolusia musiała wszystko wiedzieć i na wszystko odpowiadać dziadkowi, bo od czegóż był jej — dziadkiem?...

Wychowywała się nibyto pod jego okiem, ale to oko tak mało patrzało na nią, że nie widziało nawet czy wnuczka ma kolory, czy też jest bladą i oczy ma podkrążone dużemi sińcami; czy nosi zeszłoroczną szarą sukienkę, czy też nową w różowe paski, którą sobie sama sprawiła; czy obcięła krótko włosy, czy też zaplatała je jeszcze w dwa warkocze, jak za czasów pensyonarskich?

Nie była w tem jednakże obojętność i brak uczucia dla Lolusi, którą pan Ignacy kochał po swojemu, ale kochał już przez samo przywiązanie do jedynej towarzyszki swoich lat sędziwych i wdowiej samotności; lecz jakiś osobny rodzaj indyfe-

rentyzmu dla rzeczy, według jego zdania, nie godnych większej uwagi.

— Głodna jesteś, to jedz; chora jesteś, to się lecz; trzeba ci czego, to sobie kup!... — zdawał się mówić do niej. — Ja nie przeszkadzam. Myśl o sobie, moje dziecko, a pamiętaj o starym dziadku przedewszystkiem, bo któż inny o nim pamiętać będzie?...

W gruncie rzeczy pozostawiał jej wszelką swobodę.

Lolusia też, rzec można, wychowywała się sama, robiła co się jej podobało, lub nie robiła nic; całe dnie i tygodnie spędzała często bezczynnie, czytając jedynie książki, jakie jej do rąk wpadały, bez wyboru, bez kontroli, stosowne, czy niestosowne dla jej wieku i umysłu.

Po ojcu neurasteniku odziedziczyła nadzwyczajną wrażliwość i skłonność do migreny, po matce żywy temperament i ładne oczy, które były jedynym jej wdziękiem.

Fizycznie wyrodziła się zupełnie z tężyzny i charakterystycznych rysów wszystkich Orszów: była drobną, nizką, mizerną, z wyrazem początkującej histeryczki w twarzy, zmieniającej się niemal co chwila pod wpływem zewnętrznych wrażeń lub wewnętrznego usposobienia.

Serce miała dobre, a umysł pojętny, ale przeładowany nieporządnie zbieranemi wiadomościami, które, jak w kalejdoskopie, układały się w coraz to inne kombinacye.

Pan Ignacy z czasów swojej świetności majątkowej i lepszych warunków materyalnych, utrzymał w całym sposobie bycia i zachowania się tę jakąś pewność siebie, a nawet właściwą sobie dumę w obcowaniu z ludźmi.

Miał taką minę, jak gdyby zawsze jeszcze posiadał przynajmniej dwa klucze i miał krocie na wyrzucenie.

Swą dużą, siwą, piękną niegdyś głowę, nosił na twardym karku i schylać jej nie umiał przed nikim.

Była w nim hardość ludzi *bene nati* i rodowa ambicya Orszów, która mu nie pozwalała zostać pasożytem w rodzaju Szubów.

Dla nich zarówno, jak i dla baronostwa, miał zawsze coś wzgardliwego w sposobie traktowania i unikał zetknięcia szczególniej z Phalernami, których poprostu cierpieć nie mógł.

Baronowi pewnego razu, na jakiemś zebraniu obywatelskiem, gdy się starał o mandat do pewnej instytucyi, powiedział wprost w oczy, że jest „pańskim dziadem“ i chce cudzym kosztem odgrywać wielką rolę, a patrzy tylko, gdzieby własną pieczeń upiec przy cudzym ogniu.

Pan baron tak się wówczas zaperzył, że omal się na niego nie rzucił z pazurami.

Rzężał ze złości i oburzenia, nazwał go potwarcą i infamisem.

Pan Ignacy pogroził mu tylko pięścią i rzucił w oczy słowa:

— U Orszów lepsi baronowie w piecach palili!...

Skandal się zrobił z tego, który obecni musieli jakoś zatrzeć, aby nie dopuścić do większego zaognienia.

Baron wszelako musiał dobrowolnie zrzec się swojej kandydatury i na pewien czas usunąć się zupełnie z widowni, ale zachował nienawiść do wuja swojej żony, którego nazywał niedźwiedziem, borsukiem, ordynusem, kanalią, szubrawcem i t. p., nie przebierając w wyrażeniach.

Rozumie się, że kiedy istna fatalność kazała mu natknąć się na niego w Omylinie, miał uczucie, jak gdyby z rozjuszonym bykiem spotkał się oko w oko.

— Zostańże tu sobie — powiedział do żony. — To przecie twoja kochana familijka!.. Ja nie myślę się irytować; jeszczebym się zapomniał i zamiast w kąt, plunął w ślepia temu staremu słoniowi. Wiesz, że u mnie nie kupić tego, kiedym zły, a wszystkie pasye mnie biorą, gdy go zobaczę... Wracam z Jędrkiem do domu, a ty zostań i pilnuj naszej sprawy!... Przecież cię muszą do ciotki dopuścić, bo jej pod kluczem chyba nie zechcą trzymać aż do skonania.

Zwrócił się do syna i zakomenderował:

— *André!* każ zajechać i siadaj na kozioł!...

Syn się skrzywił i odważył odezwać:

— Ależ obiad, papo!...

— Każ zajechać i siadaj na kozioł! — powtórzył mu tak dobitnie i spojrzał, jakby w każdem oku miał bat i dwoma naraz śmignął syna. — Nie rezonować!... bardzo proszę!...

— *Pardon!* — mruknął skonfundowany synalek i bez obiadu wywiózł ojca z Omylina, gdzie na straży rodzinnych interesów pozostała tylko sama baronowa.

Przez trzy dni zaledwie raz mogła znaleźć dostęp do chorej ciotki i rozmówić się z Krokowskim, który z pokoju chorej na krok się nie ruszał.

Dopadła go jednak gdzieś w przejściu, przyparła do muru i pół godziny trzymała, opowiadając o strasznem zmartwieniu, jakie ma z powodu choroby cioteczki dobrodziejki i kłopotów biednego Tonia, który ma nóż na gardle i jeśli nie wytrzaśnie skąd sześćdziesięciu tysięcy, to może się stać — Boże uchowaj! — coś okropnego z nimi wszystkimi.

Krokowski słuchał, głową kiwał, ręce rozkładał, wzdychał, brodę podpierał i okazywał wielkie współczucie, ale ostatecznie — rozmówić się z nim nie mogła i tyle tylko uzyskała, że przyrzekł ją do ciotki dopuścić, gdy się stan chorej poprawi, a doktor Pniak nie będzie miał nic przeciw temu.

Wiedziała i tak dobrze, że od Pniaka dużo zależy i że go pozyskać trzeba koniecznie; zaczęła tedy polować na zaufanego lekarza i powiernika

ciotki, a nie mogąc się z nim rozmówić bez świadków, bo taka sposobność jakoś się nie nadarzała (doktor albo przy chorej bawił, albo wymykał się z pałacu, by obowiązkom swoim zadosyć czynić w cukrowni, położonej o pół mili od Omylina), wybrała najmniej stosowną po temu porę i w nocy, dosyć późno, zapukała do jego pokoju, w chwili, kiedy zamierzał właśnie rozbierać się i położyć na spoczynek.

Przyjął ją niechętnie, narzuciwszy na siebie tylko okrywkę, którą miał pod ręką, podniósłszy kołnierz, by zakryć obnażoną szyję, i zapytał, czem może służyć?...

— Mój doktorku — zaczęła słodko, grzecznie, rozsiadając się odrazu nieproszona w fotelu — ja tylko na chwileczkę... na pięć minut... Musiałam aż tutaj pana szukać, bo znikasz przez cały dzień, jak kamfora; dopaść cię nigdzie nie można!... A ja mam taki ważny interes!... trzeci dzień siedzę tutaj; mój Boże, myślałam, że będę mogła cioci czem usłużyć, że się przydam na co, choćby na dozorczynię nocną przy chorej... tymczasem nie dopuszczacie mnie, odsuwacie, bronicie wstępu do jej pokoju!... Czy to się godzi?... Pewniebym to lepiej potrafiła, niż służąca, a moje dobre chęci odrzucają. To mnie boli, to nawet obraża, doktorku!...

Pniak kręcił się niecierpliwie na miejscu; nie śmiał jej przerywać, a radby był pozbyć się jak najprędzej.

— O cóż chodzi, pani baronowo? — spytał, ale z odcieniem niezadowolenia, które nie mogło ujść jej uwagi.

— Kiedy bo pan jakiś zły na mnie, co?... prawda?... — zaczęła. — Pan sobie myśli: „O! co to za nieznośna babą, ta Phalernowa, spokoju mi nie daje, położyć mi się przeszkadza, tylko nudzić przychodzi po nocy!“... Ja wiem, że pan tak myśli, ale to brzydko z pańskiej strony, doktorku; ja do pana jednego mam zaufanie, bo pan jeden tutaj coś znaczy. Niech się pan nie zapiera, ja wiem, co mówię, wiem!... dlatego, gdyby pan zechciał tylko...

Złożyła ręce i podniosła się, podchodząc do niego.

— Mój doktorku, zechciej pan, mój drogi! zrób to, abym ja mogła z cioteczką się rozmówić, choćby na pół godzinki, na kwadransik, ale tak w cztery oczy, bez świadków. Widzi pan, ja mam do niej prośbę bardzo ważną, od której cały nasz byt w tej chwili zależy. Ja przed panem nie potrzebuję tego ukrywać, bo pan prawie tak, jakby do rodziny należał... Ciocia panu ufa, jak synowi!...

— Ależ, pani baronowo... — próbował jej przerwać nadaremnie, bo go jedną ręką wzięła za klapę okrywki, a drugą głaskała po ramieniu, mówiąc:

— Już ja wiem, że czego tylko pan zechcesz, to będzie. Co to panu szkodzi, że ja się z ciocią rozmówię?... jej biedaczki kochanej dnie i tak policzone.

Pniak zmrużył jedno oko i patrzał na nią jakoś tak, jak gdyby spoglądał na brzydką liszkę, któraby mu po rękawie łaziła.

Musiał się powstrzymywać, aby jej instynktownie i ze wstrętem nie odepchnąć od siebie.

— Ciocia mogłaby umrzeć, uchowaj Boże, a jabym się z nią nawet nie zdążyła pożegnać, jak należy! — rzewnym tonem biadała. — Widzisz, konsyliarzu, to nawet rzecz sumienia!... Jabym potem miała do pana żal przez całe życie!

— No, do tego jeszcze daleko!... — rzekł dwuznacznie.

— Jakto, daleko?... — poderwała żywo — czyż nie jest tak bardzo źle?...

Oczy jej zamigotały nagłym błyskiem nadziei.

— Dobrze nie jest, ale znowu na godziny niebezpieczeństwo nie obliczone — mówił, aby się pozbyć natrętnej.

— Na seryo?...

— Tak sądzę.

— Przypuszczasz konsyliarz zatem, że to się jeszcze przeciągnie?... i długo, długo?... jak pan myślisz?...

— Jeśli nic takiego nie zajdzie, może ten stan potrwać jeszcze całe miesiące.

— Co pan mówisz?... miesiące całe?... czy być może?!...

Otucha w nią wstępowała.

— Zatem niema się czego jeszcze niepokoić,

prawda?... To chwała Bogu! to dobrze! to będzie można jeszcze nie jeden raz z nią pomówić, prawda?...

Zaczęła się przechylać z boku na bok, wiercić na miejscu, podnosić, wyprostowywać, płakać i śmiać się jednocześnie, a przytem powtarzać:

— Ale konsyliarz mi ułatwi widzenie się z ciocią?... na pół godzinki, na kwadransik, na dziesięć minut!...

Dawał jej odpowiedzi wymijające, nie przyrzekał i nie odmawiał, byle tylko raz sobie poszła i nie męczyła go dłużej. Rozgadała się jednak i w dalszym ciągu opowiadała mu o kłopotach Tonia, o ich nieszczęściu w interesach, o zawodach, jakie ich spotykają, — a nagle zniżając głos, szepnęła mu prawie do ucha:

— Przyjedź doktor do nas, do Żołędziówki!... Nina moja już mnie tyle razy pytała: „Moja mamo, czemu ten Pniaczek nigdy do nas nie zaglądnie?“ Ona pana także Pniaczkiem nazywa. Ja panu powiem w sekrecie, choć nie powinnam, że panna Ninka ma dla pana dziwną sympatyę. Pan pewnie zna naszą Ninę?... to bardzo utalentowana dziewczyna!... a jaka liberalistka!... Chciała koniecznie pojechać na medycynę do Zurychu. Przyjedź pan do Żołędziówki, sprawisz Nince ogromną przyjemność!

Mówiła to tak, jakby mu chciała dać do zrozumienia, że córka jest nim oddawna zajętą i pra-

gnęła go nią zainteresować; ale on zmarszczył jeszcze bardziej czoło i ten pogardliwy wyraz około ust, maskowany uśmiechem, świadczył, że się poznał na jej niezręcznej komedyi i sposobach zjednania go przez córkę.

— Nie bywam nigdzie — tłómaczył się — czas mi nie pozwala... zajęcia...

— W niedzielę, w święto... — nagliła — dla pana będziemy każdego dnia w domu. Koniecznie przyjedź konsyliarz!...

Siedziała jeszcze z kwadrans u niego, zanim odeszła, opowiadając mu o swojej Nince i próbując zwabić do Żołędziówki.

Po jej wyjściu, doktor drzwi na klucz zamknął i splunął, jakby z obrzydzeniem.

Baronowa wróciła do swego pokoju zadowolona, uspokojona, przejęta nową otuchą i przekonaniem, że bardzo zręcznie pozyskała sobie teraz doktora i że ten fortel z Ninką doskonale jej się udał; przypuszczała, że to musiało pochlebić Pniakowi, iż sama panna baronówna się nim zajmuje i czuje dla niego sympatyę.

Wyobrażała sobie, że taki syn prostego gajowego za zaszczyt sobie będzie uważał względy jej córki i da się tak łatwo złowić na dwuznaczne słówka.

Myliła się.

Aniby mu to zaszczytu nie robiło, ani próżności jego schlebiało, gdyby mu nawet pannę baronównę

za żonę ofiarowywano; pamiętał dobrze swoje pochodzenie i nie wstydził się go wcale. Nie próbował ukrywać tego, że jest synem chłopa i że ojciec jego stary, spracowany, chodzi w grubej siermiędze jeszcze i wypoczywa na roli, w tej samej chacie pod lasem, w której, oprócz dwóch córek, jedyny syn jego, a dzisiejszy pan doktor, na świat przyszedł.

Pamiętał i o tem, że miał całą rodzinę w tym kmiecym stanie, z którego sam wyszedł i że siostra jego młodsza, Antoszka, wyszła za mąż za młynarza w Omylinie, a Agnieszka, starsza i wdowa, przy ojcu zajmowała się gospodarstwem.

Widywano go przecież zawsze, jak jadąc do pałacu, zbaczał za każdym razem z drogi i choć na kilka chwil zatrzymywał się przed rodzicielską chatą, aby wstąpić do swego starego i dowiedzieć się o jego zdrowie; stary bowiem od pięciu lat porażony był na nogi i z trudnością mógł zaledwie o kiju powstawać z poręczowego krzesła, które mu syn z miasta sprowadził.

Podawali sobie ręce na powitanie, a z Agnieszką całowali się przy ludziach poprostu „w gębę“, jak brat z siostrą.

— Jak się masz, Jagna? — wołał na nią już z bryczki, a ona za każdym razem czerwieniąc się, jakby z radości i dumy, że „pan-dochtór“ brat ją tyka, odpowiadała mu nieśmiało, choć serdecznie:

— Witajcie!...

I prowadziła go do izby, ścierała fartuchem sosnowe krzesło i, stając pod ścianą, przypatrywała się bratu z jakąś mięszaniną miłości i wielkiego poważania.

Zato dzieci Antoszki ilekroć zobaczyły go przejeżdżającego obok młyna, wybiegały na drogę i machając rączętami, podnosiły swoje lniane główki, rozjaśniały ogorzałe buziaki i z uśmiechem radości wrzeszczały na cały głos:

— Wujek!... wujek!... wujek!...

Musiał je brać do siebie na bryczkę, ucałować, pogładzić konopiane ich czupryny i obdarować gościńcem, bo każde z osobna, przed powitaniem jeszcze, odzywało się, duże, niebieskie oczy pożądliwie kierując ku jego kieszeniom:

— Co mi dasz?... co mi dasz?...

Jeśli się kiedy za bardzo śpieszył i nie zatrzymywał, to biegły za bryczką, zadyszane, po drodze wołając:

— Wujek!... wujek!... — i czepiały się kozła, aby jeno z próżnemi rękoma nie odejść.

Chciwość dzieciaków traktował pobłażliwie i z wyrozumiałością, ale gorsze miewał przeprawy ze szwagrem, który go wyzyskiwał i nagabywał nieustannemi rozmaitemi żądaniami i pretensyami.

Chociaż był zamożnym i z młyna miał dobre dochody, ciągle mu tego zamało było, ciągle się skarżył na ciężkie czasy, swarzył z żoną, że od brata tak mało ma korzyści i za jej pośrednictwem pró-

bował go naciągać to o pożyczki, to o poręczenia, to o protekcyę do dworu.

— Szwagier jest! — mawiał — to od czegoż jest szwagier?... co mi z takiego szwagra?... abo to nie ma, z czegoby mógł swoich poratować?... Choroba taki szwagier! — klął nieraz i wymyślał za plecami, choć w oczy udawał, że braciszka żony wysoce sobie ceni i uważa.

We wsi miał się z tego powodu za wielką figurę, za arystokratę, raz, że posiadał młyn, a powtóre, że miał szwagra „dochtora“, co z dziedzicami w pałacu jest za pan brat i przy jednym stole z nimi jada.

Z tego powodu wyobrażał sobie, że ma prawo również do pewnej poufałości ze dworem; nie używał też nigdy wyrażenia: „dziedzice“, „jaśnie państwo“, tylko krótko i jakby z umysłu mówił o nich: „Krokowscy“, albo i bez tego: „oni“.

Kiedy sobie pałkę zalał, to żonie przy okazyi dojadał:

— A pódzino pani dochtorowa!... zdejmi-no buty!... Widzicie ją, jaka mi harda, że ma brata dochtora!... Dochtór!... wielga mi dziwota!... abo to ja mało kuni wykurował w swojem życiu!... o — jej!...

We dworze wiedziano o tem i śmiano się z młynarza, nie dając uczuć najmniejszej przykrości Pniakowi, którego Krokowska za utrzymywanie przykładnych stosunków z ojcem i starszą siostrą

szczególniej ceniła, poczytując mu to za dowód zacnego charakteru.

Jeszcze teraz w chorobie pamiętała o jego rodzinie i dowiadywała się troskliwie o starego Pniaka:

— Jakże tam twój stary, mój panie Franciszku?... a siostry?... nie potrzebują czego?... czy dobrze im?...

Doktor zawsze odpowiadał niemym ukłonem i poprzestawał na samym dowodzie pamięci ze strony swej protektorki, nie starając się nigdy korzystać z jej dobrego usposobienia i szczodrobliwych względów dla kogokolwiek ze swoich krewnych.

Nie zapominał, że sam miał jej wszystko do zawdzięczenia.

Unikał wszystkiego, coby mogło rzucić na niego choćby cień interesowności; pod tym względem drażliwość jego dochodziła do przesady. Uważał się zawsze za dłużnika Krokowskich i miał w swoich papierach jak najskrupulatniej zapisane wszystkie zapomogi, które od swej protektorki przez czas pobytu w szkołach otrzymał.

Krokowska wiedziała o tem i dopóki była zdrową, lubiła żartować z nim na ten temat, zapytując go umyślnie:

— Ileś to ty mi winien już, mój panie Franciszku?... będzie tego chyba niedługo z pół miliona, co?... A pamiętaj i grosze wszystkie zapisywać, bo potem przy obliczaniu procentów mógłbyś mnie pokrzywdzić jeszcze o jakie dwa złote.

Uśmiechała się zawsze przytem i mrugała na męża, który dzielił życzliwość i sympatyę żony dla Pniaka; często ni stąd ni zowąd podchodził do niego, brał go za ramiona, patrzał mu w oczy, kiwał głową i ściskał mu przyjaźnie, gorąco rękę, a spojrzenia niemowy wówczas zdawały się przemawiać do niego:

— Wiesz co?... lubię cię, bardzo cię lubię!... tęgi z ciebie człowiek, zuch!... Bisia ma do ciebie słabość, ja także. Bardzo cię lubię, mój Pniaczku!..,

Po twarzy doktora w takich chwilach przemykał jakby promyk słońca, który mu rozjaśniał oblicze i lekki uśmiech ukrytego zadowolenia poruszał jego usta.

Oczy migały mu wtedy błyskiem jakby dumy i rozrzewnienia zarazam; łaskotało go coś w gardle, że aż odchrząknąć musiał, ale jednego słowa nie zwykł był odpowiadać — czuło się tylko, że ten człowiek gotów był jak pies położyć się u nóg swoich dobroczyńców, a gdyby potrzeba było, rzucić się z zębami na wszystkich, którzyby ich tknąć lub obrazić się ośmielili.

Zamykał jednak w sobie te uczucia, bardziej je pokrywając maską oziębłości, aniżeli przyznając się do nich z obawy, aby go nie posądzono o pochlebstwo i komedyę.

Choroba Krokowskiej, której szybki postęp kazał się najgorszych rezultatów spodziewać, zgnębiła go niewymownie.

Nie poprzestając na swojej dotychczasowej wiedzy i doświadczeniu lekarskiem, posprowadzał sobie najnowsze dzieła specyalne o chorobach sercowych, wertował je po całych nocach i szukał środków złagodzenia cierpień i ulżenia swej pacyentce.

Nadziei jednak nie miał prawie żadnej.

Stan chorej po przybyciu i wypoczynku, a raczej pod wpływem łagodnych moralnych bodźców, poprawił się wprawdzie cokolwiek, ale lekarz wiedział, że to były tylko złudzenia.

Krokowski na drugi dzień zaraz zabrał go do swego gabinetu, który miał obok pokoju żony i za pomocą tabliczki prowadził z nim następującą rozmowę:

— Cóż?... prawda, że jest lepiej?

Pniak nie chcąc rozwiewać jego iluzyi, skinął głową na potwierdzenie.

Niemowa szybko skreślił znowu kilka wyrazów z miną najpewniejszą siebie:

— Zobaczysz, że teraz wyzdrowieje wkrótce; znalazłem cudownego doktora — pomoże.

— Któż to taki? — spytał z odcieniem zdziwienia lekarz.

Krokowski dużemi głoskami wypisał na odwrotnej stronie tabliczki dwa słowa:

— Pan Bóg!

I z rozjaśnioną, natchnioną niemal twarzą, pokazał mu palcem niebo.

— Zrobiłem votum — dodał na piśmie i zaczął

śmiać się swoim głuchym, zduszonym śmiechem kaleki, kiwając głową, jak gdyby mówił:

— Tak, tak, zrobiłem votum, zrobiłem układ z Panem Bogiem. Teraz jestem spokojny i nie obawiam się niczego więcej. Bisia będzie żyła, zobaczysz!... Cieszysz się, prawda?... A cóż dopiero ja!... Teraz ją napewno uratujemy.

Pniak westchnął i głowę zwiesił, udając, iż przygląda się deseniom perskiego dywanu, który był rozłożony pod biurkiem, obok którego stali, a Krokowski, przyzwyczajony porozumiewać się najwięcej spojrzeniem i z oczu ludzkich odczytywać odpowiedzi, przestał nagle się śmiać, wyraz zadowolenia przygasł na jego twarzy i chcąc znowu nawiązać tę komunikacyę wzrokową, zaniepokojony zdawał się pytać:

— Jak to?... ty wątpisz?... ty nie dowierzasz?... dlaczego przestałeś mi patrzeć w oczy?... ty sądzisz, że ja mógłbym się mylić?... co?... powiedz, powiedz, co myślisz?...

Posmutniał jednak, jakby jego samego w tej chwili wątpliwość jakaś ogarniać zaczynała.

I odszedł do pokoju żony, uczuwszy wielką potrzebę popatrzenia na nią i przekonania się, czy jego wiara jest w istocie tak płonną i tak mało ugruntowaną.

Krokowska siedziała w fotelu i uśmiechała się do męża, a on zobaczywszy ten uśmiech, jakby znalazł nagle najbardziej przekonywujący argument

przeciw wszelkim zwątpieniom, zawrócił szybko, pochwycił Pniaka za ramię, pociągnął go za sobą i wskazując palcem na drzwi, otworzył szeroko oczy, ustami poruszał i całą twarzą, śmiejąc się, gestami, mimiką zdawał się wołać:

— Chodź!... zobacz!... spojrzyj, jak ona wygląda w tej chwili. No, widzisz, widzisz, przecież ona z każdą godziną lepiej się czuje, z każdym dniem jest zdrowszą, a ty brzydki niedowiarku jakiś, robiłeś taką minę strapioną i dwuznaczną!

Potem podszedł do żony i całować ją po rękach zaczął gorąco, lecz z ostrożną delikatnością, jak gdyby dziękował jej za to, że mu ciężki kamień z karku znowu zdjęła i wiary nie osłabiła.

Nad wieczorem wezwał Pniaka do żony po raz wtóry, drzwi na zatrzask zamknął i przy zamkniętych drzwiach we troje siedzieli przeszło godzinę.

Baronowa i Szubina, która codziennie żegnała się i wyjeżdżała, a mimo to siedziała w Omylinie, na palcach skradały się w kurytarzu pode drzwi, zaintrygowane nadzwyczajnie tą tajemniczą konferencyą, ale słowa jednego nie mogły pochwycić z prowadzonej w pokoju rozmowy.

Obie były zaciekawione i obie chciały dowiedzieć się czegokolwiek; przeczuwały, że za temi drzwiami rozstrzygają się jakieś ważne sprawy, których wszelako trudno im było się domyśleć.

Słuchały; nagle Szubina drgnęła i baronowę ści-

snęła tak mocno za ramię, że ta omal nie krzyknęła z bólu.

— Cóż takiego? — szepnęła półgłosem, wystraszone oczy zwracając na swoją towarzyszkę.

— Pani baronowo! pani baronowo! — nachylając się tajemniczo do ucha Phalernowej, mówiła zmieszana, z oddechem zapartym, z rumieńcami na twarzy. — Jak Boga kocham, słyszałam .. najwyraźniej słyszałam...

— Co pani słyszała?... no?... mówże pani prędko!

— Słyszałam, jak mówili coś o testamencie!... — wykrztusiła z siebie, przejęta sama do głębi wrażeniem swego odkrycia.

— O testamencie?!...

Baronowa teraz z kolei pochwyciła ją za rękę.

— Co mówili?... co mówili?... gadajże pani!...

— Pst!... cicho!... bo gotowi nas usłyszeć; jeszcze kto wejdzie i będzie wstyd.

Odprowadziła ją trochę ode drzwi i w kurytarzu zaciągnęła pod samo okno.

— Ja pani baronowej powiadam, że oni tam pewnie testament układają... — zaczęła szeptać szybko, tajemniczo, z przejęciem, wciskając się w sam kąt framugi. — Nic innego, tylko testament. Słyszałam... no, tak, jak siebie słyszę w tej chwili!... słyszałam, jak wujenka powiedziała: „mój testament“. Cóż pani na to?...

— Tylko tyle?...

— Alboż to nie dosyć?... Czegóż więcej potrzeba?... Tam jest Pniak i nikt więcej, tylko Krokowscy sami z nim; zamknęli się i radzą we troje.

Baronowej krew uderzyła do głowy.

Testament!... wyraz ten brzmiał w jej uszach, jak dzwon, którego głos wstrząsnął wszystkie jej nerwy i budził w sercu nadzieję i grozę wątpliwości, radość i przestrach — najsprzeczniejsze uczucia jednocześnie.

Co mogło być w tym testamencie?... jakie miał zawrzeć rozporządzenia? na czyją korzyść, na jaką sumę?... z jakimi warunkami?...

O innych jej nie chodziło w tej chwili, tylko o siebie, tak samo, jak Szubinie; jedno ją niepokoiło najbardziej, a mianowicie to, że jej los nie pozwolił skorzystać przedtem z okazyi pozyskania sobie jak najwięcej względów ciotki.

Gdybyż ją była ujęła, rozrzewniła, przygotowała lepiej dla siebie!... Kto wie, możeby teraz właśnie, w stanowczej chwili, tych... tych... ile?... pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedmdziesiąt tysięcy (Bóg raczy wiedzieć, ile! — nie umiała sama oznaczyć sumy szczodrobliwości i hojności najukochańszej cioteczki) — było urosło do poważniejszej o wiele pozycyi.

Nie wątpiła bowiem, że jako najbliższa krewna, będzie miała udział w spadku, choćby nawet testament jak najszersze grono obdarowanych obejmował.

Ale dlaczegoż nie miałaby wziąć jak najwięcej, dlaczegożby nie mogła skorzystać z wyjątkowego usposobienia chorej?... alboż nie potrzebowała dla Tonia, który w ciągłych interesach skrępowany, nie mógł dać sobie rady w kłopotach majątkowych, dla podniesienia fikcyjnej wartości posagu córek, nie mogących znaleźć sobie mężów, pomimo wszelkich jej macierzyńskich usiłowań?... dla uratowania Żołędziówki i innych zagrożonych majątków, dla poprawienia sobie i całej rodzinie bytu, pokrywanego tylko pozorami rzeczywistej zamożności?...

Szubina na ten sam temat, tylko z pewnymi waryantami co do Wenusia i swoich ośmiorga dziatek, snuła podobne myśli, skromniejsza w swoich wymogach, bo trapiona niepewnością, czy wogóle wujenka zechce pamiętać o nich przy podziale swego olbrzymiego majątku.

Obie wszelako ten jeden wyraz, podsłuchany przypadkowo pode drzwiami, wyprowadził z równowagi — rozbujał ich wyobraźnie i serca; byłyby się najchętniej zamieniły w myszy, pająki, najplugawsze nawet stworzenia, byle tylko mogły się przez jaką szparę wcisnąć do pokoju chorej i wysłuchać owych tajemniczych narad, od których tyle dla nich konsekwencyi zależało.

Z bijącem sercem stały obok siebie i czekały, same nie wiedząc, na co.

Nie śmiały jednak podnieść oczu na siebie, jakby

się obawiały zdradzić ze swemi myślami jedna przed drugą i wstydziły tych myśli...

Nagle instynktownie odskoczyły od siebie, jak gdyby je na spisku i konszachtach przydybano.

Z przeciwległych drzwi wyszła na kurytarz Lolusia i spostrzegłszy baronowę z Szubiną we framudze okna, przeszła obok nich z jakimś złośliwym uśmieszkiem na ustach, który wydał się im wielce lekceważącym i szyderczym.

Baronowa nadrabiając miną, umyślnie niby w dalszym ciągu rozmowy głośno odezwała się do Szubiny:

— Tak, tak... ja także jutro wyjadę do siebie. Ma pani racyę, po co mamy się narzucać, skoro są tu inni, którzy nas zastąpić pragną. Trudna rada!... masz pani świętą racyę; przemocą przecież nie będziemy wciskały się do chorej! Na to potrzebaby nie mieć ani odrobiny delikatności i serca!...

Mówiła to z naciskiem, dobitnie i umyślnie tak głośno, aby je wchodząca na schody dziewczyna usłyszeć mogła.

Szubina nie mogąc się połapać z początku, wytrzeszczyła na nią swoje małe oczki i słuchała zdziwiona, aż baronowa zaczęła mrugać na nią i dawać jej znaki, wskazując głową w stronę, w którą odeszła wnuczka pana Ignacego, a zniżając potem znowu głos do szeptu, dodała poufnie:

— Ja umyślnie tak powiedziałam... niech słyszy!... powtórzy to dziadkowi.

— No, dobrze, ale co sobie o mnie pomyśli? — wyrwało się dobrodusznie z ust zakłopotanej Szubiny.

Baronowa podrzuciła jednem ramieniem lekceważąco.

— Dużo pani na tem zależy! — i poszła ku drzwiom swego pokoju.

Szubina pozostała czas jakiś w miejscu, namyślając się, co ma zrobić; zakłopotaną była tym złośliwym wybiegiem baronowej, który ją w oczach Lolusi i pana Ignacego mógł narazić.

Gdzie ona coś podobnego powiedziećby się ośmieliła?... gdzieżby śmiała robić takie aluzye do tych „innych, którzy nie mają delikatności i serca“, cisną się do chorej wujenki, aby drugim zabrać miejsce i siebie podstawiać — w jakim celu?...

Doszła do przekonania, że najlepiej zrobi, jeżeli natychmiast pójdzie do Orszy na górę i naprawi złe wrażenie, które słowa baronowej wywrzeć mogły, oczyści się z podejrzenia, jakie na nią baronowa rzuciła, bo przecież wiadoma rzecz, że baronowa zawsze była intrygantką i wodę w rodzinie mąciła, pomimo swojej pozornie dobrodusznej i uprzejmej miny.

Postanowiła sobie przed Orszą w zaufaniu powiedzieć wszystko, co miała tylko na sercu i wątrobie, aby nie przypuszczał przypadkiem, że ona, broń Boże, trzyma stronę takiej Phalernowej!

Przed Phalernową w podobnym wypadku byłaby

się również poszła tak samo usprawiedliwić, bo miała już to w naturze, że zawsze na obie strony pragnęła mieć przyjaciół, choćby w najsprzeczniejszych ze sobą obozach.

Weszła też do pokoju pana Ignacego z wyrazem oburzenia na twarzy, a ze słowami w ustach:

— No, jak długo żyję, nie widziałam jeszcze takiej kobiety!... Czy pan dobrodziej uwierzy, co ona mi przed chwilą zrobiła?... wparła mi w żywe oczy, że ja...

Orsza żachnął się niecierpliwie i nie pozwolił jej dokończyć.

— Dajże mi pani pokój ze swojemi babskiemi historyami! — ofuknął ją z miejsca. — Mnie to nic nie obchodzi!

— Ale, kiedy bo...

— Kiedy-bo panią ciągle język świerzbi!...

— Broń panie Boże!... ja sobie najspokojniej stoję w kurytarzu, a ona... Żeby mi tak dziateczki były zdrowe!...

Stary z miejsca wstał, nie chcąc słuchać dalej.

Zwróciła się do Lolusi tedy i przed nią zaczęła się tłumaczyć, przysięgając na wszystkie świętości, że ani marnego słowa nie pisnęła w tym tonie.

— To ona, ona sama na prędce tak sobie coś wykoncypowała, aby państwu tylko dogryźć, bo to już taki brzydki język... Dalibóg, ja nie pojmuję, jak to można ludziom na złość robić — mówiła — i to w takiej smutnej okazyi. Tam za ścianą nasza

dobrodziejka na śmierć się przygotowuje, ostatnią wolę swą właśnie układa, testament spisuje, a ta...

Orsza głowę podniósł.

— Co takiego robi?

— A podobno testament pisze — z dobroduszną naiwnością, płaczliwym głosem powtórzyła Szubina — tak słyszałam.

Orsza przystąpił do niej bliżej, z rękoma w kieszeniach, z głową pochyloną naprzód i badawczo spojrzał jej w oczy.

— A pani skąd wie o tem?

Zmieszała się i zająkliwie zaczęła:

— Ja nie wiem... to jest, ja tylko powtarzam... słyszałam...

— Od kogo pani słyszałaś?

— A... a no, od kogożby?... pani baronowa przecież...

Nie chciała się przyznać, że podsłuchiwała pode drzwiami.

Orsza brwi schmurzył, usta wydął i zastanowił się przez chwilę.

— Lolusia! — zawołał nagle.

— Co, dziadziu?...

— Pakuj się!... Jutro rano wyjeżdżamy.

— Wyjeżdżamy?... cóż znowu?... skądże tak naraz?...

— Wyjeżdżamy!... — wołał z niewzruszonem postanowieniem — wyjeżdżamy!... W takiej chwili nie mamy tu co robić. Nie potrzebuję, aby mi kto po-

tem zarzucał, żem sobie spadek dla siebie albo dla ciebie przyjechał urabiać. Ty wiesz, żeśmy przyjechali tylko ostatni raz zobaczyć, pożegnać, odwiedzić chorą, ale nie spekulować na cudzą śmierć. Ja tam niczego się nie spodziewam i niczego nie chcę, chociaż to siostra. Jeszcze powiedzą, żem testament zwąchał i przyjechał wyzyskiwać ostatnią chwilę...

Spojrzał na Szubinę i w oczy jej rzucił:

— Jak pani! jak tamta!...

Szubina ręce na piersiach złożyła. Poczerwieniała, jak piwonia i płaczliwym głosem zapiszczała:

— Jak ja?... jak ja?... co też pan dobrodziej mówi!... Bóg Najwyższy widzi, żem tylko z dobrego serca...

— Eh, co mi tam pani głowę będziesz zawracała! — przerwał jej rubasznie. — Komedya! niby to was nie znam?... Skórębyście zdarli z niej za życia, nie dopiero po śmierci! Pani masz przynajmniej ośmioro darmozjadów, a właściwie dziesięcioro ze swoim Wenusiem; ale tamta jaśnie pani, co czwórką jeździ, a po żebraninie chodzi do krewnych!... Tfu!... Siedźcież tu sobie, wolna wola, ale ja wam kompanii teraz dotrzymywać nie myślę! Pakować się!... słyszała Lolusia?...

Sama myśl o dwuznacznej sytuacyi, w jakiej się znajdował i możliwość podejrzenia, któreby na niego padło, wprawiała go w takie wzburzenie.

Ambicya i duma Orszów się w nim odezwała.

— Nie wiesz, gdzie jest Krysiewicz? – zwrócił się do wnuczki — trzeba go poprosić o konie na jutro rano.

Porwał kapelusz ze stołu, nałożył go na głowę, niewiele sobie robiąc z Szubiny i wyszedł z pokoju szukać rządcy.

Piekła go sama możliwość posądzenia, że interesowność tylko sprowadziła go do chorej siostry.

Uparł się i nie ustąpił; na drugi dzień wyjechał z Omylina; przed wyjazdem chmurny, zafrasowany, ponury, poszedł pożegnać się z Krokowskim, nie tłumacząc się wcale ze swego postanowienia.

— No, bywaj zdrów; niech cię Bóg ma w swojej opiece! — powiedział krótko, ściskając go za rękę.

Do pokoju siostry wszedł tylko na chwilę z wnuczką, usiadł przy jej fotelu, w którym obłożona poduszkami, dzień i noc spędzała — i wpatrywał się w nią czas jakiś, nie mówiąc ani słowa; potem wziął jej rękę, ucałował i rzekł z westchnieniem:

— Pożegnajmy się, moja droga. Bóg wie, kiedy się znów zobaczymy!...

Głos mu drżał, zpod nachmurzonych brwi rzucał tylko krótkie spojrzenia na chorą, jakby się wstydził wilgotnych oczu, w których mu się łza zakręciła.

Lolusia pochyliła się do kolan Krokowskiej i ucałowała je w milczeniu; wzruszona była i drżała także na całem ciele.

Chora położyła rękę na jej głowie i szepnęła głosem miękkim, słabym, ale dziwnie spokojnym:

— Dziękuję... dziękuję wam, żeście mnie odwiedzili. Bądź zdrów, Ignasiu. Zobaczymy się u Pana Boga dopiero!...

Stary zagryzał wargi i skłonił się przed siostrą, nie mogąc ani słowa więcej wydobyć z siebie; w piersiach czuł ciężką duszność, powieki mu drgały, jakaś babska rzewność ogarniała go coraz bardziej, więc podniósł się żywo i jakby mu pilno było rozstać się jak najprędzej, wyszedł spiesznym krokiem, ująwszy wnuczkę za rękę.

Dopiero gdy się znalazł w powozie z Lolusią, jakby mowę odzyskał.

— Chwała Bogu! — zaczął pierwszy — chwała Bogu, żeśmy raz wyjechali! A tożby potem dopiero były plotki!... Tak przynajmniej nic nam zarzucić nie mogą, prawda?... Na co nam tego!...

Lolusia wydęła usta z grymasem.

— Mnieby to było wszystko jedno — rzekła — ja sobie z plotek nic nie robię.

— Ja też; ale ty wiesz, żem ja zwykł prawdy nie obwijać w bawełnę i lubię im gorącego sadła zalać za skórę.

— A dlaczego dziadunio to robi?

— Bo kanalie fałszywe i interesowne; baki świecą, czułych udają, aby tylko co zarobić, wytumanić, wyżebrać. Hołota!

Sapnął z irytacyą i kapelusz poprawił na głowie.

— Całe życie tacy byli — dodał. — Miałem przynajmniej tę satysfakcyę, żem im mógł w oczy prawdę gadać i musieli cicho siedzieć. Nie jechaliśmy nigdy na jednym wózku i teraz nie pojedziemy. Ja ci ręczę, że oni jej tam spokojnie umrzeć nawet nie dadzą, tylko będą ją męczyli, żeby ciepłą ręką rozdała, co ma dać, a potem się pogryzą, jak psy przy jednej misce. Niechże nas przy tem nie będzie!...

Odwrócił głowę i patrzał w bok na łany buraczane okiem znawcy; na chwilę wcisnęła mu się do głowy pomiędzy wzburzone myśli o familijce czysto gospodarska refleksya:

— Patrzaj, ładne mają buraki!...

Ale potem snać wrócił znowu do dawnego tematu, bo czoło mu nagle spochmurniało i brwi zwichrzył, a z ust wypadł mu jeden wyraz:

— Faryzeusze!...

Lolusia siedziała obok niego markotna jakaś, zadąsana, milcząca; nie odzywała się ani jednem słowem do dziadka, nawet nie patrzała przed siebie, tylko wyskubywała nitki po odprutym guziku u rękawiczki.

Stary zpod oka kilka razy spojrzał na nią i zauważył to.

— Cóż ty siedzisz taka osowiała? — odezwał się po chwili.

— Cóż mam robić?...

— Zła jesteś czegoś?

— Co mam być zła!...

— Czy ja wiem!... Możeś niekontenta, żeśmy wyjechali?... hm?...

— Wszystko mi jedno! — szepnęła, ale twarzyczka jej zadrgała nerwowo i zaczęła wargi zagryzać z jednej strony.

— No, nie tak bardzo — mruknął dziadek — byłabyś wolała zostać i z Pniakiem dyskutować. Myślałem, że ci język spuchnie od tego: tyr-tyr-tyr! całemi godzinami...

Roześmiał się szczerze i pogłaskał wnuczkę pod brodę.

— Podobał ci się, co?...

— A podobał.

— Wiem, wiem!... rozsądny człowiek, tylko w nim zawsze jeszcze czuć chłopa.

— Nie uważałam tego; zresztą...

— Ty jesteś demokratka, prawda, to ciebie takie rzeczy nie rażą!... — przerwał jej dziadek.

Skrzywiła usta i brwi podniosła do góry.

— Ciekawa jestem, co tu ma demokracya do tego?... człowiek rozumny, wykształcony, myślący, oczytany, przyjemnie z nim porozmawiać, a w każdym razie charakter ma.

— Ho, ho!... tak go już panna dobrze zbadała — zdziwił się Orsza.

— Cóż to, nie znam go od tylu lat? — odparła i jakimś niechętnym ruchem odsunęła się od starego — przecieżeśmy starzy znajomi. Zapomniał

dziadzio chyba, że przychodził do nas w Warszawie, kiedy był jeszcze na medycynie i pożyczał mi często książki do czytania.

Stary oczy zmrużył, a usta wydął, jakby sobie coś przypominał.

— A, prawda, prawda!... podkochiwałaś się w nim wtedy, co?... może nie?...

Lolusia zmarszczyła brwi i zacięła usta; dziadek się śmiał z zadowoleniem, że ją poirytował.

Lubił w ten sposób przekomarzać się z wnuczką i droczyć z nią.

— No, no, nie gniewaj się; co prawda, to nie grzech! — zakonkludował wkońcu i westchnął ciężko, bo mu się znowu przypomniała chora siostra, otoczona lisami, co węszyły dokoła niej, rychło im się uda poderwać jaką cząstkę łupu.

W Omylinie tymczasem po wyjeździe Orszy baronowa i Szubina odetchnęły swobodniej, nie czując więcej obecności pana Ignacego, który im wprawdzie w niczem czynnie nie przeszkadzał, ale ciążył nad nimi, jak chmura gradowa.

Krokowska sama zażądała widzenia się z Phalernową.

— Wpuśćcie ją, niech przyjdzie — mówiła do Pniaka — mnie to nie zmęczy; może mieć żal do mnie, że się z nią widzieć nie chcę... Idalka mnie zawsze kochała, to się jej przecież należy.

Panna Anastazya zręcznie przez baronowę podmówiona, skorzystała ze stosownej chwili i przy-

pomniała chorej o siostrzenicy, która nadarmo oczekiwała tak długo sposobności ucałowania rączek najdroższej cioteczce.

W najchłodniejszym i najzaciszniejszym pokoju od ogrodu urządzono dla chorej gabinet, w którym odwrócona od światła w ogromnym, starym, poręczowym fotelu, skórą wybitym, siedziała dniem i nocą, w obszernym, jasnym szlafroku z koronkami, w białym czepku, którego liliowe wstążki spadały z dwóch stron na ramiona, spuchnięte stopy trzymając na podnóżku.

Obok stała nizka etażerka, pełna drobiazgów, flakoników, flaszeczek z lekarstwami, pudełek z proszkami i pigułkami, cała podręczna apteczka ze wszystkiem, co na razie dla chorej potrzebnem być mogło.

W otwartych oknach pospuszczano zielone story, tłumiące blask dnia, ale przepuszczające świeży powiew powietrza od strony ogrodu.

Świegot ptasząt i lekki szum liści na gałęziach dużych, rozłożystych drzew, rzucających cień z tej strony pałacu, przedostawał się zgłuszony do wnętrza pokoju, w którym powoli dogasała lampa ludzkiego życia.

Dziwna pokora i rezygnacya malowały się na twarzy chorej.

Siedziała, jak męczennica, świadoma swojego losu, która poddała się bez szemrania cierpieniom, wiedząc, że kres ich dopiero poza grobem i że tu na

ziemi żadna siła ludzka nic jej już nie pomoże i nie zmieni wyższych wyroków.

Z oczyma wpatrzonemi w przestrzeń tonęła w zamyśleniu i chwilami wydawało się, że ta zmęczona dusza opuszczała ciało i wybiegała na drogę wieczności, jak wędrowiec, który niecierpliwie doczekać się nie może owego wschodu słońca, z którym będzie mógł wyruszyć dalej z etapu.

Oczy te przysłaniały się coraz częściej jakąś senną mgłą i gasły, jak gwiazdy o zaraniu.

Wyraz znużenia i oczekiwania żłobił się z każdym dniem głębiej w rysach tej twarzy, pełnej, jakby nalanej, o cerze bladej, cieniowanej smugami płowej jakiejś, ziemistej barwy.

Żaden jęk bolesny, żadna skarga nie wyrywały się z ust napół otwartych, od czasu do czasu poruszanych tylko głuchym szeptem:

— Ach, Boże, Boże!...

Krótki, urywany oddech nie pozwalał jej mówić dużo i długo jednym ciągiem; męczyło ją to i wyczerpywało.

Wśród szeptu, którym się zwykle odzywała, pojedyncze wyrazy wydzierały się silniej, odmiennym głosem, jak struny, z których na chwilę tłumik zdjęto.

Krokowski nie odstępował prawie od jej boku przez cały dzień; na noc przysuwano mu otomanę w przybocznym pokoju do samych drzwi, tak, aby

mógł, leżąc, widzieć żonę i na każde jej zawołanie być w pogotowiu.

Dwoje tych ludzi przez ciągłe obcowanie ze sobą i wielką miłość, która ich łączyła, wyrobiło sobie jakby osobny zmysł do wzajemnego porozumiewania się; jedno drugiemu zdawało się czytać w myślach i poddawać je bez słowa, samem spojrzeniem tylko, samem poruszeniem ust, samem dotknięciem ręki.

Kiedy Krokowski z miną niezdecydowaną stanął w progu i popatrzał na żonę, domyśliła się od razu, że po za nim ktoś się ukrywa i czeka w drugim pokoju.

Oczy jego niespokojne zdawały się ją badać, czy nie jest bardzo zmęczoną i czy można ją narazić na odwiedziny.

Próbowała uśmiechnąć się do niego i skinęła głową ze słowami:

— Proś!... to Idalka, wiem...

Baronowa na palcach, z rękoma złożonemi jak do modlitwy, z miną nieśmiałą, pełną przesadnego współczucia, wsunęła się do pokoju i uklękła przy kolanach chorej.

Była gotową zalać się łzami i wybuchnąć żalem na widok najukochańszej cioteczki, ale w porę spostrzegła Krokowskiego, który jej dał znak, aby się strzegła zbytnio rozrzewniać i rozdrażniać chorą; powstrzymała zatem wybuchy czułości i tylko z wielkim pietyzmem ucałowała ciotkę w kolano.

— Siadaj! — szepnęła chora, wskazując jej uprzejmie powolnym ruchem krzesło obok stojące.

Usiadła na brzeżku, pokorna, uległa, wpatrzona w ciotkę, jak w jakie zjawisko i głosem tak przyciszonym, że ją trudno było zrozumieć, zaczęła coś mówić do chorej.

— Głośniej, jeśliś łaskawa — poprosiła Krokowska — bo nie słyszę...

— Można głośniej? — spytała takim tonem, jak gdyby się własnego głosu obawiała. — Myślałam, że się cioteczka gorzej czuje.

Chora oczy zamknęła i otworzyła je po chwili, szepnąwszy:

— Jednakowo.

Po tym krótkim wstępie nastała jednak dłuższa przerwa nagle, bo jakkolwiek baronowa tylko w jednym celu i z jednym zamiarem dopraszała się tak gorąco tej wizyty u ciotki, nie wiedziała, jak zacząć i jak przystąpić do rzeczy, ciążącej jej głównie na sercu.

Zakłopotaną była i zmieszaną.

Tu na miejscu dopiero poczuła, jak trudne zadanie mąż na nią włożył; nie umiała się odezwać i nie mogła na razie znaleźć słowa.

Krępowała ją nadto obecność Krokowskiego i panny Anastazyi, przy których nie chciała wytaczać sprawy swojej; spodziewała się, że w cztery oczy nadarzy się jej łatwiejsza sposobność poroz-

mawiania z ciotką i rozmyślała nad tem, co zrobi, jeżeli się tych świadków nie pozbędzie.

Postanowiła nie ruszyć się z miejsca, chociażby całą noc na tem krzesełku wyczekiwać jej przyszło.

Chora zwróciła na nią oczy i przypatrywała się jej czas jakiś wzrokiem poważnym, zamyślonym, głębokim, jakby przeniknąć usiłowała jej duszę; to milczące, badawcze spojrzenie zmieszało baronowę jeszcze bardziej.

Kręciła się na miejscu, oczy spuszczała, to podnosiła, unikając wzroku ciotki, twarz się jej mieniła, powieki drgały nerwowo, usta otwierała, próbując się odezwać i zamykała je znowu, nie mogąc się zdobyć na rozpoczęcie przerwanej rozmowy.

Krokowska oczu z niej nie spuszczała; wreszcie głosem cichym, urywanym powoli wyrzekła, wypoczywając po każdym prawie wyrazie:

— Zapewne... jesteście... znowu... w złych interesach?... prawda?...

To pytanie, tak niespodzianie zadane, bez wszelkich przygotowań, bez naprowadzenia nawet domyślności ciotki na ten temat, spadło na Phalernowę w pierwszej chwili jak lawina; przestraszyła się niemal tych słów, przypuszczając, że chora jakiemś jasnowidzeniem odgadła tajemnicę jej serca i zaglądnęła do jej myśli, jakby do otwartej książki.

Rumieniec silny oblał jej całą twarz.

Oprzytomniała jednak i korzystając z chwili, którą jej sam los poddawał, skrzywiła twarz, jak do płaczu, chustkę poniosła do oczu i żywo odpowiedziała:

— Ach, tak!... w bardzo... w bardzo złych!...

Zatrzymała się niezdecydowana, nie wiedząc, czy ma wybuchnąć odrazu całym potokiem skarg i użalań, czy też powoli stopniować wrażenie.

— Nóż poprostu mamy na gardle! — wyjęknęła w dodatku, zalewając się prawdziwemi łzami, których miała zawsze poddostatkiem.

Krokowska zlekka ściągnęła brwi i cień smutnej niechęci przemknął jej po twarzy.

Znała dobrze swą siostrzenicę, a jeszcze lepiej jej męża, aby sobie nie umiała wytłumaczyć tej wizyty baronostwa w Omylinie i tej niby troskliwości Idalki względem siebie.

Zrobiła jednak próbę, aby nasuwającą się jej podejrzliwość ukarać i zadała baronowej umyślnie to pytanie, które miało ukrytą prawdę na jaw wydobyć.

Miała jeszcze nadzieję, że nie ten — łatwo dający się domyślić — powód sprowadził do niej siostrzenicę i trzymał przez dni kilka w jej domu; myślała, że nie sama interesowność w takiej chwili przeważać będzie w sercu baronowej — i pomyliła się.

— Wiem... wiem! — wyszepnęła, westchnąwszy, jakby z ubolewaniem.

Baronowa żywo przysunęła się bliżej.

— Czy wujaszek wspominał już może cokolwiek?... — spytała, wypadając niezręcznie z tonu.

— O czem?

— Ach, o naszych kłopotach!... o tych sześćdziesięciu tysiącach, które Tonio ma płacić...

Zawahała się, bo spostrzegła, że za szybko wyrwała jej się z ust suma, która mogła zrazić ciotkę, nieprzygotowaną należycie do takiej prośby.

Panna Anastazya w tej chwili stanęła we drzwiach z porcelanową białą tacką w rękach i kryształowym kubkiem mleka, które niosła dla chorej; cichutko, jak cień, zbliżyła się do fotelu i stanęła, nie śmiąc przerywać.

Utkwiła swoje blade, spłowiałe, staropanieńskie oczy w kubek i z miną ministranta, trzymającego w pogotowiu ampułki, czekała, aż Krokowska zwróci na nią uwagę.

— Co tam? — spytała chora po chwili, nie odwracając głowy.

Panna Anastazya głosem słodkim i pokornym zarazem odpowiedziała:

— Mleczko.

— Postaw!... nie będę... teraz piła... nie mam ochoty...

Krokowski posłyszawszy, nachylił się szybko nad żoną i pogładził ją po siwych włosach troskliwie, a oczy jego zaraz spytały:

— Czemu?... co ci jest?...

Wyjął tabliczkę i skreślił słowa:

— Czy nie jesteś zmęczoną?

Żona nie odpowiedziała, ani nie zaprzeczyła, więc wytłumaczył sobie jej milczenie twierdząco i z tą obawą o jej zdrowie, która go nie opuszczała nigdy, zwrócił się z błagającą miną do baronowej, dając jej znaki, że na teraz rozmowę powinna przerwać.

Phalernowa porwała się natychmiast z miejsca, ale nie było jej wcale pilno w takiej chwili wychodzić; złorzeczyła w duchu starej pannie, że dla głupiego mleka musiała przerwać właśnie rozmowę w punkcie tak stanowczym.

Nie wypadało jej jednak zbyt wyraźnie okazywać tego po sobie, a powstrzymać się i zapanować nad sobą nie mogła.

— Więc... — zaczęła zakłopotana, próbując nawiązać swoje słowa do poprzedniego tematu; ale Krokowska udała, jakby nie dorozumiewała się wcale, o co chodzi, tylko zapytała siostrzenicę grzecznie, lecz zimno:

— Kiedyż jedziesz?...

Brzmiało to tak, jakby chciała się jej sama już pozbyć.

— Chciałam... to jest, powinnam właściwie być już oddawna w domu... — jąkała się, dobierając najoględniejszych słów — ale serce mi nie pozwalało wyjechać, nie pożegnawszy się z cioteczką.

Myślałam też, że się tu przydam na co... a potem Tonio...

Nie szło jej z temi czułościami, plątała się i nie mogła wybrnąć.

Krokowska podniosła rękę, jak do pożegnania.

— Dziękuję... dziękuję... — szepnęła — będę pamiętała o was... o was wszystkich, którzyście... mnie kochali — dodała — bądź spokojną.

Baronowa załkała.

Po prawdzie nie wiedziała sama dobrze, co ją więcej wzruszyło, czy ta obietnica z widoczną aluzyą do spadku, czy chwila pożegnania, czy myśl, że jednak wyjechać będzie musiała z próżnemi rękoma; czy wreszcie współczucie dla chorej, z którą może po raz ostatni w życiu rozmawiała.

Przypadła znowu do kolan Krokowskiej i zaczęła je obsypywać pocałunkami.

— Niech ciocia wierzy... niech cioteczka będzie przekonaną!... ja przecież po matce cioteczkę jednę tylko... ja... ja...

Chora nadspodziewanie spokojnie i bez przejmowania się tym wylewem uczucia i rozrzewnienia ze strony siostrzenicy, powtarzała tylko:

— Będę pamiętała... będę pamiętała... bądź spokojną!...

Krokowski niecierpliwił się już; pragnął skrócić tę scenę, obawiał się, aby nie rozstroiła zanadto żony, a kiedy wreszcie baronowa odczepiła się od kolan ciotki, był tak zadowolony, że ją aż na po-

żegnanie w rękę pocałował, ale zarazem pociągnął ku drzwiom, aby jej nie przyszła ochota powrócić.

Przy wyjściu z kurytarza napadła na nią Szubina zaciekawiona, z wypiekami na twarzy, z oczyma błyszczącemi, ze słowami na ustach:

— No, i cóż?... i cóż?... jakżeż tam pani poszło?...

Chciała się zaraz wcisnąć do pokoju, ale drzwi się oparły, bo z drugiej strony przekręcono klucz w zamku; z ręką na klamce stała zawiedziona, zdziwiona, niezaradna, nie wiedząc, co to ma znaczyć.

— A ja?... a ja?... — powtarzała tylko żałosnym głosem, dopraszając się i uskarżając jednocześnie.

Baronowa dłońmi ścisnęła sobie skronie i westchnęła, niemym gestem pokazując, jak ją ta wizyta moralnie wyczerpała.

— Moja pani, a mnie nie puścili!... mnie drzwi przed nosem zamknęli!... widziała pani!... Co to znaczy?...

Wystraszona, urażona, zbita zupełnie z tropu, dreptała za nią Szubina, zachodząc to z jednej, to z drugiej strony.

— Widziała pani?... nie puścili!... nie puścili!... — skarżyła się.

Phalernowa omdlewającym głosem mówiła:

— Nie żałuj pani!... niema po co... niema po co

tam iść! Bolesny widok!... Ja omal spazmów tam nie dostałam.

Wiadomość ta jednak nie zdawała się ani pocieszać, ani uspokajać Szubiny.

— Cóż mówiła?... cóż powiedziała?... — dopytywała się gorliwie.

Phalernowa przystanęła i ująwszy jej rękę, przycisnęła ją sobie do serca.

— O, patrz pani... jaką mam palpitacyę!...

— Ale co powiedziała?... nic nie powiedziała?...

— Powiedziała, że będzie pamiętała o nas... o nas wszystkich.

— Powiedziała to?...

Ruchem kotki, która pochwyciła kawałek mięsa i uciec pragnie ze swoją zdobyczą, odskoczyła w bok i nagle zmienił się wyraz jej twarzy pod wrażeniem tej wiadomości; oczy jej błysnęły, dłonią zasłoniła sobie usta, jakby zakryć na nich chciała uśmiech zadowolenia, który taką sprzeczność stanowił z sytuacyą i z fizyognomią baronowej.

To zapewnienie nieokreślone bliżej, na razie wystarczało jej; chciała tylko upewnić się w nadziei, którą żywiła w głębi duszy; mniej wymagającą była w tym względzie od baronowej.

Obawiała się jedynie, aby jej razem z Wenusiem i ośmiorgiem robaczków nie pominięto zupełnie w testamencie.

— Będzie pamiętała o wszystkich, będzie pamiętała!...

Słowa te brzmiały jej w mózgu i powtarzały się echem we wszystkich jego zakamarkach.

No, teraz może sobie poczciwa wujeneczka umierać spokojnie, byle tylko nie zapomniała przed śmiercią słowa dotrzymać.

Po co zresztą miałaby się męczyć zbyt długo?... na tym padole płaczu nacierpiała się już dosyć Pan Bóg miłosierny powinien się nad nią zlitować i powołać ją do swojej chwały.

Tylko czy ona nie powiedziała tego baronowej, aby się jej pozbyć?... jakim tonem, jakiemi słowami, przy jakiej okazyi to rzekła?...

Dla lepszego wybadania baronowej i zoryentowania się poszła za Phalernową do jej pokoju i nudziła ją jeszcze z pół godziny swemi pytaniami, a wkońcu nawet odważyła się postawić kwestyę:

— Jak też kochana pani baronowa myśli? ile ona może nam zapisać?... bo już co do łaskawych państwa, to pewnie bez kroci się nie obejdzie. Komużby zapisała, jeśli nie swojej krwi?... Ja bo tylko powinowata, z łaski jedynie, z dobroci serca mogę się czego spodziewać, chociaż...

Miała już na języku, że po sprawiedliwości, to jednak Omylin z dziada pradziada należał do Omylińskich i z majątku po pierwszym mężu, a tak blizkim jej krewnym, miałaby może prawo spodziewać się większego legatu; ale połknęła resztę wyrazów, aby się nie zdradzać ze swojemi pretensyami i nie narażać.

Baronowa odpowiadała:

— Czy ja wiem!... czy ja wiem, droga pani!... W takiej chwili nawet myśli pozbierać nie mogę.

Udawała wzruszoną do głębi i bezinteresowną, obojętną na takie marności, ponad któremi górowało samo uczucie żalu nad przewidywaną stratą najdroższej, najukochańszej cioteczki, która przyrzekała być... hojną po śmierci, ale za życia skąpiła nawet wyrazów.

Przecież tak mało byłoby ją kosztowało powiedzieć:

— Bądź spokojną, zostawię ci sto tysięcy, albo tyle a tyle!...

Możnaby wiedzieć przynajmniej, czego się trzymać, a tak: „obiecał pan kożuch, ciepłe jego słowo".

Jedna myśl prześladowała teraz baronowę, mianowicie: z czem wróci do Żołędziówki i co powie Toniowi, z nożem na gardle czekającemu odpowiedzi?

— Przyrzekła pamiętać o nas!...

Czyż taka obietnica warta była sześćdziesięciu tysięcy?... czyż w danej chwili można ją było zeskontować na gotówkę?...

Bądź co bądź przynajmniej nadzieja przyszłości była zapewnioną, ale teraźniejszość niewiele na tem zyskiwała.

Baronowa zapominała o tem zupełnie, że rachunki między jej Toniem a ciotką i tak nie są jeszcze

wyrównane, że z ostatniej pożyczki, którą zaciągnął także z „nożem na gardle“, nie spłacił ani grosza do tej pory; ale wobec grożących faktów i spodziewanej w ich następstwie sukcesyi, któżby myślał o jakiejś tam sumie kilku tysięcy, wziętej naprędce, w gorącej chwili, na gwałtowną potrzebę?...

Ciotka sama nie musiała do tego wielkiej wagi przywiązywać, skoro ani jednem słowem nie poruszyła tej kwestyi w rozmowie z siostrzenicą.

To jedno Phalernowę pocieszało, że uprzedzając jej prośbę, Krokowska odezwała się pierwsza:

— Będę o was pamiętała!

Na tem można było budować cały gmach fantazyi, a żywa i wrażliwa jej wyobraźnia lubiła zamykać oczy i bujać w przestworach...

Odjeżdżała tedy z Omylina pełna najlepszych nadziei, przełożywszy sobie wszystko jak najkorzystniej na przyszłość, która miała dać jej rekompensatę za teraźniejszość.

Szubina również pocieszona, wiozła Wenusiowi pomyślną wiadomość, układając najrozmaitsze kombinacye w głowie, o której wprawdzie Wenusio powiadał, że „prochu nie wynalazła“, ale która miała swój praktyczny rozum i wiedziała dobrze, czego się trzymać.

Pałac w Omylinie opustoszał znowu po wyjeździe niespodzianych gości, którzy spadli, jak kruki na

zwiady, a zwietrzywszy, że na żer jeszcze za wcześnie, rozlecieli się w różne strony.

Krysiewicz odetchnął swobodniej i po wyjeździe Szubiny, której musiał dać konie i parę kaczek na bryczkę, bo się jej okrutnie spodobały, że aż najwyraźniej się o nie przymówiła, zrobił krzyżyk w powietrzu za odjeżdżającą, mruknąwszy:

— Z Panem Bogiem!...

Pniak spotkał go idącego ku gumnom i spytał:

— Cóż?... wytransportowałeś pan załogę?...

Machnął ręką i skrzywił się, jakby w kałużę nadeptał.

— At!... tałałajstwo!... oni tu jeszcze powrócą.

Chciał iść dalej, ale się zatrzymał i w głowę poskrobał; miał widocznie coś na języku, tylko nie wiedział, jak zacząć.

— Proboszcz przysyłał po mnie wczoraj — odezwał się po chwili namysłu — bo to... tego... jak się nazywa?... możeby należało... tylko nie wiem, jakby to...

Nie szło mu jakoś, urywał, jąkał się, w ziemię patrzał i brodę dłonią pocierał.

— Powiada, że w takim wypadku lada chwila może być źle, więc... dobrzeby było pojednać się... z Panem Bogiem — wykrztusił wreszcie z siebie. — Niby o spowiedzi myślał — dodał, zwracając swoje poczciwe, siwe oczy na doktora.

Pniak wąsa pokręcał i milczał.

— Możeby tak zręcznie podsunąć tam przy oka-

zyi... co?... — szepnął i odchrząknął, bo go w gardle jakby zadławiło. — Niechże Bóg uchowa, aby chrześcijańska dusza bez Świętych Sakramentów...

Znowu nie dopowiedział zdania i znowu czekał, ale doktor i teraz jeszcze nie odezwał się ani słowem.

— Mnie bo jakoś nie wypada przypominać — dorzucił Krysiewicz.

— Ani mnie — odezwał się Pniak.

— Więc jakże będzie?... hm?...

— Niech każdy swego pilnuje: ja ciała, a ksiądz duszy.

Nastała znowu chwila milczenia.

Rządca zmarszczył brwi i namyślał się; potem westchnął, skinął głową doktorowi i mruknął:

— Powiem proboszczowi... niech sam pójdzie.

I rozstał się z nim, rzuciwszy na niego spojrzenie, w którem odbił się jakby odcień urazy.

Po południu dnia tego Krokowskiej polepszyło się znowu; kazała poprosić do siebie Pniaka i spytała, czy wolnoby jej było odbyć mały spacer, rozumie się na jej ruchomem łóżku.

— Chciałabym zobaczyć jeszcze raz nasz ogród — mówiła. — Zawieźcie mnie na taras, odetchnę trochę świeżem powietrzem. Tutaj tak duszno w tym pokoju!...

Nie mógł jej odmówić, więc odrzekł:

— Skoro pani sobie życzy...

Krokowski niespokojnie spojrzał mu w oczy, ale doktor dał mu znak, żeby się nie sprzeciwiał.

Sam przy pomocy panny Anastazyi ujął ostrożnie poręcz fotelu i po suknie, wyścielającem posadzkę, z pokoju do pokoju zaczął powoli toczyć chorą w jej krześle na kółkach, unikając starannie jak najlżejszego wstrząśnienia.

Przed niemi szedł Krokowski, otwierając drzwi i torując drogę po miękkich dywanach, własną ręką odsuwając meble, aby nie zawadzały.

Chora rozglądała się dokoła z jakąś dziecięcą ciekawością; oczy jej się ożywiały, wyraz twarzy łagodniał.

— Mój Boże! — mówiła cicho, ale z zadowoleniem — tak dawno już tu nie byłam.

Zdawało jej się, że odbywa istną podróż po własnym domu.

Z pokoju do pokoju wytaczano fotel i zatrzymywano się wszędzie czas jakiś, a ona wodziła oczyma po ścianach, po sprzętach, po obrazach, jak gdyby witała żywe osoby, dawno niewidziane.

W salonie zabawiła najdłużej.

— Zegar idzie? — spytała — nie zapominacie go nakręcać?...

Krokowski pociągnął za sznurek, a murzyn zaczął oczyma w prawo i w lewo obracać i błyskać białkami; z wnętrza pozytywki dał się słyszeć staroświecki jakiś mazurek, któremu chora ze smutnym uśmiechem przysłuchiwała się cały czas.

Sprawiało jej to przyjemność, jakiej dawno już nie miała, odgraniczona zupełnie od świata.

— Dziękuję... dziękuję... — szepnęła tym swoim bolesnym, łagodnym głosem, gdy zegar znowu umilkł — to dla mnie prawdziwy koncert!...

Krokowski powtórnie za sznurek pociągnął i śmiał się do niej, jak do dziecka, które próbowałby zabawić.

Przez szyby wpadał czerwony, gorejący blask słońca, zniżającego się ku zachodowi; w blasku tym jaśniały złocenia, okucia, bronzy, kryształowe wisiorki u pająka i kandelabrów, połyskiwały żywszymi kolorami obicia na meblach i portyery u drzwi, a na chorą padał snop złotawych promieni i oblewał jej postać poświatą, z której, jak zpoza gazy, wydawała się przeglądać, tworząc dziwny kontrast ze swojem otoczeniem na tle salonu.

Odwróciła głowę, przymknęła oczy i w tym ciepłym blasku słonecznym, przy szklanych dźwiękach grającego zegaru, zdawała się rozgrzewać z lubością, jakby przeczuwała, że z życia odbiera już same resztki przyjemniejszych wrażeń i że to światło, ciepło i muzyka zmienią się lada dzień w przeciwieństwo wiecznej nocy, zimna i głuszy.

— Dobrze mi tu! — szepnęła, nie otwierając oczu, do męża, który zbliżył się ku niej, aby poprawić jej poduszkę pod głową.

— Cudowna rzecz, światło!... — mówiła, jakby do siebie w zachwyceniu. — Jasno... jasno... to

i lepiej zaraz na ciele i na duszy... Ach! czemu to słońce i w nocy nie świeci?... Mnie tak męczą strasznie teraz te noce!... Januszku, jesteś przy mnie?...

Ujął ją za rękę i trzymał delikatnie w swoich dłoniach; panna Anastazya cofnęła się pod ścianę, a doktor wyszedł na taras pospuszczać zasłony i markizy, aby słońce zanadto nie raziło wzroku chorej.

Krokowska oddychała szybko, ale bez wysiłku, który ją męczył w ostatnich dniach coraz bardziej i usnąć nie pozwalał.

— Dobrze mi tu... dobrze mi tu... — powtarzała.

Mąż objął jej głowę ramieniem, stojąc poza fotelem i wpatrywał się w jej twarz znużoną i zmienioną chorobą, której ślady dopiero tu w pełnem świetle stawały się widoczne.

Nie uważał, iż od kilku chwil podniosła powieki i ze wzrokiem utkwionym w swój własny portret wiszący nad kominkiem, zapadła w smutną, głęboką, bolesną zadumę. Niepowrotna, daleka, stracona na zawsze przeszłość zdawała się urągać teraźniejszości, tworząc taki wielki kontrast pomiędzy tym wizerunkiem a jego oryginałem.

Na rzęsy jej wypływała powoli łza i szkliła się, jak perła, wbita na złoty promień słońca.

— Pamiętasz? — szepnęła do męża, którego oczy poszły nagle w kierunku jej spojrzeń — pamiętasz?... to ja byłam... a dziś!...

Głos jej brzmiał tak cicho, jak oddalone echo

tych lat, które im obojgu stary portret przypomniał.

Przytuliła się twarzą do jego ramienia i ustami dotknęła ręki męża, jak gdyby w tym czułym pocałunku składała mu niemą podziękę za całą przeszłość wspólną i za to spokojne szczęście, którego przy nim zaznała.

Musiał zrozumieć to i odczuć, bo zaczął drżeć na całem ciele z wielkiego wzruszenia, obawiając się jednak poddać mu, zacisnął usta i powieki tak mocno, że poczciwa i pogodna twarz jego wydawała się bolesnym kurczem zeszpeconą.

Ona jednak po tem drżeniu mężowskiej ręki poczuła, co się w jego sercu dziać musi, bo uścisnąwszy mocniej nieco dłoń jego rzekła:

— No, no... Januszku!... przecież nie jesteśmy więcej dziećmi!... Daj pokój!... trzeba się zgodzić z wolą Boga... Widzisz, jam spokojniejsza... od ciebie.

Przemógł się wielkim wysiłkiem woli i opanował znowu równowagę, tylko odwrócił głowę i oczy w górę podniósł z takiem jakiemś wejrzeniem, jakby mówił:

— Przecież Ty, Boże, miałeś mi jej nie zabrać?!...

Pniak zdaleka obserwował, co się działo w salonie i oparty o kolumnę, z rękoma splecionemi, spoglądał z wyrazem smutku i współczucia na oboje Krokowskich.

Panna Anastazya ręce złożyła na piersiach, jak mniszka odmawiająca pacierze, głowę zwiesiła, oczy utkwiła w ziemię i nieruchomo stała pod ścianą; bała się ruszyć, instynktownie odczuwając uroczysty nastrój tej chwili.

Przez uchylone drzwi wsunęła się raz i drugi siwa głowa służącego, którego ta cisza w salonie onieśmielała do wejścia.

Krokowska dostrzegła go pierwsza i spytała sama:

— Antoni!... czego?...

Służący wszedł na palcach, zbliżył się aż do samego fotelu i zameldował nieśmiało:

— Proszę jaśnie pani, ksiądz przyszedł.

Po twarzy chorej przemknęło drgnienie nerwowe, ale opanowała się szybko.

Wspomnienie księdza naprowadzało jej myśl na ostateczność nieuchronną, która ją czekała nie dziś, to jutro.

— Co za ksiądz? — spytała jednak, broniąc się wrażeniu, jakie ta zapowiadana wizyta czyniła na niej.

— Nasz ksiądz proboszcz — objaśniał Antoni — zapytuje, czy jaśnie pani zechce go przyjąć?

Krokowski poruszył się i niezdecydowany spojrzał w oczy żonie.

— Owszem, powiedz Antoni, że każę prosić — odezwała się Krokowska, a głos jej nabrał owego

odmiennego brzmienia, które chwilami przestrajało jej cichy i zmatowany organ.

Zwróciła głowę do męża i rzekła spokojnie już i z rezygnacyą:

— Zostawcie mnie samą...

Za chwilę we drzwiach stanął ksiądz ze słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

III.

Phalernowie pomimo ciągłych kłopotów finansowych i utyskiwań, prowadzili dom na wielką stopę; w Żołędziówce mieli dwór urządzony po pańsku, w Warszawie mieszkanie, które zajmowali zimą — w lecie stało pustkami.

Służby w liberyi kręciło się niepotrzebnie pełno i tu i tam, tylko krawiec za liberyę dostarczoną chodził z rachunkiem nieraz przez rok cały, a lokaje kwartalne zasługi odbierali, jak Bóg dał.

Baronowi zależało jedynie na polorze wielkopańskim; myślał, że świat złudzi pozorami, a więc o te pozory dbał, ale i to tylko powierzchownie.

Bywało już nieraz tak, że przy stole, zastawionym porcelanowym serwisem z herbowymi monogramami, nie było czego zjeść na obiad i że „menu“ składało się z zaciereczki na mleku, jajecznicy i naleśników.

Przed kucharzem mówiło się wtedy:

— Państwo są dziś niedysponowani, na dyecie.

Ale kucharz nie w ciemię bity, wiedział, jakiego rodzaju jest ta niedyspozycya.

Na drugi dzień, gdy flota nadpłynęła i pan baron wytrzasnął skąd znaczniejszą gotówkę, wracano odrazu do sutej zastawy, spraszano gości i odzyskiwano zdrowie i apetyt.

Całą przyczyną owych częstych niedoborów i krytycznych przesileń finansowych było złe zagospodarowanie i wadliwa administracya.

Majątki były rozległe, duże, ale obciążone długami, które rosły; procenty zjadały dochody, a o amortyzacyi mowy być nie mogło tam, gdzie się ze wszystkich końców urywało ciągle, aby sztukować i łatać dziury coraz większe.

Krętacka natura barona unikała prostych dróg i prostych rachunków; bez ustanku coś kombinował, spekulował, wymyślał, układał świetne plany i projekty, do których przeprowadzenia brakło mu zawsze tylko dostatecznych środków.

Nie chciał pozbywać się ani piędzi ziemi, aby nie mówili ludzie, że się wyprzedaje, że się zachwiał, że bankrutuje; dumę miał nadzwyczajną w tym względzie, a utrzymać wszystko razem w ręku było dlań pracą Syzyfową.

Jak wszystko, pokrywał i to pozorami obowiązków, poświęcenia, przywiązania do rodowej spuścizny, której niby-to nie miał serca pozbywać się — i z emfazą wołał:

— Zdechnę, jak pies!... padnę na swoich śmie-

ciach, a w obce ręce nie oddam!... Nie powiedzą ludzie, że Phalernowie frymarczyli spuścizną. To trudno!... biję się z losem, jak mogę, jednak spełniam obowiązek.

Mówił to z takiem przekonaniem i w patetycznym niemal tonie, że byli tacy, którzy mu wierzyli.

Tymczasem rzeczywistym powodem była duma i ta ciągła chciwość wielkiej fortuny, którą spodziewał się sztucznie utrzymać i ugruntować na trwalszych podstawach.

Czepiał się wszystkiego, wszystkiego próbował, niczego nie pomijał, co tylko wyzyskać się dało; mimo to, zamiast poprawiać, pogarszał tylko z każdym rokiem swoje interesa.

Ostatni zawód, jakiego doznał w swych wyrachowaniach, omal że mu nóg nie poderwał.

Miał nadzieję wydać za mąż najstarszą córkę swą Leonię za bogatego przemysłowca, który pochodził z rodziny niemieckiej wprawdzie, ale w drugiem pokoleniu osiedlonej już w kraju.

Ferdynand Kraene, przyszły spadkobierca milionów swojego ojca, fabrykanta płócienek i perkalików na wielką skalę, poznał pannę baronównę w karnawale na jakimś balu publicznym, zakochał się i oświadczył przez życzliwych pośredników.

Z początku baron nosem krzywił:

— Kraene?... to coś parweniuszem pachnie!... — odrzekł, gdy go poufnie zapytywano, czyby wydał córkę za przemysłowca. — Panna Leonia jeszcze

nie zaczęła wybierać; nie wiem, czy jej się tak łatwo pierwszy lepszy konkurent podoba.

Ale na cztery oczy z córką powiedział jej wręcz:

— Stara się o ciebie ten dryblas z Mamontowa, milioner!... proszę cię bardzo, abyś mi fochów żadnych nie robiła. Pójdziesz za niego, tylko nie zaraz... W naszem położeniu, z twojem nazwiskiem i baronowskim tytułem, trzeba się trochę podrożyć, ale przeciągać struny niema co. Wiesz dobrze, że lepszej partyi nie zrobisz.

Panna Leonia zaś spojrzała ojcu wyzywająco w oczy i spytała:

— A jeżeli mi się nie podoba?...

Baron zębami zgrzytnął i pięść zacisnął z pasyi, w którą popadał bardzo łatwo, ilekroć próbowano mu się sprzeciwić.

— Co to znaczy: nie podoba?... zapominasz, do kogo to mówisz!

— Do ojca, który mnie chce sprzedać! — odpowiedziała również porywczo baronówna, w której grała ta sama gorąca krew, co w jej rodzicu.

Baron poskoczył z miejsca i schwycił kańczug ze ściany, wiszący w całej kolekcyi lasek, szpicrut, harapów i przyborów sportowych.

— Ty!... śmiesz?...

Zapienił się, posiniał z gniewu, oczyma błysnął, jak podrażniony wilk i omal ręki nie podniósł na córkę, która pobladła, jak ściana, zacięła usta, ale

wyprostowała się, przygotowana na wszystko i czekała.

Podobne sceny powtarzały się pomiędzy nimi dość często.

Surowy teroryzm ojca dawał się we znaki wszystkim dzieciom od lat najwcześniejszych; drżały przed nim, bały się go, kryły po kątach, ale wobec świadków udawały, że go kochają i pieszczą.

Szkaradna hipokryzya dla konwenansu światowego, dla pozorów, wyrabiała się w nich i psuła je od dzieciństwa; udawały i kłamały uczucia, których w ich sercu nie starano się rozwijać niczem innem, tylko groźbą i surowością.

Jedna Leonia nie dała się poskromić tak łatwo; jako najstarsza, miała najwięcej śmiałości stawać oko w oko z ojcem w obronie własnej, a często i reszty rodzeństwa — podnosiła głowę i walczyła z nim.

Bywały z tego powodu gwałtowne sceny familijne, które w obrębie czterech ścian ojcowskiego gabinetu pozostawały tajemnicą, podobnie jak i owa stanowcza rozmowa w sprawie projektowanego małżeństwa.

Tylko że tym razem baron chwycił się innej taktyki.

Śmiałe i wyzywające spojrzenie córki powstrzymało go w zaciekłości; spuścił rękę, podniesioną w wybuchu wściekłej pasyi, złamał kańczug i rzucił go córce pod nogi, pogroziwszy jej jedynie pal-

cem i ochrypłym od irytacyi głosem wykrztusił tylko jedno słowo:

— Pożałujesz!...

Trzy dni chodził, jak brytan na łańcuchu, potrącał meble, tłukł talerze i szklanki, wywierając swą złość na służbie; przy stole ciskał piorunujące spojrzenia na krnąbrną córkę i na żonę, która za wszystko i za wszystkich zawsze odpokutować musiała; dławił się, dusił przy jedzeniu, słowa nie przemówił do nikogo, ale po każdem śniadaniu i obiedzie wszystkie dzieci z miną zalęknioną i nieśmiałą musiały podchodzić do niego, dygać z ugrzecznieniem i całować go w rękę na podziękowanie ze słowami:

— *Merci chér papa!...*

Ceremonii tej dopełniała i Leonia, aby wobec służby, zbierającej półmiski ze stołu, wobec guwernera i bony, stało się zadość patryarchalnym pozorom.

Baron zgrzytając zębami, z udaną słodyczą i uprzejmością cmokał ustami w powietrzu nad głową każdego dziecka, obdzielając je w zamian pocałunkami, które były taką samą formą, jak wszystko w tym stosunku ojca do rodziny.

Mimo to pan Ferdynand Kracne zaczął bywać w domu baronostwa, przyjmowany przez rodziców panny Leonii w charakterze konkurenta.

W trakcie owych konkurów zdołał baron zaciągnąć od niego pożyczkę w kwocie pięćdziesięciu

tysięcy rubli, pod pretekstem dopuszczenia go do spółki eksploatacyi lasów i postawienia ogromnego tartaku w Żołędziówce.

Kraene w nadziei pozyskania ręki córki, nie zawahał się z ojcem, a ewentualnym teściem swoim, wejść w interesa, które, według obliczeń barona, powinny były świetnie się procentować.

Małżeństwo to jednak, sklejane przemocą, prośbą, groźbą, perswazyą ojca, nie doszło do skutku.

— Choćbym miała u ołtarza powiedzieć: nie!... to powiem, a nie ulegnę!... — mówiła z niewzruszonym uporem baronówna i postawiła na swojem.

Nie chciała wyjść za mąż za tego, którego jej ojciec narzucał — on zaś wobec ludzi trzymając się taktyki niby-to liberalnej, musiał powtarzać z tłumioną wewnątrz pasyą:

— Córka moja ma swoją wolę w tak ważnej sprawie; sumienia musiałbym nie mieć, jako ojciec, gdybym ją przymuszał do związku bez miłości i przekonania. Niech robi, co sama zechce!...

W domu, w poufnem kółku rodzinnem wyprawiał jej natomiast najprzykrzejsze sceny i formalnie tyranizował, aby jej upór przełamać i wydobyć z niej słowo na zgodę.

Trzy razy wytrwały konkurent próbował się oświadczać; zwlekano z odpowiedzią, odkładano na później, szukano wymówek, aby nie dać stanowczej decyzyi i nie zerwać zupełnie.

Baronowi żal było takiego kandydata na zięcia.

— Córka moja jest jakaś rozdrażniona... Obawiam się, aby nie wpadła w chorobę poważną — tłumaczył się przed Kraenem, zajmując jego uwagę więcej spółką i interesami, aniżeli małżeńskiemi sprawami.

Nie chciał wyrzec się nadziei, że zwalczy Leosię i pokona ją wkońcu.

Mylił się.

Gdy przyszło do ostateczności, ona sama, podrażniona zanadto naciskiem i dotkliwem obchodzeniem się z nią ojca, zdecydowała się na krok stanowczy i ryzykowny.

Napisała list do Kraenego krótki, ale jasny i energiczny.

„Panie!... Od kilku miesięcy znoszę największe przykrości z powodu małżeństwa, które mi narzucają.

„Nie mam zamiaru wyjść teraz za mąż, a przynajmniej za kogoś, kogo nie sama wybrałam. Obowiązek honoru i uczciwości nakazuje mi oświadczyć to panu, dla uniknięcia dalszych nieporozumień i konsekwencyi dla nas obojga bardzo niepożądanych.

„Oprócz szacunku nie mogę żywić dla Pana żadnego innego uczucia, o czem mam zaszczyt zapewnić Go, licząc na wyrozumiałość i dyskrecyę człowieka honoru".

Kraene po tym liście nie pokazał się więcej w domu baronostwa — ale ojciec jego przez swego

adwokata uwiadomił barona, że zrywa układ co do spółki i żąda zwrotu pożyczonego kapitału w terminie przewidzianym w kontrakcie.

Baron posiniał z gniewu.

Między ojcem a córką przyszło do sceny tak gwałtownej, że Leonia tak, jak stała, nie zabrawszy z sobą nawet torebki podróżnej, wyjechała z Żołędziówki do Warszawy, zapowiedziawszy, że do domu więcej nie powróci.

Matka wprawdzie na drugi dzień pospieszyła za nią, aby ją do rozumu przyprowadzić i udobruchać — ale to się na nic nie zdało.

— Nie, nigdy! — powtarzała przez zaciśnięte zęby — nigdy pod jednym dachem z ojcem mieszkać nie będę!...

Postanowiła resztę lata aż do jesieni, to jest do terminu, w którym baronostwo zazwyczaj przenosili się na zimowe leże ze wsi, pozostać w Warszawie, zajmując sama jedna ogromny apartament rodziców, spędzając dnie całe w zamkniętych pokojach, mając do posługi tylko pannę służącą i lokaja, który dla utrzymania porządków i dozoru nad mieszkaniem przez letnie miesiące bawił w Warszawie.

Dla uratowania pozorów mówiło się:

— Leosia jest chorą, musiała dla kuracyi wyjechać do Warszawy; może wcale w tym roku nie powróci do Żołędziówki.

Baron wszelako używał rozmaitych środków re-

presyjnych, ażeby krnąbrną córkę upokorzyć i zmusić do uległości; groził, że ją przemocą sprowadzić każe, ale tego się nie obawiała.

— Owszem, niech papa spróbuje — kazała mu powiedzieć — chciałabym to widzieć!... Niech raz będzie skandal i niech się świat dowie prawdy o tem, co się dzieje w rodzinie państwa baronowstwa!

Pewną była, że do skandalu ojciec nie dopuści, zanadto dbając o pozory i maskę obłudy wobec świata.

W zaciekłości swej baron odmówił córce wszelkiego utrzymania, zostawił ją w mieście bez grosza, nie przypuszczając, że sobie energicznie sama poradzi w ostatniej potrzebie.

— Kiedy chce iść ze mną na udry, niech próbuje — mówił, pieniąc się, do żony, zajmującej między mężem a córką miejsce, jak pomiędzy młotem a kowadłem. — Zobaczymy, czy jej głód nie poskromi!...

Ale panna baronówna głodu nie cierpiała.

„Proszę powiedzieć papie — pisała do matki — że jestem pełnoletnią i miałabym prawo do mego posagu, ale tymczasem nie chcę jeszcze procesować się o należną mi sumę. Posłałam wczoraj przez Klementynę ten bronzowy zegar z kominka do lombardu i na jakiś czas mam gotówkę, z której moje potrzeby opędzę, zanim papa się przekona, że własnej córki głodem morzyć nie wypada“...

Stary antyk z koroną baronowską i herbem Phalernów poszedł do zastawu, umieszczony tam przez „wyrodną córkę“, która nie przebierała w środkach i nie zastanawiała się nad kompromitacyą, na jaką ojca swego z tego powodu narazić może.

Minęło kilka tygodni, sytuacya się nie zmieniła.

Termin spłaty kapitału niedoszłemu zięciowi zbliżał się coraz bardziej; baron kręcił się, jak mucha w ukropie, nie mogąc na razie znikąd wydostać tak znacznej sumy, którąby utopiony w rozpoczętem przedsiębiorstwie udział Kraenego mógł był umorzyć.

Co najgorsza, że straciwszy wspólnika, na którego pieniężną pomoc wiele liczył, miał nadto ręce skrępowane w dalszem prowadzeniu interesu.

Budowa tartaku w połowie stanęła.

Bez nowej forsy i znalezienia większego kapitału wszystko mogło pójść na marne i poczynione dotąd nakłady mogły być w znacznej części stracone.

W takiej właśnie krytycznej chwili „z nożem na gardle“, zwrócił się za pośrednictwem żony o ratunek do Krokowskich, ale los, jak gdyby się znęcał nad jego spekulacyjnymi pomysłami, sprawił mu zawód z tej strony, na którą najwięcej jeszcze liczył.

— Czekaj psie, aż kobyła zdechnie!... — szorstko i brutalnie odezwał się do żony, gdy powróciwszy z Omylina, zdawała mu sprawę ze swojej misyi i w najróżowszych barwach przedstawiała

widoki spadku i nadzieje fundowane na obietnicy chorej ciotki.

Głuchą nienawiść i lekceważącą pogardę miał w oczach, słuchając zapewnień swojej Idalki, że wszystko będzie dobrze, skoro tylko cioteczka przeniesie się na drugi świat, zostawiając zapowiedziane legaty swoim spadkobiercom.

— Tak, tak! — potakiwał z ironią i zgryźliwością — ciesz się!... masz z czego!... A tymczasem ja będę musiał pójść z torbami na dziady, dlatego, że twoja przezacna familijka w ostatniej chwili ręki mi podać nie chce. Nim twoja kochana ciocia namyśli się umrzeć, ja będę zmuszony prędzej w łeb sobie strzelić, aby bankructwa nie dożyć!

— Ależ, Toniu!... Jezus, Marya, cóż ty znów mówisz! — wołała, zalewając się łzami, przerażona i zgnębiona tą pogróżką baronowa, która na seryo brała wszystkie frazesy męża, choć miała czas poznać się na ich wartości. — W łeb strzelić!?... Jezus, Marya!...

— I Józef!... — poddał jej szyderczym tonem. — No, krzycz, płacz, wyrzekaj jeszcze głośniej, stań w oknie i na ulicę wołaj, żeby zaraz cały świat wiedział o tem!...

Poruszył się niechętnie i cisnął nożyczkami, które w ręku trzymał, na biurko, że omal nie rozbił kałamarza i nie postrącał lichtarzy srebrnych.

Ona zaś jęknęła tylko i zamilkła tak nagle wy-

straszona, jak gdyby temi nożycami ją samą na dwoje przekroił.

Nie śmiała więcej słowa pisnąć, tylko z załamanemi rękoma, potulna i zalękniona, patrzała na niego, jak czoło marszczył i wąs motał na palcu, rozmyślając nad uratowaniem swojej szacownej głowy od kuli, a gardła od noża.

— Ha, trudno! — wybuchnął po chwili z rezygnacyą — niema innej rady!... kiedy tak, to tak!

— Cóż zrobisz?... — odważyła się go spytać w największem zaniepokojeniu.

Powstał i spojrzał na nią z góry, jakby jej nie uważał godną nawet odpowiedzi.

— Co zrobię? — powtórzył jednak — przecież się dla przyjemności twojej cioci nie obwieszę tak zaraz; mam jeszcze cały tydzień do namysłu... Tymczasem pojadę do Warszawy.

— Do Leosi?...

— Nie, do żydów; wolę mieć do czynienia z pierwszym lepszym parszywcem, niżeli z kochaną familijką.

Splunął i przez zęby syknął z pogardą:

— Szubrawcy!...

Jakoż wybrał się na drugi dzień zaraz do Warszawy, ale nie sam, bo baronowa obawiając się, aby między nim a córką nie przyszło do nowych scen i zatargów, pojechała z nim razem; chciała być na miejscu i w razie potrzeby, łagodzić ich wzajemny stosunek.

Miała nawet nadzieję, że się jej uda naprawić wszystko i pogodzić męża z Leosią, ale baron na wspomnienie córki, przez którą tyle kłopotów i zawodów znosić musiał, obruszył się gwałtownie i odrazu jasno sytuacyę zaznaczył.

— Tylko bardzo proszę, nie mięszać mi się do tej sprawy! — zastrzegł sobie stanowczo. — Niech mi się nawet nie waży na oczy pokazywać!... Nie mam córki więcej, nie znam!... ani znać, ani widzieć, ani słyszeć nie chcę o niej!... rozumiesz?...

Przez cały czas pobytu w Warszawie, nie spytał o Leosię wcale; zawziął się i zaciął po swojemu.

Nie miał zresztą czasu myśleć o czemkolwiek innem, zajęty interesami. Faktorów porozsyłał na wszystkie strony, dorożkami się rozbijał, jeżdżąc z jednego krańca miasta na drugi, z adwokatami odbywał konferencye, co godzina z kimś innym miał schadzkę, a śpieszył się bezustannie, gorączkował, obiadu zjeść nie mógł porządnie, od ciągłego mówienia aż ochrypł i silnego kaszlu się nabawił.

Poruszył wszystkie sprężyny, ażeby złowić głupca, któryby z nim wszedł do spółki lub wierzyciela, któryby zaryzykował swój kapitał.

Posłał nawet do trzech „Kuryerów“ ogłoszenie tej treści:

„Świetny interes!... Do przedsiębiorstwa prawie już na ukończeniu, poszukuje się wspólnika z gotówką 50.000 rs., albo z kredytem na takąż sumę.

Dochody zagwarantowane. Reflektanci zechcą się zgłaszać pod adresem X. X. X. w kantorze pisma".

Nie wiele wprawdzie liczył na skutek tej odezwy, ale postanowił wszystkiego spróbować, dyabłu duszę sprzedać, byle pieniądze skądbądź wydostać.

Któregoś dnia, przed wieczorem, zajechał przed „Patelnię" w Alejach Ujazdowskich, aby odwilżyć czemkolwiek zaschłe podniebienie i odszukać tam jednego z mniejszych finansistów, z którym nawiązał układy o pożyczkę dwudziestu tysięcy, spodziewając się resztę skombinować w inny sposób, przez puszczenie Antosina w długoletnią dzierżawę.

Wszystkie stoliki znalazł pozajmowane; pogodny dzień wywabił tłum ludzi na przechadzkę, cukiernia roiła się od gości.

Rozglądał się dokoła, upatrując na darmo osobnego miejsca dla siebie i już był zdecydowany stojąc wypić mazagran, który mu garson miał przynieść, kiedy usłyszał ostry, przenikliwy, młodzieńczy głos za swojemi plecami:

— Pan baron szuka miejsca?... proszę, mogę odstąpić moje.

Odwrócił się i zobaczył młodego człowieka w słomkowym kapeluszu, nieco na bakier nałożonym, w ciemnych binoklach z talmi-złota na cieniutkim łańcuszku, założonym za ucho, w tużurku dość wyszarzanym, bronzowego koloru, w rękawiczkach zmiętych i zbrudzonych nieokreślonej barwy, z laseczką w ręku i plikiem gazet i papierów pod pachą.

Twarz miał chudą, ściągłą, krostowatą, pokrytą świeżym zarostem, który pod zadartym noskiem utworzył dwa mysie ogonki, podkręcone, jak szydła do góry.

Na jednem oku miał skałkę, którą pokrywał zapewne ciemnemi szkłami niebieskawego koloru, aby tę „wadę piękności“ uczynić mniej widoczną dla świata.

— Jestem Szuba — przedstawił się baronowi — pan baron mnie nie poznaje. Stanisław Szuba.

Uchylił kapelusza i uśmiechnął się.

— A!... tak, bardzo mi przyjemnie — mruknął baron, protekcyonalnie dwa palce podając młodzikowi; nie miał ani zamiaru, ani wielkiej ochoty zawiązywać rozmowy i korzystać z tej nowej znajomości, która mu się obcesowo sama narzucała.

— Może pan baron zajmie moje miejsce, bardzo proszę — zachęcał Szuba uprzejmie, pragnąc widocznie tą drobną przysługą zobowiązać sobie barona.

— Dziękuję panu, postoję... i tak tylko na chwilę tu wstąpiłem.

— Niewymownie się cieszę, że pana barona tu spotykam!... — mówił młody człowiek z emfazą, przybierając minę pewną siebie — będę mógł odrazu zaczerpnąć wiadomości u źródła.

Wyjął z kieszeni pudełko tekturowe, z którego dobył ostatniego papierosa i zapalając go, spytał:

— Cóż tam słychać w Omylinie?...

Baron spoglądał na niego nieco z góry i mierzył zmrużonem okiem dość lekceważąco jego niepozorną postać.

— Nic nie słychać — odrzekł, cedząc niedbale wyrazy.

— Podobno moja matka spotkała się tam z państwem?...

— A tak, miałem krótką przyjemność widzenia pani Szubiny — z tym samym chłodem i wyniosłością odpowiedział baron.

— Jakoś na pogrzeb się nie zanosi... prawda?... — pytał dalej młody Szuba — ale *periculum in mora.* Dzisiaj spisują zapewne testament na żądanie Krokowskiej. Wczoraj był w Warszawie doktor Pniak i zabrał ze sobą rejenta Lipowskiego...

Baron z zajęciem rzucił okiem na niego.

— Skądże pan wiesz o tem?... — spytał z kolei.

Młody człowiek uśmiechnął się z zadowoleniem.

— My, dziennikarze, musimy wszystko wiedzieć, to nasz obowiązek.

— Pan jesteś dziennikarzem?...

Szuba się skłonił i pokazując na kilka numerów dziennika pod pachą, rzekł:

— Tak, panie baronie; to właśnie organ, w którym pracuję od pół roku. Wybrałem ten zawód, bo mi daje najwięcej jeszcze swobody. Królowa opinia źle płaci, to prawda, ale zato daje człowiekowi pozycyę.

Wydmuchał cieńki promień dymu z papierosa, po-

prawił binokle i dojrzawszy przechodzących dwóch jegomościów, na cały głos rzucił im powitanie:

— Sługa pana radcy!... Witam pana dyrektora!...

Zależało mu na tem widocznie, aby się takiemi znajomościami popisywać publicznie.

Pan radca i pan dyrektor zaledwie kapeluszy dotknęli dwoma palcami, ale to mu wystarczało; zwrócił się znowu do barona i w dalszym ciągu mówił:

— Służy się całemu światu i zna się cały świat!... Bardzo byłbym szczęśliwy, gdybym panu baronowi mógł być kiedy w czemkolwiek użytecznym. Proszę mną rozporządzać; oto moja karta!...

Wyjął swój bilet wizytowy z bocznej kieszeni tużurka i podał go Phalernowi.

Na bilecie stało dużemi literami wydrukowane nazwisko: Stanisław de Szuba, a w jednym rogu umieszczony był herb, u spodu zaś adres, pod nazwiskiem objaśniający dodatek: literat i dziennikarz.

Baron rzucił okiem z lekceważącym grymasem na ustach.

— Dziękuję panu — rzekł — ale nie wiem, w czem mógłbym z uprzejmości pańskiej skorzystać.

— Kto wie, znajdzie się sposobność — odparł młody człowiek z uśmiechem — któż dzisiaj nie potrzebuje prasy!... Pan baron przecież nie porzucił zupełnie areny publicznej, jakkolwiek wycofał się z niej od dosyć dawna. To byłaby niepowetowana

szkoda!... ludzi zdolnych, dzielnych, energicznych i przedsiębiorczych potrzeba nam na każdem polu!...

Baron spojrzał na niego z ukosa; nie wiadomo, co go bardziej uderzyło w tych słowach, czy wyraz uznania, którym tak hojnie szafował młody dziennikarz, czy arogancya, z jaką swoją opinię o nim wygłaszał?

W każdym razie z większą uwagą zaczął mu się przyglądać.

Garson przyniósł mazagran i postawił na stoliku tuż obok, przy którym właśnie były dwa miejsca wolne.

— A pan nie napije się mazagranu? — zagadnął swojego towarzysza baron, zajmując jedno z dwóch krzeseł.

— Mogę! — brzmiała odpowiedź takim tonem, jak gdyby przyjmując poczęstunek, wyświadczał tem zaszczyt baronowi, i nie czekając, aż tamten wyda polecenie garsonowi, zadysponował sam:

— Szóstka! jeszcze jeden mazagran, tylko z koniakiem zamiast rumu.

Rozsiadł się naprzeciw barona, nogę założył na kolano, poprawił binokle i swoje zabrudzone i poprute rękawiczki obciągać zaczął na palcach z miną eleganta, zadającego szyku pospolitemu plebsowi.

Nie zważał na to, że u jednego kamaszka widać było odstającą już trochę podeszew i że z pod mankietów, świeżych wprawdzie, wyzierał rękaw koszuli nie zmienianej zapewne od dni kilku.

Te braki i niedostatki w garderobie nie krępowały jednak wcale jego swobody i pozowania na elegancyę, którą nadawać sobie usiłował, nadrabiając miną.

— Tak, panie baronie — mówił dalej — ludzi nam dyabelnie potrzeba!... mamy tylko niedołęgów, starych rutynistów, protegowanych idyotów, hołotę rozmaitego rodzaju, ale głów co się zowie, inteligencyi, brak!... dlatego obowiązkiem jest każdego dzielniejszego indywidyum wstępować w szranki i podejmować pracę w szerszem znaczeniu publicznem. Pan baron, o ile mi wiadomo, ma za sobą działalność na niejednem polu zaznaczoną wybitnie. Udział pana barona przed laty kilku w reorganizacyi Towarzystwa amelioracyjnego do dzisiejszego dnia pozostał w pamięci tej poważnej instytucyi. Od tego czasu ani na krok nie posunięto tej sprawy dalej!... Zastój, ogólny zastój!...

Baron skrzywił się i brwi zmarszczył.

Słowa Szuby przypomniały mu zajście ze starym Orszą podczas pamiętnych dla niego wyborów; wystąpienie starego weredyka obaliło wówczas jego kandydaturę i zmusiło go do wycofania się z areny publicznej.

— Zdaje mi się, że te czasy są dla pana zbyt odległe — odezwał się niechętnie baron — abyś mógł pamiętać skromną moją działalność w Towarzystwie amelioracyjnem.

— Zapewne — nie tracąc równowagi, mówił

Szuba — znam jednak tę całą historyę i wszystkie intrygi, które pana barona zniewoliły do złożenia mandatu. W tych dniach właśnie zbierałem materyały do artykułu sprawozdawczego o Amelioracyi i miałem w rękach wszystkie akta i dokumenta, z których nabrałem zupełnie jasnego pojęcia o rzeczy. Wygryźli pana barona, krótko mówiąc. Czy nie tak?... Proszę mi nie brać za złe tego wyrażenia, ale ja nie lubię obwijać słów w bawełnę i mam zwyczaj nazywać rzeczy po imieniu. W moim artykule szerzej nawet zastanawiam się nad tym wypadkiem, ile złego sprowadził przez zniechęcenie siły tak wybitnej i energicznej, jaką pan baron byłeś dla Towarzystwa. Za jaki tydzień spodziewam się już moje studyum oddać do druku. Zerżnąłem, co się zowie, wszystkich obskurantów, tworzących tak zwaną opozycyę!... będą się wściekali na mnie, ale dużo mnie to obchodzi! *Placeam, displaceam...* — zaczął po łacinie jakąś sentencyę, ale dokończyć jej nie mógł, bo nie był pewny dosłownego brzmienia; machnął zatem pogardliwie ręką i dodał:

— Wszystko mi jedno. Rżnę swoje, o resztę nie pytam!

Baron z coraz większem zajęciem zaczynał go słuchać i obserwować.

— Zarozumiały młokos, ale jurna jakaś bestya!.. — pomyślał, a głośno rzekł:

— Pan musi mieć krewki temperament, jak na dziennikarza.

— Szlachecki, panie baronie — odpowiedział butnie. — Nie dam się nikomu zjeść w kaszy, oho!... Oni tu z początku próbowali mnie dziobać, ale im odrazu zęby pokazałem.

— Co za oni?

— A no, ta kanalia, moi koledzy z przeciwnych obozów. Nie dałem się; to grunt, nie dać się! Oko za oko, ząb za ząb! Teraz mają respekt przede mną. To jeszcze nic... ja im pokażę!...

Szuba uśmiechnął się sprytnie i głową pokiwał.

— Ale wracając do naszych spraw — rozpoczął nanowo innym tonem — pan baron długo teraz zabawi w Warszawie?

— Nie wiem dokładnie; to nie zależy ode mnie; mam tu ważne interesa, które mnie zatrzymują... W każdym razie przed niedzielą wątpię, abym się mógł wyrwać z powrotem.

Szuba przez słomkę pociągnął kilka łyków mazagranu i rzekł:

— Zatem pozwolę sobie złożyć panu baronowi w tych dniach moje uszanowanie, a przy sposobności poproszę jeszcze o niektóre informacye do mego artykułu. Potrzeba mi jak najwięcej szczegółów, bo już co do soli i pieprzu, tego mi nie zabraknie. Czytał pan baron może, jak urządziłem Kaflińskiego we wczorajszym numerze?

Baron zrobił minę, jak gdyby sobie przypominał to nazwisko.

— Nie uważałem... Kafliński?... który to Kafliński?...

— Malarz; wystawił teraz siedm swoich bohomazów i całą kopę fidrygałków, rysowanych kredą i piórkiem. Śmiecie!... zerżnąłem. Suchej nitki nie zostawiłem na nim.

— To pan pisze i o malarstwie?

— O czem się zdarzy!... o wszystkiem: o malarstwie, o muzyce, o teatrze... Dzisiaj tak, panie baronie; trzeba pisać o wszystkiem i znać się na wszystkiem. Uniwersalność jest hasłem dobrego dziennikarza. Stare mamuty schodzą z pola, a my, młodzi, musimy ich zastępować. Sił nowych brak... sił brak!... człowiek się nie może rozedrzeć na wszystkie strony.

Podniósł rękę do kapelusza i chciał się ukłonić jakiejś damie o twarzy wymalowanej, z oczyma podkreślonemi, ubranej w kostyum ekscentryczny z lekkiego jedwabiu, szeleszczącej, jak grzechotnik przy każdem poruszeniu.

Za nią szło kilku mężczyzn, śmiejąc się głośno i rozmawiając wesoło.

— To Kłaczewska! — pośpieszył niepytany objaśnić barona — nasza sława!...

— Z teatru?...

— A tak; nazywajmy to teatrem! — dodał szyderczo i pogardliwie prychnął ustami — gdyby nie była aktorką, podawałaby piwo w której bawaryi, albo sprzedawała wodę sodową.

Kłaczewska raczyła go wreszcie dojrzeć i uśmiechnęła się do niego, skinąwszy nań głową, przybraną w ogromnych rozmiarów kapelusz à la Rembrandt.

Podniósł się z krzesła i podszedłszy ku niej, szepnął niby półgłosem usprawiedliwiająco:

— Za chwilę, przepraszam!... siedzę z baronem, moim kuzynem. Będę pani służył natychmiast.

— A!... kuzyn pański, baron?... jak się nazywa?... — zagadnęła go aktorka, rzuciwszy w stronę barona jedno z tych spojrzeń, które przylepiało się do mężczyzn, niby guma arabska.

— Baron de Phalern.

— Cudzoziemiec?

— Broń Boże!... tutejszy.

Kłaczewska uśmiechnęła się, pokazując umyślnie dwa szeregi białych, ale wstawianych zębów.

— Nie zapominajże, redaktorku, przyjść do nas!... mam tylko dwa słowa.

Podała mu rękę w duńskiej rękawiczce i uścisnęła czule, obrzucając kokieteryjnem spojrzeniem „redaktorka“ i jego kuzyna przy stoliku.

Szuba wrócił do barona z miną niby lekceważącą i umęczoną.

— Spokoju człowiekowi nie dadzą! — skarżył się — naturalnie, chodzi jej o reklamę. One wszystkie jednakowe. Za reklamą poszłyby wszędzie, jak kot za sadłem!... Daję panu baronowi słowo, że się nieraz opędzić im nie mogę...

Usiłował nadać sobie pozory człowieka wpływowego, który ma stosunki we wszystkich sferach.

Baron to zauważył odrazu, więc się uśmiechnął jakoś dwuznacznie i powiedział:

— Pan, jak widzę, znasz już z połowę Warszawy?...

Zapytanie to pochlebiło Szubie, bo zaczął skubać swój mysi ogonek pod zadartym nosem, z którego przypominał zupełnie matkę, jednak nie dał poznać po sobie zadowolenia; zarumienił się tylko, oczy mu błysnęły pod niebieskiemi szkłami, nogę znów założył na nogę i odrzekł:

— Tak, ma się trochę znajomości!... trzeba żyć ze wszystkimi, bo trudno wiedzieć, kto się na co przydać może. Dotąd, co prawda, nie potrzebowałem niczyjej łaski, jestem niezależnym i swoim własnym panem, ale to w dzisiejszych czasach trudne zadanie. Wyskrobać garść tych marnych rubli, to praca!... Cóż robić!... mam jednak nadzieję, że mi flota napłynie, skoro... tam się coś zdecyduje pewnego.

— Gdzie? — spytał go baron.

— No, tam... w Omylinie. Przypuszczam, że się nam co okroi ze spadku; przecież mojej matce, jako Omylińskiej, będzie się należała jakaś część z majątku... Krokowska podobno przyrzekła wyraźnie zapisać coś tam nam wszystkim. Wiele się nie spodziewam, bo gdy przyjdzie do działów...

Pan baron pewnie wie, że nas Szubów jest cała fura!... Na palcach-by tego wszystkiego nie zliczył...

— A tak... tak... — machinalnie potwierdził baron.

Wzmianka o spadku przypomniała mu znowu jego zawiedzione nadzieje i kłopoty finansowe; spochmurniał i westchnął.

Szuba to spostrzegł i, jakby na pocieszenie barona, odezwał się:

— Już to państwu baronowstwu zapewne najwięcej się dostanie, może wszystko nawet kiedyś przejdzie na panią baronowę. Matka mi pisała właśnie, że...

— Nic nie wiem... nic nie wiem! — przerwał mu szybko baron, unikając niby drażliwego tematu — nie liczę na to wcale. To sprawa mojej żony. Dostanie, nie dostanie, wszystko mi jedno. Nie zwykłem się mieszać nigdy do jej stosunków familijnych.

Chciał się okazać bezinteresownym zupełnie, więc udawał, że mu to wszystko jest obojętnem.

Szuba z niedowierzaniem rzucił na niego okiem z pod ciemnych binokli.

— To szlachetnie, to bardzo zacnie!... — wtrącił z udanem uznaniem — ale od przybytku głowa nie boli.

Baron uśmiechnął się jedną połową ust i wyjmując z kieszeni swą srebrną papierośnicę z monogramem i herbem, podał ją Szubie ze słowami:

— Pan pali zdaje mi się?...

— I owszem.

Wziął papierosa i dobywszy z kieszeni pudełko szwedzkich zapałek, pośpieszył przysłużyć się w zamian ogniem baronowi, który niby od niechcenia nawiązywał rozmowę przerwaną do poprzedniego tematu:

— No, rozumie się, że gdyby po najdłuższem życiu ciotki mojej żony, przypadło nam cokolwiek, nie pogardzilibyśmy niczem. Dzisiaj nikomu się nie przelewa; kto ma dużo, potrzebuje jeszcze więcej.

— A kto niema nic, ten podobno najwięcej potrzebuje — śmiejąc się, zrobił lekką alluzyę do siebie młody dziennikarz. — Jednem słowem, spoglądamy wszyscy na Omylin, jak na ziemię obiecaną.

Baron nabrał pełne usta dymu, podniósł głowę i zmrużając oczy, udał, że się zastanawia nad czemś, potem napozór obojętnie spytał:

— Wspominałeś mi pan, że tu był Pniak wczoraj w Warszawie i zabrał ze sobą rejenta jakiegoś... Jak się ten rejent nazywa?...

- Lipowski.

— Pan go znasz? — badał dalej.

— Tak sobie, znam i nie znam.

— Bo w danym razie...

Zawahał się, czy ma dokończyć i zatrzymał się w połowie zdania.

Szuba sprytnie się uśmiechnął.

— Rozumiem!... w danym razie moglibyśmy coś zmiarkować, wysondować przyszłość, mówiąc dyskretnie, prawda?... — dopowiedział za niego i rzucił mu porozumiewające spojrzenie, które barona uraziło.

Ta uwaga, a jeszcze więcej ów ton konfidencyonalny, w jakim była zrobioną, wydały mu się niestosowne.

Odwrócił głowę i zadzwoniwszy o szklankę łyżeczką, rzekł po chwili z przybraną, oschłą wyniosłością:

— Jeśli to panu będzie potrzebne... Co do mnie, mało jestem ciekawy. Garson! co się należy?... dwa mazagrany.

Szuba się spostrzegł, że, jak na początek znajomości, posunął się zadaleko i że mu należało naprawić złe wrażenie, wywołane zbyt poufałą domyślnością.

— Niechże pan baron tego na seryo nie bierze, ja żartowałem tylko — zaczął znowu układnie. — W każdym razie tajemnica testamentu i tak niedługo pozostałaby przecież pod pieczęcią...

— Rozumie się, rozumie się... ja też tego na seryo nie brałem.

Podał mu dosyć sztywnie rękę na pożegnanie, ale uprzejmie wycedził:

— Bardzo mi było miło... zatem w wolnej chwili mogę się pana spodziewać?...

— O, panie baronie, nie omieszkam skorzystać z najbliższej okazyi!...

— Bardzo proszę... najlepiej w godzinach rannych, między dziesiątą a jedenastą...

— Najchętniej będę służył!...

Kłaniał się, zginał i wyprostowywał, po dwakroć chwytając rękę barona, którego podprowadził do wyjścia, a potem zawrócił z miną zadowoloną, podnosząc głowę ponad tłum, jak gdyby wzrokiem pytał wszystkich:

— Widzieliście?... a co?... rozmawiałem z baronem!... to był baron, mój kuzyn!

Poszedł między stoliki, upatrując Kłaczkowskiej i jej towarzyszy.

— Przepraszam panią, żem się spóźnił trochę — zaczął odrazu głośno, aby go słyszano przy sąsiednim stole, gdzie siedziało kilku dziennikarzy i literatów, prowadzących rozmowę z wygolonym jegomością o jowialnej twarzy komika — ale baron miał do mnie ważny interes i zatrzymał nieco dłużej. Nie widzieliśmy się z moim kuzynem parę miesięcy, a właśnie rozmaite historye familijne spadną nam lada dzień na głowę, więc musieliśmy się trochę naradzić.

— Słuchajcie!... Szuba wytrzasnął sobie skądciś kuzyna barona — odezwał się półgłosem jegomość z komiczną twarzą — gdy się rozpędzi, to wkrótce między samych książąt jeszcze wlezie.

— A na kuśnierzach skończy! — wtrącił zło-

śliwie smagły brunet, o iskrzących, uśmiechniętych oczkach, któremi nieustannie strzelał na wszystkie strony badawczo.

— Dlaczegoż na kuśnierzach, konsyliarzu?... — spytał ryżawy tłuścioch, siedzący obok.

— No, bo szuba od kuśnierza pochodzi i do kuśnierza wraca, zwłaszcza, gdy się trochę wytrze — objaśnił dowcipniś, zwany konsyliarzem.

Przy stoliku zaczęto się śmiać z konceptu doktora i spoglądać złośliwie w stronę młodego kolegi, z którym Kłaczkowska na cztery oczy prowadziła jakąś ważną i ożywioną rozmowę.

— Wiesz doktor, że w dzisiejszych „Psikusach“ wydrukowali pański dowcip o ostatniej premierze — odezwał się szpakowaty jegomość w okularach, który przeglądał właśnie jakieś pismo humorystyczne przy sąsiednim stoliku.

— Mój dowcip?... to niemożliwe! — zaprzeczył z poważną miną zagadniony.

— Dlaczego?

— Bo ja nigdy tak głupich dowcipów nie robię, aby je mogły „Psikusy“ wydrukować — odrzekł konsyliarz niby dobrodusznie i skromnie, co powiększyło jeszcze komiczny efekt tej odpowiedzi.

W gronku jego towarzyszy wybuchnęły znowu wesołe śmiechy.

— Pan masz podły język! — zwrócił się do niego ryżawy tłuścioch — kiedy pan nim kogo zoperujesz, to może się mieć z pyszna!

— E, gdzie tam! — bronił się doktor, starając się widocznie utrzymywać ciągle w roli fachowego dowcipnisia i bawić swoich słuchaczy — ja się przecież chirurgią nie zajmuję od czasu, jak wyjmowałem mózg młodemu Scheingoldowi...

— Temu, co się ochrzcił w zeszłym togodniu?

— A tak, temu, co się ma żenić z panną Nogacką.

— Toś mu pan mózg wyjmował?... a to na co?...

— A no, bo mu wszyscy mówili, że ma niedobrze w głowie, więc chciałem się przekonać, co w tym łbie siedzi... I wiecie, co tam było?...

— No, co?... co?...

— Dwie fury siana, trzy łopaty, któremi mu rozum do głowy wkładali, mnóstwo zardzewiałych ćwieków, dwa zajączki i... nic więcej. Wyjąłem mu to wszystko, wywietrzyłem, wymiotłem i miałby głowę, jak oborę, ale cóż z tego, przez roztargnienie zapomniałem mu zalepić z wierzchu dziurę i teraz nie będzie mógł nigdy więcej walca tańczyć.

— Cóż to jedno z drugiem ma wspólnego?...

— A ma, bo jak się tylko zacznie kręcić, to mu zaraz głowa, jak bąk huczy: bzu!... bzuu!... bzuuu!...

Ten nowy koncept facecyonisty wprawił słuchaczy w dobry humor; zaczęto w tym samym przedmiocie kuć nowe dowcipy i zastanawiać się nad tem, w jakiby sposób załatać dziurawą głowę mło-

dego Scheingolda, który wśród złotej młodzieży z plutokracyi miał opinię „skończonego idyoty“.

Bawiono się jego kosztem, opowiadając sobie rozmaite znane i nowe anegdotki o nim.

— Dajcie pokój — odezwał się ryżawy tłuściooch ostrzegająco — idzie Trefler, gotów się obrazić, gdy zobaczy, że się śmiejecie. On przecież wszystko bierze do siebie i cały świat podejrzewa, że tylko o nim mówi.

— No, to się grubo myli, bo świat nie taki głupi, żeby się nim zajmował — wtrącił znowu konsyliarz, przybierając w tej samej chwili najbardziej uprzejmą minę i udając nadzwyczaj uradowanego widokiem przybysza, który podchodził właśnie do stolika z miną nadętą i podejrzliwą zarazem.

— Kogóż tam panowie po przyjacielsku obrabiacie? — spytał, podając rękę na powitanie.

— Kochany nasz łaskawca! — wołał z przesadną serdecznością doktor, roztwierając ramiona, jakby do uścisku — a mówiliśmy tu właśnie o pańskim ostatnim artykuliku w kwestyi upadku oryginalnej twórczości i hebesostwie swojskich autorów!... Świetnie pan to napisałeś!... Z pod wściekłej wątroby wydobyte argumenta. Siadaj pan z nami; może wody z lodem?... Pan znosi jeszcze wodę?...

Trefler brodę przegarnął i pogardliwie zmrużył

oczy, udając, że go przymówki doktora niewiele obeszły.

Spoglądał jednak na niego ze źle pokrywaną niechęcią i urazą.

— Ja wodę znoszę, tylko są ludzie, których znieść nie mogę! — odciął się.

— To pan kochany cierpi na mizantropię, nie na hydrofobię? — dogryzał mu z najsłodszą miną złośliwy konsyliarz — a po pańskim ostatnim artykuliku całkiem inną dyagnozę postawiłem!...

— Zdaje się, że to częściej się panu zdarza stawiać mylną dyagnozę — rzekł Trefler, kontent, iż znalazł sposobność odwdzięczenia się złośliwością za złośliwość, ale obejrzał się zaraz przytem tryumfująco po obecnych, jakby ich pytał spojrzeniem:

— Uważaliście, jak go palnąłem?...

Doktor poklepał go ze śmiechem po wystającym nieco brzuszku i ironicznie odparł:

— Kochany nasz Trefl!... a zawsze cięty, zawsze dowcipny!... Siadajno pan z nami i opowiedz co nowego.

Szpakowaty jegomość w okularach odsunął się nieco dalej, aby zrobić Treflerowi miejsce; zasłonięty gazetą, udawał niby, że pogrążony jest w czytaniu wstępnego artykułu „Figara“, ale z pod oka przypatrywał się swoim sąsiadom i słuchał uważnie ich rozmowy.

Rozmowa ta przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot i kręciła się w kółku miejskich plotek, bruko-

wych wiadomostek, ostatnich wypadków chwili, niedyskrecyi wszelkiego rodzaju, dotyczących stosunków redakcyjnych i koleżeńskich, teatru od strony kulis, kobiet ze wszystkich stron, a piśmiennictwa tylko ze strony ujemnej.

Ten lub ów na łup ogólny rzucał jakiś nowy szczegół, nowy fakt, nową pogłoskę, którą dyskutowano, komentowano, obrabiano na rozmaite sposoby, popisując się dowcipem i ciętością wyrażeń.

Trefler raz po raz przerywał każdemu, stereotypowo rozpoczynając od słów:

— Nie, ja panu powiem...

Zaczynał zawsze od negacyi, wszystko chciał prostować, wszystko wiedział lepiej i dokładniej, o wszystkiem miał odmienne zdanie i zaperzał się zaraz, gdy kto przy swojem obstawał.

— Nie, przepraszam pana, to się pan grubo myli! — wpadał każdemu w słowa, nie pozwalając nikomu skończyć — to nie jest tak; widzi pan... mojem zdaniem, to... ja panu powiem.

Ciągle się zabierał do powiedzenia czegoś, ale zacinał się przy każdej kwestyi i nie mógł nigdy jasno i zwięźle wyrazić swoich poglądów na rzeczy najprostsze, przez co wikłał, zrywał, zaciemniał każdą rozpoczętą dyskusyę, wpadał w ferwor, podnosił głos i oburzał się:

— Nie, bo przepraszam pana... daruje pan, ale w tym względzie, to ja mogę najlepiej coś wiedzieć.

Szpakowaty jegomość skinął nieznacznie głową na doktora i gdy ten się do niego nachylił, spytał szeptem:

— Panie, czy oni tu nigdy o niczem poważniejszem nie rozmawiają?...

Doktor się uśmiechnął sardonicznie i swoje kocie wąsy nastrzępił jeszcze bardziej w górę.

— O, i owszem! — odrzekł — mówią, ale wtedy są... nudni, albo się kłócą.

— Bo, przyznam się panu, że ja tu przeszło godzinę już siedzę i słucham uważnie, a oprócz docinków, plotek, głupstw, nicowania siebie i drugich...

— Drugich przedewszystkiem, bądźmy sprawiedliwi!...

— Nie słyszałem ani jednego głosu w jakiejś żywotniejszej sprawie, a przecież to sami luminarze!... kierownicy opinii!... same powagi!...

Drwiący uśmieszek nie schodził z ust eskulapa.

— Ee, bo kochany radca jest zanadto wymagający!... — przekładał szpakowatemu jegomości. — Radca-byś chciał za swoje cztery złote miesięcznie dziesięć funtów bibuły i poważnych redaktorów w dodatku.

— Nie, ale widzi pan, kiedy człowiek tak ma sposobność znaleźć się, choć zdaleka, przy tych panach, to...

— Najlepiej zrobi, kiedy się przesiądzie do in-

nego stolika i spokojnie swoją gazetę czyta a kawką popija — wtrącił, nie pozwalając mu dokończyć.

— No, a pan jednak między nimi siadujesz?... hm?... przecież ani literat, ani dziennikarz, ani wydawca...

— Ja?... ja co innego. Widzi radca, doktor jest wszędzie potrzebny, a zresztą ja to robię w celach naukowych.

— Jak to?...

— Zbieram materyały do studyum o zboczeniach umysłowych skutkiem przeforsowania inteligencyi — odparł niby poważnie, tajemniczym głosem, nachylając się do ucha swojego towarzysza.

— Ee, zawsze się tylko żarty doktora trzymają!...

Dalszą rozmowę przerwały głośne śmiechy przy sąsiednim stoliku.

Szuba przyszedł oznajmić kolegom, że Kłaczyńska oburzona, iż jej nie dano roli w nowej sztuce, postanowiła podać się do dymisyi i porzucić scenę warszawską.

— Zupełnie na seryo jest zdecydowaną zerwać kontrakt — opowiadał z przejęciem. — Utrzymuje, że ze swoim talentem może wszędzie za granicą, w Berlinie, w Wiedniu, w Paryżu, w Londynie...

— Scenę zamiatać — wtrącił spokojnie, ale złośliwie komik z twarzą wygoloną, po której poznać można było od pierwszego wejrzenia aktora.

— Brawo, Pyziewicz!... — odezwało się jednocześnie kilka głosów — to się panu udało, brawo!...

Pyziewicz uchylił kapelusza na podziękowanie, ale wykrzywiając usta z przesadną goryczą, rzekł tragikomicznie:

— Tak, teraz to mi wołacie: brawo! a za ostatnią rolę toście mnie schlapali wszyscy, jak nieboskie stworzenie. O, faryzeusze!... rzucam teatr i jadę z Kłaczyńską pokazywać po Europie komedye!... czekajcie!...

— Boś też ostatni raz podle grał! — odezwał się ryżawy tłuścioch, przybierając minę znawcy i wyroczni w sprawach sztuki. — Już tylko daj pokój, Pyza!... podle grałeś i basta.

Komik zpod oka popatrzał na niego i lekceważąco zmierzył go spojrzeniem.

— Ja podle grałem, ja?... a kto mi napisał, że jestem niezrównany po twoich „Figlach miłości"?... Może się pan autor teraz zapierać będzie?...

— No, to cóż z tego?... napisałem ci, boś grał dobrze w mojej sztuce — tłumaczył się skonfundowany trochę autor — ale ostatni raz grałeś podle.

— Bo nie w twojej sztuce, prawda?... Znamy się na tem. Niech żyje bezparcyalność!...

— Co to takiego?... o co chodzi?... — wmieszał się doktor, powracając do stolika na swoje miejsce. — Sztuka i krytyka za łby się biorą?... publicznie?... w jasny dzień?... Sztuko, szanuj swoją perukę!... Krytyko, szanuj swoją łysinę!

Pyziewiczowi małe oczki migotały irytacyą, tłumioną wewnątrz.

— Bo lubię takich kawalerów, co dzisiaj piszą biało, a jutro czarno!... — mruknął przez zęby.

— Piszę, jak mi się podoba i basta! — zakonkludował podrażniony również rozpoczętą sprzeczką autor „Figlów miłości“, — cały wasz teatr zresztą jest podłą budą, do której chodzić teraz nawet nie warto.

— Chyba, gdy grają twoje sztuki! — przyciął mu komik.

— W których ty więcej miałeś *feu*, niż ja honoraryum.

— Aha!... wylazło szydło z worka?...

— Panowie, nie zjadajcie się po kawałku — mitygował obie strony doktor. — Nasz niezrównany Pyziewicz ma racyę i nasz czcigodny pan Adam ma racyę; dajcie sobie buzi i każcie postawić czarnej kawy z koniakiem, a ja wam zafunduję wody do tego po dwie szklanki.

Propozycya ta nie podobała się rozgniewanemu autorowi; nacisnął kapelusz na oczy, powstał z krzesła i mruknąwszy szorstko:

— Zawracanie głowy!... — ciężkim krokiem, bez pożegnania odszedł od stolika.

Pyziewicz patrzał za nim z grymasem na ustach i jakby się zreflektował, że niepotrzebnie naraził sobie przyjaciela, z którym żył w dobrej komity-

wie, a którego drażliwość znał dobrze, próbował go więc udobruchać i powstrzymać słowami:

— Czekaj, waryacie... dokąd idziesz?...

Ale obrażony autor i krytyk w jednej osobie nawet się nie odwrócił.

— Zrobiłem sobie wroga! — zaśmiał się nieszczerze komik — teraz będzie mnie rznął przy lada sposobności. Niech tam!...

— Przeprosi się przy nowej sztuce — uspokajał go doktor, a Trefler robiąc ruch, jak gdyby miał wystąpić na mownicę i odrzucając połę swojej jasnej okrywki, zaczął uroczyście:

— Nie, bo ja panu powiem... Właściwie, to Błyszczyński ma słuszność, bo to tak, albo krytyka ma prawo pisać o aktorach, co jej się podoba, albo... widzi pan, mojem zdaniem... ja panu powiem... Czy tabakiera dla nosa, czy nos dla tabakiery?... Musimy się nad tem zastanowić.

— No, to niech się pan zastanawia, a ja muszę się iść ubierać, gram dzisiaj — przerwał mu Pyziewicz, powstając.

Sprzeczka z Błyszczyńskim popsuła mu humor i zniechęciła do dalszej dyskusyi.

Trefler poczerwieniał, jak indor, głowę podniósł, przechylił trochę na bok i wyniośle popatrzył na Pyziewicza.

— Nie, bo ja panu powiem, panie Pyziewicz... — zaczął, dotknięty tem lekceważeniem ze strony aktora.

— Kiedy ja nie będę słuchał.

— Dlaczego?...

— Bo ja się spieszę; występuję w trzecim akcie, ale muszę się ucharakteryzować. Zresztą ja już wiem, co mi pan chcesz powiedzieć, słyszałem to sto razy.

— A no, chyba...

— Żegnam moich panów!

Ukłonił się i odszedł, po drodze ściskając ręce, które się do niego wyciągały i odpowiadając na sympatyczne uśmiechy skinieniem głowy na prawo i na lewo.

Trefler, który to widział, zwrócił się do Szuby i rzekł:

— Niema to, jak być naszym znanym!... jest się zaraz popularnym w całej Warszawie i już się nos w górę zadziera. Człowiek musi pracować, kończyć studya, coś umieć, pisać, drukować całe lata, aby o nim się nareszcie dowiedziano, że istnieje — a taki pan ma śmieszną gębę i bawi ludzi wieczorem za pieniądze i całe miasto go zna!...

— No, i pana znają, daj pan pokój!... — pocieszał go Szuba.

— Z widzenia! — szepnął półgłosem złośliwy doktor.

Trefler czy nie dosłyszał, czy też udał, że nie słyszy, wyciągnął swój stalowy zegarek z brelokami i rzekł niby do siebie:

— Trzeba iść... Mam jeszcze dzisiaj maleńkie *rendez-vous*...

— Z kobietką? — zagadnął go Szuba.

Ale Trefler usta wydął i z tajemniczą miną, udając wielce dyskretnego, odparł:

— Tego się nigdy nie mówi.

Wstał i powiódł dokoła oczyma po stolikach, przy których zaczęło się już przerzedzać.

— Zostajesz pan?... — zwrócił się nagle do Szuby.

— Zostanę jeszcze; mój kuzyn baron ma tu wpaść po mnie.

Skłamał umyślnie, aby się pochwalić kuzynostwem z baronem, bo go język świerzbiał i szukał sposobności zrobienia sobie reklamy taką parentelą.

Doktor spojrzał na jego buty domagające się gwałtownie podzelówki i spytał z dobroduszną na pozór miną:

— A nie masz pan przypadkiem jakiego szewca kuzyna?

— Nie! — odrzekł krótko, skonfundowany tem zapytaniem.

— Szkoda! — westchnął jakby z ubolewaniem eskulap i podał mu rękę ze słodziutkim uśmiechem.

— Żegnam kochanego pana!... mam jeszcze dzisiaj dwa maleńkie *rendez-vous*, ale o tem się także nie mówi.

Zmrużył ironicznie jedno oko i rzucił szydercze spojrzenie na Treflera.

Wziął go potem zaraz pod ramię i zaczął zagadywać tę przymówkę, prowadząc się z nim ku wyjściu.

Szuba chwilę jeszcze posiedział przy stoliku, skubiąc swoje ostre wąsiki i namyślał się nad czemś.

Nie uważał wcale, że o kilka kroków oddalony stał jakiś mężczyzna w średnim wieku, oparty na lasce, w granatowym garniturze, w meloniku jasnym, nieco na tył głowy nasuniętym i przypatrywał mu się z uśmiechem, mrucząc coś do siebie pod grubym wąsem, zakrywającym mu wązkie, ale kształtne usta.

— Szuba!... Szuba!... — powtórzył kilka razy, jakby go przywoływał i śmiał się z niego, czy do niego, a od tego śmiechu błysnęły mu szare, sprytne, świecące jakimś podnieconym blaskiem oczy i cała twarz o wyrazie satyrycznym i inteligentnym.

— Szuba! — zawołał głośniej — proszę cię, panie, nie udawaj, że myślisz, bo wiadoma rzecz, panie, że na zbytki nie możesz sobie pozwalać.

Dykcya jego była ucinkową, krótką, jakby przeciskaną przez zwarte szczęki, a ów zgłuszony, wewnętrzny śmiech nadawał jej odrębnego charakteru.

— A, witam! jak się pan miewasz?... — zerwał się młody dziennikarz, wyrwany ze swoich rozmyślań

i podchodząc szybko do znajomego, który go w tak oryginalny sposób zagadnął, podał mu rękę. — Jak się pan miewasz? nie widziałem pana, dalibóg! Mam dzisiaj tyle na głowie...

— Na głowie masz słomę tylko, nie udawaj!... — przyciął mu, kładąc rękę na jego słomkowym kapeluszu i poufale obejmując go wpół. — Chodź, postawię ci kieliszek alkoholu. Mam dzisiaj, panie, humor, szczodrość, pragnienie i pobłażliwość dla całego świata. Co pijesz?... Hej, garson!... dwa krzesła dla panów i dużo spirytualiów w najszlachetniejszym gatunku!

Młody chłopak w kurtce kelnerskiej, przy białym fartuchu, szybkim ruchem starł jeden ze stolików na uboczu, przy kamiennej balustradzie i ustawiając krzesła z miną sprytnego Ganimeda, zwrócił się do gościa, szczerząc swoje rzadkie, koszlawe zęby:

— Wszystko jest na rozkazy pana dobrodzieja!

— Podobasz mi się, panie!... — mówił do chłopca, stawiając swoje sztywne nieco, jakby automatyczne nogi, znamionujące tabetyka — jak się nazywasz?

— Trzynastka.

— Trzynastka, panie?... fatalna liczba!

Skrzywił się, ale zaraz znowu przybrał swój dawny uśmiech, mówiąc:

— Co jest fatalność, życzę ci, abyś się nie dowiedział nigdy, luba trzynastko!... tymczasem zaś daj nam fatalne dwa koniaki i morze czarnej kawy.

Leć i wracaj, jak bummerang!... co jest bummerang, nie potrzebujesz wiedzieć.

Usiadł naprzeciw Szuby i przypatrywać mu się zaczął zawsze z ironicznym swoim uśmiechem pod wąsem.

— No, przyszła sławo narodu, cóż się, panie, z tobą dzieje? — zagadnął go.

Szuba, który wobec innych trzymał się zwykle hardo i butnie, a nawet lubił głowę podnosić, złożył się jakoś, niby scyzoryk i pozwalał traktować się w ten drwiący sposób z widoczną uległością, nie poczuwając się na siłach do odbijania jego śmiałych pocisków.

Miał respekt dla niego i obawiał się gryzącego dowcipu Włodzińskiego, który znał go prawie od dziecka i pierwszy niejako wprowadził na drogę dziennikarską, poprawiając najwcześniejsze próbki jego pióra.

Wiedział, z kim ma do czynienia; Włodziński należał do najzdolniejszych literatów i najbardziej ciętych pisarzy, którzy obok świetnego talentu wyróżniali się pod każdym względem wielką niezależnością zdania i przekonań.

Uważał się za jednostkę wykolejoną, za dekadenta, któremu w życiu „zakopciły się gwiazdy ideałów“, jak się wyrażał i wygasając powoli, napełniły mu duszę mrokiem i swędem zgliszcz.

Poetą był z natury, ale rzeczywistość mieszała swą trywialną prozę w jego życie nierówne, zwi-

chrzone, składające się z kontrastów i zawodów, które sam sobie gotował po większej części.

Tkwiła w nim głęboko jakaś tajona gorycz dusz szlachetniejszych, gdy stracą równowagę i siłę panowania nad sobą; dla życia i świata zaś nabierał coraz więcej pogardy i lekceważenia, im częściej musiał się o marności jego przekonywać.

Miał zresztą największego wroga w samym sobie: nałóg, który uważał za kalectwo swoje, za fatalność, z którą nadarmo usiłował walczyć, próbując wysiłkami woli jeśli nie wyswobodzić się z pod niej zupełnie, to przynajmniej od czasu do czasu zapanowywać nad nią.

Ilekroć udało mu się oprzeć skłonności do alkoholizmu, odradzał się, stawał innym człowiekiem, chwytał za pióro i pisał rzeczy, które budziły podziw, rozchwytywane były i czytane w najszerszych kołach; ale gdy go napadła jego „słabość“, gdy nań przychodził fatalny okres nieugaszonego pragnienia, marniał fizycznie, rozstrajał się nerwowo, tracił równowagę, zaniedbywał wszystko, przestawał pracować i podkopywał zdrowie, talent, sławę swoją i przyszłość całą.

Z Orszami pozostawał w dalekiem pokrewieństwie, stąd znał dobrze Krokowskich, Szubów, Phalernów i całą liczną rodzinę Omylińskich, do których zbliżał się co pewien czas, aby potem odsunąć się na dłużej i zrywać znowu wszystkie stosunki nawet znajomości.

Wstydził się pokazywać im na oczy, gdy był „zawiany“ i unikał familii, mającej do niego urazę, że pije i wykoleja się z równowagi „przyzwoitego człowieka“.

Ze Stanisławem Szubą spotkał się przypadkiem na bruku warszawskim i z początku zajął się nim, jako kuzynem; wyrobił mu wstęp do kilku redakcyi, popierał go i doradzał mu w pierwszych krokach na drodze pisarskiej, ale ostrzegał zarazem:

— Ucz się i zapełniaj tę kościaną pustkę, bo hebesów dosyć, panie, na świecie!... Literatura, to nie rzemiosło, dziennikarstwo, to nie szewctwo, ani krawiectwo, chociaż się w niem buty szyje ludziom i kurty kroi. Zresztą rób, co chcesz, skoro cię ciągnie do pióra więcej niż do kopyta!...

Miał nad nim przewagę, jako starszy, doświadczeńszy, z wyrobioną firmą i bez porównania wyższym umysłem a gruntownem wykształceniem.

Spostrzegłszy jednak, że jego protegowany z dobrych rad wcale korzystać nie myśli, machnął ręką i powiedział mu raz:

— Wiesz co?... pomyliłem się, panie, na tobie; nic z ciebie nie będzie, ale nie martw się tem: nicość jest także potrzebną na świecie. Sprytne zero łatwiej wypłynie od niezaradnej jedynki.

Szuba chciał się wtedy obrazić, ale że Włodziński miał trochę w czubku, więc wziął to jedynie za majaczenie pijanego, który nie myśli o tem, co mówi.

Włodziński jednak w stanie podnieconym bywał zwykle wybornie usposobiony, stawał się jeszcze bardziej ciętym i dowcipnym, bardziej kostycznym i nabierał jakby nowego zmysłu w oryentowaniu się, przenikaniu ludzi, obserwacyi; rznął wtedy prawdę każdemu w oczy, nie krępując się żadnymi względami, ale czynił to zawsze z wytwornym humorem i tą „boską ironią“, która miała w sobie coś dziwnie pociągającego, olśniewała i rozbrajała śmiechem nawet tych, którzy mieli prawo uważać się za dotkniętych przez niego.

Bano się jego ostrego języka i ostrego pióra.

Szuba z jakąś rezygnacyą pozwalał sobie często dokuczać przez Włodzińskiego i znosił jego docinki; stosunków jednak nie zrywał, bo umiał z nich wyciągać dla siebie korzyść.

Z każdej rozmowy z nim wynosił zapas oryginalnych zwrotów, ostrych a trafnych określeń dla pewnych kwestyi, osobistości, wypadków, bystrych wskazówek, które potem zużytkowywał w swoich artykułach, wzorując się na stylu swojego mistrza i kuzyna.

Nieraz całe ustępy stylistycznie błyskotliwe, z zacięciem prawdziwego polemisty pisane, były jedynie odblaskiem owych żywych słów, które młody dziennikarz chwytał w lot z ust Włodzińskiego podczas takich gawęd w cztery oczy; umiał go też zręcznie w tym kierunku wyzyskiwać i wyciągać na słówka,

starając się potem nastrajać na podobny ton i naśladować swego mentora.

Włodziński poznał się na tem, ale z hojnością magnata pozwalał się w ten sposób podskubywać chudopachołkowi i bawił się Szubą, który go kopiował, często nawet dosyć szczęśliwie.

— I cóż, panie?... — mówił teraz do niego — rosną ci zęby w dwa szeregi, hm?... kąsasz, gryziesz i przeżuwasz ludzi. Zjadłeś Kaflińskiego znowu?... ale go nie strawisz, bo ma talent. Jeden włosek w jego pendzlu więcej wart od całej szczeciny na jego przeciwnikach. Nie lubisz go, co?...

Szuba chrząknął i oczy spuścił.

— A któż go lubi?... pyszałek, nadęty, karyerowicz, zarozumialec, myśli, że geniusz!... należało mu przytrzeć trochę rogów.

— Tak?... a może masz racyę, panie — zaśmiał się Włodziński — to przecież jest epoka bezrogich i dlatego nierogacizna górą!... Nie wolno być nikomu rogatym, chyba Menelajom, co?... czy nie jesteś tego samego zdania, panie?...

Garson przyniósł kawę i koniak, do którego Włodzińskiemu uśmiechnęły się oczy i błysnęły, jakby rozradowaniem.

Trącił się kieliszkiem ze Szubą i jednym łykiem wypił koniak, jak wodę.

Szuba usta tylko umoczył.

— Gryziesz, jak smok, ale nie pijesz, jak smok — zauważył Włodziński. — W twoim wieku pisałem

już poematy i miałem niezgorszy spust... Od tego czasu, co prawda...

Zaciął się i brwi schmurzył; jakaś myśl przykra wpadła mu nagle do głowy i przygasiła na chwilę swobodny humor.

— Trzynastka!... — zawołał — zaniedbujesz, panie, swoje obowiązki Ganimeda. Gdzież ten drugi koniak?...

— Zaraz będzie!

Włodziński papierosa zapalił i zwrócił się do Szuby, łokciami oparty o stół.

— Powiedz mi... — zaczął po chwili — ty znasz Leosię Phalernównę?... hm?... znasz?... Widziałem, jakeś tu z jej ojcem dyskutował. Bo ja tu już od paru godzin przyglądam się ludzkiej menażeryi i od stolika do stolika się przenoszę, jak arab koczujący na pustyni. Więc znasz?... co?...

— A, znam!... przecież kuzynka!

— No, twoja nie tyle, ale skoro chcesz tego, niech ci będzie kuzynka, panie; po Adamie i Ewie wszyscyśmy przecie krewni. Nie wiesz, co ona tu robi sama w Warszawie?...

— Jak to sama?...

— A sama; nie wyobrażasz sobie kobiety samej?... jesteś cynik, Szuba!... Zresztą może masz i słuszność. Czy ty wiesz, coby było, gdyby Pan Bóg był naprzód stworzył Ewę, zamiast Adama?... Nad tem, panie, warto się zastanowić. Poczekaj!...

Nasunął kapelusz głębiej na oczy i zamyślił się.

— Tylko ona mi coś za smutno grywa na fortepianie — mruknął po dłuższej chwili, jakby dla siebie.

— Kto?... Ewa?... — śmiejąc się, zagadnął go Szuba.

Włodziński się skrzywił.

— Głupiś!... — rzekł — nie próbuj dowcipkować. Ona, to Leosia.

— A gdzież ją pan słyszałeś?...

— Gdzie?... słyszałem!

Wychylił drugi kieliszek koniaku i zadzwonił łyżeczką o filiżankę.

— Służba!... gdzież ten trzeci koniak?... Fontannę mi tu z koniaku postawić, bo nie będę do was przychodził, rozumiesz?...

Podał wypróżniony kieliszek garsonowi i po raz dziesiąty zaczął mieszać wystygłą kawę, której dotąd nawet nie skosztował.

Potem, jak gdyby w dalszym ciągu prowadził głośny monolog, przerwany na chwilę, mówił:

— Codziennie ją słyszę... Okno otwarte wieczorem, lampa z kremowym abażurem stoi na konsoli... a ona, jak Aldona zamknięta w swojej wieży, śpiewa: „Któż me westchnienia, któż me łzy policzy?“... Wygląda, panie, melancholijnie, jak elegia... Baronówna!... hm!...

Przymknął oczy i uśmiechał się dziwnie, zapadając w stan jakiegoś rozmarzenia.

Poruszył ustami, jakby jakiś niesmak czuł na języku i splunął nagle.

— Czekaj, Szuba!... odprowadzisz mnie do domu. Ty wiesz, gdzie ja teraz mieszkam?... Okna w okna naprzeciw Aldony... pod jednym dachem z elegią, od tygodnia.

Otworzył jedno oko i przez ramię spojrzał na Szubę.

— Ty się znasz już na kobietach, niedoszły Endymionie?... — spytał.

Szuba powstał, gotując się do odejścia.

— Znam się, ale chodźmy już — odparł.

— Czekaj .. czekaj, Szuba!... — wypiję jeszcze ten trzeci koniak — zatrzymał go Włodziński, sadzając znowu na krześle. — Kiedy ci powiadam, że wyładniała, to możesz mi wierzyć!... Ma jakiś majestat smutku i rezygnacyi w twarzy... A trzy lata temu, panie, była tylko porcelana, mydło, alabaster, lalka, figurka na wystawę, wszystko co chcesz, Galatea!...

Ten ostatni wyraz zwinął mu się na języku i zaplątał tak, że go musiał powtórzyć:

— Galatea, no!... wiesz teraz?...

Papieros mu zagasł, więc skinął na chłopca, który oparty o sąsiedni stolik, przypatrywał się zabawnemu gościowi i przysłuchiwał z głupkowatym uśmiechem.

— Niewolniku, podaj mi ognia!... a gębę zamknij, bo masz nieinteligentny fason ust, który razi

moje estetyczne instynkta. No, tak!.. Masz wiedzieć, że jestem, panie, ateńczyk w rzeczach piękna. Szuba! wytłumacz mu, co jest ateńczyk!...

Chłopak podał mu zapałkę i śmiał się dalej, mówiąc:

— Proszę pana dobrodzieja, ja sobie sam gęby nie wybierałem, tylko mam taką, jaką mam.

— Orangutan mógłby to także powiedzieć w równie filozoficzny sposób — sentencyonalnie wygłosił Włodziński. — Jesteś głupi, Trzynastka, ale cię lubię, bo przynosisz koniak, panie, i dostarczasz mi alkoholu na każde zawołanie.

Wychylił trzeci kieliszek i spytał:

— Co się należy?...

Wyciągnął z kieszeni zmięty banknot trzyrublowy, rzucił go na stół z lekceważeniem i zgarnąwszy niedbale resztę, próbował powstać.

Szuba podał mu rękę, którą on jednak odsunął delikatnie, mówiąc:

— Daj pokój, panie!... przecież nie jestem pijany, abyś mnie miał prowadzić. Jestem tylko rozmarzony... rozmarzony, masz wiedzieć, więcej nic. Chcesz, żebym poszedł do domu?... pójdę z tobą, chociaż, panie, powiem ci prawdę, ja nie lubię w tych czasach własnego pomieszkania. Zdaje mi się zaraz, że siedzę w labiryncie jakimś i nie mam żadnej Aryadny... żadnej!... To i cóż ja wysiedzę?... jeszcze jedno głupstwo; jeszcze jeden wiersz, je-

szcze jeden artykuł, na który jutro wezmę marną zaliczkę, a potem...

Machnął ręką z pogardą i zatrzymując się na chodniku, jak gdyby sobie przypomniał znowu przerwany motyw, który mu się snuł w myślach, zmienionym głosem, uśmiechnięty, wtrącił nagle:

— A moja Aryadna gra elegie na fortepianie!... chodź! posłuchasz!... Co wieczór, panie, gra do późnej nocy; a ja to muszę słuchać i z tych hieroglifów dźwięcznych sylabizuję dopiero jakąś zagadkę, wobec której, panie, głupi jestem, jak młody wyżeł, któremu grają na flecie. Powiadam ci, Szuba, że ten fortepian, to istna kaskada, z której w noc cichą łzy się sączą strugą, panna się z smutków swoich klawiszom spowiada... Spowiedź ciekawa, ale... trwa za długo!... A ja, co nad nią zdala robię studya, przypłacę kiedy życiem te preludya!

Zatrzymał się znowu i śmiać się zaczął:

— Widzisz Szuba, jaki ze mnie marnotrawca!... hm?... tyś się może nawet nie poznał, panie, na tem, że ja przed tobą perły rozsypuję na bruku?...

— Na wierszach-bym się jeszcze nie poznał!... także!...

— Poznałeś się?... patrzaj, to dziw!... Ciekawy jestem, czy ona ma jeszcze w albumie ten wierszyk, który jej napisałem *in illo tempore?*... Masz wiedzieć, że był czas, kiedym do niej rymami gadał, ale wtedy była jeszcze podlotkiem.

Wziął go pod ramię i szedł powoli, nie spiesząc

się, ku domowi, prowadząc rozmowę na pozór obojętną, przerywaną uwagami, które zdawały się nie mieć żadnego związku z głównym tematem, powracającym mu nieustannie do głowy.

Wygadał się przed Szubą, że to jego *vis à-vis* z pierwszego piętra zajmuje go od pewnego czasu i że się jej z lubością przypatruje, szukając w jej twarzy wspomnień minionych lat; powtarzał mu, że gdyby nie był dekadentem, to kto wie, czy nie poszedłby którego wieczora odnowić znajomość z baronówną, bo chwilami ciągnie go literalnie coś do niej, jak gdyby nie była panną na wydaniu, ale... koniakiem, starem winem węgierskiem, małmazyą, portweinem, najprzedniejszym alkoholem, sam nie wie dobrze czem, dość, że go ciągnie.

— Ty, panie, powinieneś wywąchać to koniecznie — mówił do Szuby — dlaczego ona siedzi sama w Warszawie, nie na wsi przy rodzicach? Pokaż dziennikarski spryt, Szuba... no, cóż?... pokażesz?...

Namawiał go, aby baronostwu złożył wizytę, skoro go baron sam zaprosił, a przy sposobności wymyszkował wszystko i doniósł mu.

Szuba przyrzekał, zmiarkowawszy, że Włodzińskiemu coś bardzo zależało na wiadomościach i szczegółach, dotyczących Leosi Phalernówny.

— Zresztą — napomknął — będziesz pan mógł przecie wkrótce sam zbliżyć się do niej...

— Gdzie?... do nich przecie za nic w świecie nie pójdę teraz, bo... nie pójdę i basta!

— Nie potrzeba koniecznie iść do nich, ale na pogrzeb przecież pan pojedzie.

— Na pogrzeb?... na jaki pogrzeb?...

Przystanął, spoważniał, brwi zmarszczył i badawczo patrzał na swego towarzysza.

— A no, Krokowskiej.

— Krokowskiej?... alboż umarła?...

— Jeszcze nie, ale lada dzień to zrobi.

Znać było, że ów swobodny ton, zatrącający niemal lekkim cynizmem, z jakim mu Szuba tej wiadomości udzielał, uraził go i dotknął nieprzyjemnie. Odsunął się od niego i zrobił grymas niesmaku.

— To z nią tak bardzo źle?... — spytał po chwili.

— Bez nadziei już. Dziś właśnie spisuje testament. Kto wie, czy o tej porze nie jesteśmy obaj posiadaczami legatów, którymi poczciwa babina zamierza otrzeć łzy nasze po jej stracie. Co do mnie, liczę na nią, bo przyrzekła mojej starej pamiętać o nas wszystkich. Wzięła przecież Omylin po pierwszym mężu, a moja matka Omylińska... Pan znowu ze strony Orszów także masz pewne prawa... Kto wie!..

Rozwodził się nad tą sprawą z taką swobodą, jak gdyby śmierć Krokowskiej była dlań faktem najzupełniej obojętnym, zdecydowanym przez los

tylko dla pożytku i zadowolenia tych wszystkich, którzy się po niej należnej schedy spodziewali.

Włodziński słuchał czas jakiś w milczeniu, idąc z głową spuszczoną obok niego i rozmyślał; nagle zatrzymał się, rozstawił nogi, ręce założył w tył i spoglądając mu przez chwilę w oczy, jakby z politowaniem, rzekł spokojnie:

— Wiesz, co ci powiem, panie?... że jesteś wstrętna kanalia, Szuba!... hm?... nie uważasz sam tego?...

Szuba się zmieszał w pierwszej chwili, nie wiedząc, jak ma te słowa przyjąć: czy za jeden z tych dosadnich żartów w manierze Włodzińskiego, czy za poważną opinię, wygłoszoną w tonie tak dwuznacznym?

— Jak to?... pan to seryo mówi?... — zapytał.

— Kanalia jesteś, panie! — powtórzył Włodziński z przekonaniem. — Spekulujesz na cudzą śmierć i myślisz tylko o sobie!

— Ba!... a o kimże innym mam myśleć? — nadrabiając miną, odezwał się młody karyerowicz.

Włodziński stał w miejscu i odpowiadał mu tylko jedno:

— Kanalia jesteś!... kanalia jesteś!... jak cię kocham, panie, jesteś wstrętna kanalia!... a miałeś jeszcze dużo czasu przed sobą, aby nią zostać, skoro już tak musi być koniecznie. Rumień się, panie, i wstydź... fe! cynik jesteś!...

Zdawało się, jak gdyby wytrzeźwiał na tę chwilę

zupełnie pod wrażeniem rozmowy z Szubą; starał się wymawiać dobitnie i wyraźnie każde słowo, a w spojrzeniach jego był nawet jakiś odcień pogardy i niechęci, która się w nim zbudziła.

Podrażniony był; przyspieszał kroku i odwracał głowę od młodzieńca, który zakłopotany mu towarzyszył, nie wiedząc, w jaki sposób się z nim rozstać, czy pożegnać go krótko i zostawić pod wrażeniem niekorzystnej dla siebie opinii, czy też naprawić ją, próbując usprawiedliwić się przed nim.

— Bo pan tak mówi — zaczął po chwili długiego milczenia — jak gdyby to była jaka zbrodnia liczyć na spadek po kuzynach. Niby to i panu nie przydałoby się kilka tysięcy!...

Włodziński splunął przez zęby.

— Przydały, czy nie przydały — odparł — to do rzeczy nie należy. Masz wiedzieć, że ja sobie kpię z cudzych pieniędzy, panie!... Mamona, kruszec, moneta, to za podła rzecz, żeby bogowie pierwszej klasy dużo sobie z niej robili. To dobre dla filistrów, mieszczuchów, bankierów i wszelakiej plutokracyi, która musi mieć pełne kieszenie, aby coś ważyła na szali ludzkości. Dla takich pospolitych zjadaczy chleba pugilares jest dopełnieniem ich gatunkowego ciężaru; odejmij im, panie, wartość ich monety, a zostanie ułamek, jeżeli nie zwyczajne zero na dwóch nogach. Nie sądzisz?... co?...

Wracał mu znowu jego kostyczny humor, a przy nim zapominał już o poprzedniej irytacyi.

— Dla mnie, masz wiedzieć, ordynaryjny sytofago — ciągnął dalej — pieniądz o tyle ma znaczenie, o ile mi jest w danej chwili potrzebny. Puszczam go, niech się toczy i niech za nim pędzi ta cała hałastra, która innego celu w życiu nie ma. Plutus był dla mnie najnędzniejszym z bogów, chociaż był, panie, Rotschildem Olimpu!... Słyszałeś kiedy, aby Jowisz nosił sakiewkę, albo Apollo pugilares obok swojej lutni?... Widzisz, nie słyszałeś, a jednak to były bogi władające całym światem!... Daj pokój, Szuba, marne masz instynkta, pozioma w tobie natura; nie masz najmniejszej kwalifikacyi na coś wyższego i dlatego czuć cię będzie całe życie bagnem i błotem ziemskiem. Dobranoc panu, panie Szuba!... ja już jestem u siebie, a ty idź i szyj worek na schedę po Krokowskiej.

Poklepał go po plecach i nie zważając na jego ukłon pożegnalny, wszedł do bramy.

Na dziedzińcu przystanął, odwrócił się i spojrzał ku oknom pierwszego piętra.

Dwa z nich były otwarte, te same, w których co wieczór rysowała się na tle oświetlonego pokoju ciemna sylwetka Leosi, grającej na fortepianie.

Dzisiaj wszelako było w tych oknach ciemno.

Elegia milczała...

Włodziński nasłuchiwał przez chwilę, a nie dosłyszawszy muzyki, skierował się wolnym krokiem w głąb obszernego dziedzińca i jakby zawiedziony, z głową spuszczoną, wstępował na słabo oświe-

tlone schody przeciwległej oficyny, w której zajmował dwa małe pokoiki na drugiem piętrze.

Nie mógł widocznie pozbyć się całkowicie myśli o Szubie, bo przystając co kilka stopni, kręcił głową, wydymał usta z grymasem i powtarzał jeden tylko wyraz:

— Kanalia!...

IV.

Listopadowy ranek był smętny, szary, pochmurny; sine obłoki, jak rozbełtane, przelewały się przez niebo; ostry wiatr wiał od zachodu i strącał resztki pordzewiałych liści z obnażonych drzew w omylińskim ogrodzie...

Wszystkie aleje, ścieżki, trawniki były już nimi pokryte.

Wiatr je chwytał dużemi garściami, unosił, kręcił w kółko i rozsypywał z jednego miejsca w drugie, a one szeleściły, jak cieńkie blaszki, wirowały w powietrzu, zrywały się nagle, jak żywe i leciały całemi stadami, chrzęszcząc żałośnie.

Od strony werandy chłopak wiejski obmiatał je brzozową miotłą i z pod oka rzucal jakieś ciekawe i zalęknione spojrzenia przez uchylone drzwi do salonu, w którym widać było wśród gęsto ustawionych roślin i kwiatów, poznoszonych z cieplarni, nizki katafalk, czarnem suknem przykryty, a na nim otwartą trumnę metalową.

Dokoła stały w posrebrzanych lichtarzach, pożyczonych z kościoła, jarzące świece, których krwawo-żółte płomyki drgały w powietrzu i topiły wosk, okapujący na blaszane profitki.

Pospuszczane story i pozamykane okiennice nie przepuszczały dziennego światła do salonu; jedynie przez oszklone drzwi, uchylone nieco dla powietrza, przedostawało się tam trochę owego mdłego blasku, który nie miał siły rozproszyć cienia wewnątrz pokoju, zamienionego teraz na pogrzebową kaplicę.

W migotliwem świetle gromnic, twarz nieboszczki nabierała koloru płowo-żółtego; była zmienioną, obrzękłą, jakby nalaną, ale wydawała się uśpioną raczej, niż martwą.

Koronkowy czepiec nakrywał głowę, spoczywającą na atłasowej poduszce, nad którą wznosił się duży, czarny krucyfiks z rozpiętym na nim Chrystusem pozłacanym.

Nieboszczka ubraną była w suknię materyalną perłowego koloru; w rękach opuchłych, sinawych, bez rękawiczek, których nie można było wciągnąć na zgrubiałe palce, trzymała obrazek swojej patronki i różaniec, na którym modliła się zwykle za życia.

Z salonu usunięto wszystkie meble, ze ścian pozdejmowano obrazy i świeczniki, tylko duży portret zmarłej, wśród kwiatów i zieleni umieszczono u stóp katafalku, przed którym stał klęcznik i dwa fotele.

W głębi, za katafalkiem, urządzono przy zwłokach ołtarz dla księży, którzy rano i w południe nabożeństwo żałobne za duszę zmarłej odprawiali.

Dywan wyścielał całą posadzkę i głuszył kroki.

Zapach kadzidła i wosku unosił się w powietrzu, od czasu do czasu zaś jakiś głośniejszy szept modlitwy lub westchnienia odzywały się tajemniczo niewiadomo skąd, gdyż salon wydawał się pustym.

Skulona w kącie, pomiędzy olbrzymiemi roślinami, siedziała babka kościelna, dozorująca świec i odmawiała monotonnym głosem pacierze przy zmarłej.

Co kilka chwil słychać było wyraźniej słowa:

— Światłość wiekuista niechaj jej świeci teraz i zawsze, i na wieki wieków, Amen!...

We drzwiach przylegającego pokoju ukazywała się z poza portyery postać Krokowskiego, który stawał na progu, ręce załamywał i jakimś niespokojnym, gorączkowym wzrokiem przypatrywał się nieboszczce, jakby się chciał przekonać, czy to prawda, że w tej trumnie pod krucyfiksem leży trup zimny, martwy, nieczuły już na wszystko — trup jego żony?...

Tak mu trudno było uwierzyć, że to nie sen okropny, nie zmora, nie przywidzenie, ale rzeczywistość.

Zaczerwienione od łez oczy otwierał szeroko i wlepiał je w twarz nieboszczki z wyrazem rozpaczliwego zdziwienia i przestrachu, a usta mu

drżały kurczowo i zdawały się głucho wołać ją po imieniu i szeptać coś, co tylko jej duch już mógł słyszeć i rozumieć.

Z piersi wydobywał mu się chwilami jakiś dziwnie przejmujący, złamany, ostry głos, niby zdławiony krzyk, niby jęczenie, niby łkanie boleści niemej i skargi.

Wówczas we drzwiach za nim stawała druga postać, która ujmowała go za ramię i delikatnie, ale stanowczo, odciągała znów z tego miejsca.

Niekiedy nie chciał się poddać temu, widać było opór, gniew nawet w jego bladej, zmienionej twarzy; wyrywał ramię szarpnięciem i gestykulując gwałtownie, szedł do klęcznika, rzucał się na kolana, głowę ukrywał w dłoniach i zaciśnięte kurczowo palce wpijając w swoje włosy, pogrążał się jakby w rozpaczliwej modlitwie.

Potem wstawał nagle, zbliżał się do trumny, wspinał na stopień katafalku i oparty o trumnę, z łagodną, ale tem większą boleścią, wpatrywał się w rysy nieboszczki.

Oczy jego nabierały wówczas szklistego wyrazu, usta zaciskały się, twarz alabastrową niemal powlekała się białością, — wydawał się nieprzytomnym wtedy, jakby zahypnotyzowanym widokiem trupa, pozbawionym samowiedzy i woli.

Krysiewicz z doktorem Pniakiem podchodzili do niego i we dwóch ujmowali go pod ręce; nie poznawał ich.

Apatyczny, bezsilny, wyczerpany, jak lunatyk, pozwalał się im odprowadzać od trumny, zwracając tylko głowę poza siebie.

Duszą zostawał przy niej tam, na marach, sam więcej do widma, niż do żywego człowieka podobny.

Jeśli kiedykolwiek w życiu nieszczęsnemu niemowie ciążyło jego kalectwo, to najbardziej z pewnością teraz, w tych dniach największego bólu, najcięższej rozpaczy, kiedy mu śmierć zabrała jedyną duszę ukochaną i kiedy żalu swego wyrazić, cierpieniom swoim ulżyć nie mógł; pierś mu omal nie pękała pod brzemieniem nieszczęścia i smutku, a z nikim ani jednem słowem nie wolno mu było się podzielić.

Musiał cierpieć i milczeć, co wzmagało jego katusze.

W ostatnich dniach Krokowska znosiła istne męczarnie; ona, która dotąd z taką pokorą poddawała się swojemu losowi, nie szemrała, nie skarżyła się, umiała zdobywać się nawet na łagodny, pogodny uśmiech przy słowach:

— Nic, nic... to przejdzie!... już mnie przestało boleć... — teraz wyczerpana z sił, z rezygnacyi, z cierpliwości, wzdychała, wznosząc oczy do nieba, jak męczennica, i z jękiem modliła się:

— O, Boże, zlituj się!... zabierz mnie!... skróć e cierpienia!...

Wzywała śmierci, choć prośba o nią zastygała

w połowie na jej drżących, sinych, posiekanych od zagryzania wargach, ilekroć oczy jej padły na męża.

Nie odstępował jej teraz ani na chwilę, nie oddalał się ani na krok, zapominał o sobie, o całym świecie, o wszystkiem, patrzał w nią tylko w ciągłym niepokoju, w ciągłej obawie.

Wyrzec się musiał ostatniej nadziei jeśli nie uratowania cudem jej życia, to przynajmniej przedłużenia go o ile możności wszelkimi ludzkimi środkami.

Aż któregoś dnia doktor Pniak chcąc go przygotować na cios nieunikniony, na zapytanie, skreślone w notatniku:

— Czy to już koniec?... — odpisał w milczeniu dwa wyrazy:

— Lada chwila.

Zdawało się wówczas, że pod wpływem bólu, który ścisnął mu serce, wyda z siebie nagle jakiś okropny krzyk i przemówi.

Chwycił się tylko instynktownie za skronie, zachwiał się i ryknął nieludzkim głosem przy konającej.

Otworzyła wtedy raz jeszcze, po raz ostatni obrzmiałe powieki, spojrzała na niego żałośnie, jakby w tej jednej chwili współczucie dla męża zagłuszyło jej własne cierpienia i poruszyła ustami, z których ledwo dosłyszeć można było wyraz:

— Bóg...

Więcej nie miała już siły wymówić.

Potem zdawało się, że zasypia i że ta walka organizmu, opierającego się śmierci do ostatniej chwili, słabnie coraz bardziej, ustaje, przerywa się, a gasnąca lampa życia pojedynczymi tylko rozjaśnia się błyskami.

O drugiej po północy, doktor Pniak zwrócił się do panny Anastazyi i szepnął cicho, jakby w tajemnicy przed Krokowskim, który klęczał u stóp żony i w stygnącej jej ręce podtrzymywał zapaloną gromnicę, ten jeden, krótki, ale wymowny wyraz:

— Już.

Stara panna zachłysnęła się łzami i przeżegnała nabożnie; uklękła w tem samem miejscu, w którem stała, schyliła głowę i płacząc cichuteńko, zaczęła odmawiać modlitwę za dusze zmarłe.

A Krokowski klęczał po drugiej stronie i zdawał się nic nie słyszeć, na nic nie zważać, niczego nie widzieć, tylko zaciskał rękę nieboszczki z gromnicą coraz mocniej.

Woskowa świeca drżała z początku, potem chwiać się zaczęła w powietrzu, że aż płomień jej muskał włosy nieboszczki i koronkę jej czepeczka.

Pniak podszedł, zgasił gromnicę i chciał ją lekko wyjąć z tych rąk, złączonych z sobą ostatnim, kurczowym jakimś uściskiem, — ale jakby z tym jarzącym płomieniem gorzała jeszcze resztka nadziei, przytomności i siły panowania nad sobą w Kro-

kowskim, gdy zgasło jej mdłe światło, on sam zwalił się, jak kłoda, u stóp umarłej żony.

Wyniesiono go z pokoju bezwładnego i omdlałego.

Krysiewicz ze służbą dworską, która się tej nocy wcale nie kładła na spoczynek, przy drzwiach odmawiał na kolanach cichym głosem litanię, a w pośrodku pokoju, na tym samym fotelu, z którego w ostatnich tygodniach nie wstawała wcale chora, w postawie siedzącej spoczywały jeszcze niezastygłe jej zwłoki, na które padał słaby blask przysłoniętej lampy.

Majestat śmierci otaczał je już i nadawał tej tajemniczej powagi, wobec której skłaniały się wszystkie głowy, uginały kolana i przyciszały nawet słowa modlitwy za spokój duszy dobrej pani i ukochanej dziedziczki.

Do drzwi cisnęła się służba i na klęczkach, szeptem rzewnym, nieśmiałym, odpowiadała staremu rządcy:

— Światłość wiekuistą racz jej dać, Panie!... Koronę niebieską racz jej dać Panie!... Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie!...

Cichy, głuszony płacz wyrywał się z westchnieniami żalu z pośród tej gromadki służących, która zebrała się w pokoju, by pożegnać zmarłą.

Krysiewicz pierwszy wstał, otarł zapłakane oczy i z powagą uroczystą zbliżywszy się do nieboszczki, ucałował zwieszoną jej rękę.

Za nim, po kolei, poszli inni z tym ostatnim hołdem pośmiertnym dla swojej chlebodawczyni.

Przeniesiono potem ciało na łóżko i uporządkowano pokój.

Pniak z Krysiewiczem odbyli jeszcze krótką naradę co do przygotowań pogrzebowych, gdyż na ich głowie wyłącznie spoczywało teraz wszystko; nie było komu innemu tem się zająć.

Krokowski przez pierwszą dobę wydawał się, jak obłąkany; musiano czuwać nad nim i otoczyć go najstaranniejszą opieką.

Przybity śmiercią żony, stracił narazie świadomość wszystkiego i pogrążony w głuchej rozpaczy, nie wiedział, co się z nim dzieje; bezwładny, bezprzytomny prawie, leżał na otomanie i tylko chwilami zrywał się nagle, jak gdyby mu się zdawało, że go jego ukochana Bisia przywołuje jeszcze i że musi pośpieszyć jej z usługą, jak to czynił podczas całej choroby.

Siły mu odmawiały; zataczał się i padał na posłanie z jakimś jękiem, tak bolesnym i rzewnym, iż panna Anastazya, która po większej części przy nim czuwała, zatykała sobie uszy i zamykała oczy, aby nie słyszeć i nie widzieć tego.

Całowała go po rękach z tą swoją potulną poczciwością i prosiła:

— Niechże pan ma litość nad samym sobą!... przecież pani nasza tam z nieba widzi to wszystko i spokoju mieć nie może. Niech się pan uspokoi...

pani zawsze przykazywała, żeby panu tylko nie pozwolić za dużo rozpaczać po jej śmierci... Mówiła tyle razy do mnie na osobności: „Nastusiu, kiedy mnie już nie będzie, pilnuj naszego pana, aby sobie co złego nie zrobił!“... A pan się tak okropnie przejmuje!... Panu Bogu trzeba nieszczęście swoje ofiarować! Ona tam z aniołami teraz przebywa i raduje się w niebie, a tutaj tyle cierpiała pod koniec... Przecież Bóg wyzwolił ją z męczarni i ulitował się nad nią; niech będzie Imię Jego pochwalone!...

Przekładała mu i pocieszała go, jak umiała, choć jej to z trudem przychodziło, bo nie przywykła mówić dużo i głośno się odzywać; sama, po tylu nieprzespanych nocach i ciągłem czuwaniu przy chorej, ledwie na nogach utrzymać się mogła.

Pniak dał jej jakichś kropli na wzmocnienie i zmusił niemal, aby wypiła pół kieliszka wina.

Krysiewicz porozsyłał listy i telegramy na wszystkie strony do najbliższych krewnych.

Pogrzeb, ze względu na spodziewany zjazd rodziny, oznaczono dopiero na czwarty dzień po zgonie nieboszczki.

Z Żołędziówki przyjechała najpierwsza baronowa z młodszą córką, Niną; obie były już w grubej żałobie i odrazu nastrojone na łzawą nutę.

Panna Nina wprawdzie wzdychała dla sekundowania matce i przykładała chustkę do oczu, ale robiła to machinalnie, dla formy tylko; krzywiła

swoje drobne usteczka, marszczyła czoło pod ufryzowaną grzywką i powtarzała od czasu do czasu:

— Ach, mój Boże!...

A jednak znać było, mimo wszystko, że się nie przejmuje zbytnio sytuacyą i że w gruncie rzeczy mało ją to obchodzi, czy babcia Krokowska umarła, czy nie umarła.

Dopytywała się tylko troskliwie, kto przyjedzie i kto z okolicy swój udział w pogrzebowym obchodzie zapowiedział.

Baronowa, pomimo obficie wylewanych łez, mdłości i żalu, mającego wiele pozorów szczerości, umiała jednak zachować w danych chwilach równowagę i przytomność umysłu; przy pierwszej okazyi, odciągnęła na bok pannę Anastazyę, aby od niej zasięgnąć języka i dowiedzieć się nibyto szczegółów o ostatnich chwilach nieboszczki.

— Poczciwa, kochana Nastusia! — przerywała jej głosem uznania relacyę o śmierci ciotki — pilnowała swojej pani, nie opuszczała jej w najcięższych godzinach! O, Bóg ci to wynagrodzi, moja kochana! Wujaszek o tobie nie zapomni, bądź pewną... W tem już moja głowa... Wszyscyśmy powinni ci być wdzięczni.

— O, proszę pani baronowej, to przecież był mój święty obowiązek! — ocierając ciągle zaczerwienione oczy, zapewniała totumfacka nieboszczki. — Zresztą ja z łaski pańskiej będę i tak wynagro-

dzona ponad zasługi. Do końca życia mam zapewniony kawałek chleba.

Baronowa poruszyła się żywo.

— Jakto?... jakto?... — spytała z zajęciem — dostała panna Anastazya już co ciepłą ręką?...

— Ee, proszę pani baronowej, a mnie na co tego?... cóżbym ja robiła z pieniądzmi?!...

— No, a cóż?...

— Mam obiecane dożywocie tu, w Omylinie i jeszcze dwa tysiące rubli zapisane...

— W testamencie?...

— A pewnie; nie śmiałam pytać o takie rzeczy, ale to już pan doktor nasz wszystko będzie wiedział...

— Pniaczek?...

— A tak, bo to on wszystkiem będzie się zajmował teraz — dobrodusznie zwierzała się stara panna — ja tam dobrze nie wiem wszystkiego, ale tak słyszałam, że go nieboszczka nasza pani przed śmiercią często upominała, aby spełnienia ostatniej jej woli pilnował, i to niby, co do testamentu podyktowała, wykonał najsumienniej.

— A testament jest?... gdzie?... gdzie?... u kogo?... — podchwyciła Phalernowa skwapliwie.

— A jest, rozumie się, że jest; coś dwa dni go spisywali, kiedy jeszcze pani lepiej się czuła. Był adwokat i rejent, i jeszcze jakiś pan z Warszawy, ale ja tam głowy do tego, przyznam się pani baronowej, wtedy nie miałam. Mnie zresztą przy tem

nie było, ale nasz pan doktor to wszystko będzie wiedział najlepiej, bo to on głównie tam spekulował i jak pani baronowej wiadomo, miał całe zaufanie nieboszczki.

Baronowa zwróciła się do córki:

— Ninon!... a mówiłam ci, prawda?... Pniaczek wie wszystko.

Dodała jej szeptem kilka słów po francusku i znaczące rzuciła spojrzenie:

— Trzeba z nim grzecznie a ostrożnie! — dodała pocichu i zaczęła nanowo badać pannę Anastazyę, ubolewając i unosząc się nad nią, że taka anielska i poczciwa, że się tak poświęcała i tyle zniosła.

— Bo wycierpiałaś też swoje! — ubolewała nad nią, całując ją w powietrzu — o, wiem!... wiem!... widziałam przecież. Ale i my o tobie nie zapomnimy po pogrzebie, bądź pewną, tylko się wszystko trochę ułoży.

Trzepotała językiem, a myślała o czem innem.

Ten testament utkwił jej teraz w głowie; nie miała wątpliwości, że należy do obdarowanych przez nieboszczkę i że jako spadkobierczyni weźmie swoją część, ale jaką?... to ją głównie zajmowało, to wzbudzało w niej tę niecierpliwą ciekawość, którą ze względu na uroczystą chwilę tłumić w sobie musiała.

Odjechała do domu, aby się z ukochanym To-

niem podzielić wiadomością, złowioną przypadkiem u poczciwej Nastusi.

Baron, jak zawsze, z lekceważeniem spojrzał przez ramię na nią i szyderczo się uśmiechnął, oblewając jej zapał zimną wodą swego trzeźwego rozumu:

— Wielka nowina! — odezwał się, wysłuchawszy pobłażliwie relacyi żony, — toż ci w Warszawie jeszcze mówiłem, że rejenta wzywała i testament zrobiła za życia. Ale co jest w testamencie, tego nie będziemy wiedzieli, aż po pogrzebie i to Bóg raczy wiedzieć, kiedy!

— Ale spadek jest! — z błyszczącemi oczyma, zapominając o żałobie i obowiązkowej minie zgnębionej siostrzenicy zawołała.

Zarzuciła przytem Toniowi swemu ramiona na szyję z wielkiej czułości, więcej uradowana z niego, niż sama z siebie.

Pozwolił się uściskać, ale mitygując jej wrażliwy entuzyazm, odsunął ją po chwili ze słowami:

— Nie łap ryb przed niewodem!... jabym jeszcze takiego spadku za trzy grosze nie kupił.

— Ależ Toniu!... cóż ty znów...

— Dajno pokój!... sparzyłem się na tej jej szczodrobliwości za życia, więc teraz na zimne dmucham.

— A ja się z tobą założę, że weźmiemy ze sto tysięcy! — wybuchnęła z taką pewnością siebie, jak gdyby tę sumę miała już w swoich rękach.

Baron się skrzywił i nie odpowiedział nic na to.

— Myślisz może, że nie? — zagadnęła go po chwili.

— Myślę, że jeżeli nam co zapisała, to chyba więcej, moja droga, bo cóż to sto tysięcy?... Nie bądź za skromną znowu. Najbliższą krewną jesteś i należałoby ci się przecież...

— Tak, zapewne, ale zapominasz, że wuj jeszcze żyje.

— To i cóż z tego?... żyje, ale po jego śmierci komuż to zostanie?...

Jeszcze nie zamknięto trumny, w której dopiero co spoczęła ciotka, a już w obliczaniach swoich chował wujaszka żony, jako człowiek przewidujący...

Na pogrzeb wybrano się dwoma powozami, bo i Leosia musiała zjechać z Warszawy, zawezwana przez matkę do powrotu.

Nie wypadało przecie „świecić nieobecnością“ w takiej chwili i dawać ludziom powód do domysłów; musiała zrobić to poświęcenie i chociaż stosunki z ojcem pozostawały dotąd w ciągłem naprężeniu, zgodziła się do Żołędziówki zjechać, zastrzegłszy sobie, że po pogrzebie powróci znowu do Warszawy i nie będzie narażoną na żadne próby pojednywania się i przepraszania.

W Omylinie od dwóch dni roiło się tymczasem od gości przybywających oddać zmarłej ostatnią posługę; ze wszystkich stron ściągały bliższe i dalsze rodziny Orszów, Krokowskich i Omylińskich.

Wszystkie pokoje w pałacu były zajęte.

Spodziewano się też licznego zjazdu obywatelstwa z okolicy; z samej Warszawy kilkanaście osób zapowiedziało swoje przybycie.

Eksportować miał dziekan z Pawłowa w asystencyi duchowieństwa z kilku okolicznych parafii.

Proboszcz omyliński przygotował mowę pogrzebową, którą przy zwłokach w kościele miał wygłosić.

Cały ten zjazd miał jakiś charakter odpustowy, pomimo żałobnego nastroju, który w danych warunkach nie mógł utrzymywać się ciągle w jednym tonie.

Dwa skrzydła pałacu różniły się też dosyć widocznie pod tym względem; prawe, w którym na katafalku spoczywało ciało nieboszczki, a tuż obok, jak wcielenie rozpaczy i smutku, snuła się postać niepocieszonego wdowca — nosiło charakter prawdziwej i głębokiej żałoby.

Odzywały się tu tylko szepty, przyciszone kroki wchodzących i wychodzących; zresztą głuche milczenie zalegało po większej części salon zamieniony w pogrzebową kaplicę.

Po stronie przeciwnej natomiast panował ruch ożywiony, uwijała się służba, kręcili goście, toczyły rozmowy głośniejsze i cichsze, ogólne i na osobności, których przedmiotem była nietylko nieboszczka i przygotowania do pogrzebu.

Życie ze swoją rozmaitością motywów, wrażeń, uczuć, tworzyło kontrast bardzo wydatny z powagą śmierci, która po tamtej stronie pałacu się skupiła.

Krokowski nie oddalał się od trumny żony; zdawał się nie poznawać nikogo i nie witał się z większą częścią przybyłych, którzy nie śmieli nawet zbliżać się do niego i narzucać ze swojem współczuciem.

Pniak uprzedzał wszystkich, żeby uwzględniając stan jego, pozostawiali go w spokoju i nie próbowali nawet wyrywać z tej rozpaczliwej apatyi, w jaką popadł.

— Pozostawcie go państwo w spokoju — prosił — niechaj się nie rozdrażnia jeszcze więcej. Obawiam się i tak o jego siły, których potrzebować będzie do końca.

Sam czuwał nad nim nieustannie i badał go oczyma, obserwując wyraz jego fizyognomii.

Ku niemu jednemu też Krokowski zwracał najczęściej spojrzenia, jakby się skarżył chwilami i pytał:

— Po co tu tyle ludzi?... dlaczego nie zostawicie mnie z nią tylko sam na sam?...

Miał chwile, w których się opamiętywał i przypominał sobie swoją rolę gospodarza w domu żałoby i boleści; podchodził sam do krewnych i bliższych znajomych, podawał im ręce, patrzył w same oczy i płacząc, prowadził ich do salonu przed katafalk — tam wskazywał na martwe zwłoki, jakby

się żalił na okrutną śmierć, z dziwnie bolesnym wyrazem w twarzy, kiwał głową i wydawał jakieś jęki krótkie, przejmujące do głębi, którymi zdawał się mówić:

— Patrzcie, patrzcie, co się z niej stało!... Biedaczka!... tyle wycierpiała, tyle się wymęczyła; prawda, jaka zmieniona?... A ja zostałem teraz sam, całkiem sam na tym świecie!... O, jak mi źle, jak mi ciężko, jak tu boli — tu!... Ja nie chcę zostać dłużej bez niej, ja pójdę za nią pod ziemię, tam głęboko, do grobu!...

Pokazywał na migi, starał się być zrozumiałym, opowiadał swoje nieszczęście i skarżył się na losy, ale potem zostawiał wszystkich, jakby z urazą i zawodem, iż przeciw gwałtowi śmierci żadna ludzka siła wesprzeć go nie może, odchodził sam na bok, chował się za katafalk, głowę opierał o trumnę i zapadał znowu w swoją melancholijną i głęboką zadumę.

— Serce się kraje, patrząc na niego! — mówiły kobiety, których rozpacz niemowy wzruszała do głębi — i wychodziły, unikając widoku tak bolesnego.

Mężczyźni zwracali się do Krysiewicza, to do Pniaka ze słowami:

— Weźcież go gdzie i wyprowadźcie!... niech tak ciągle nie patrzy na nią, bo gotów jeszcze zwaryować. I tak już wygląda, jak obłąkany!...

Wysyłano do niego starego Orszę, który po przy-

jeździe zamknął się z Lolusią w swoim pokoju i nie chciał przyjmować nikogo: unikał spotkania osobistości sobie niesympatycznych, których widok go irytował w normalnych warunkach, a teraz poprostu stawał się nieznośnym.

— Dajcie mu pokój! — odpowiadał tym, którzy go namawiali, aby próbował Krokowskiego odciągnąć od katafalku — niech się na nią napatrzy, i tak niedługo już tego. Zamkną trumnę za parę godzin i skończy się wszystko.

Szubowie stawili się w komplecie; starzy przywieźli wszystkie niepocieszone pociechy swoje, pomiędzy któremi odznaczał się szczególniej najstarszy syn, przybyły z Warszawy w towarzystwie Włodzińskiego.

Z białemi obszywkami przy czarnym surducie, w ogromnym czarnym krawacie, z czarnemi spinkami przy koszuli i mankietach, w nowych czarnych rękawiczkach, których ani na chwilę nie zdejmował, manifestował w samym wyglądzie prawdziwie karawaniarską żałobę.

Pragnął całemu światu okazać, że należy do rodziny i ma prawo nosić żałobę po zmarłej, chociaż w gruncie rzeczy nie wiązały go żadne stosunki bezpośredniego pokrewieństwa z nieboszczką.

Nazywał ją jednak głośno „babką“ i rozprawiał o jej chorobie i śmierci z takimi szczegółami, jak gdyby sam jeden był świadomy wszystkiego i wszystko najlepiej wiedział.

Przedstawiał się księżom, paniom, panom, których nie znał, przypominał pamięci rozmaitych kuzynów i kuzynek, kręcił się wszędzie, wszędzie go pełno było i jak mistrz ceremonii chodził z notatnikiem i ołóweczkiem w ręku, zapisując co chwila jakieś uwagi, nazwiska, cyfry, aby sobie nadawać pozory ważnej figury.

Plątał się w rzeczywistości tylko, jak piąte koło u wozu, ale celu dopiął, widziano go i zajmowano się nim.

— Jestem Szuba! — mówił krótko, dobitnie każdemu, kogo spotkał na swojej drodze i wdawał się zaraz w rozmowę, nastręczał z usługą, dopytywał o rozmaite rzeczy, byle się wciągać w stosunki i znajomości.

Włodziński w przeciwieństwie z nim, trzymał się zupełnie na uboczu; miał teraz okres swojej trzeźwości i zachowywał wielką powagę, skupioną w sobie; bystremi oczyma wodził tylko dokoła po wszystkich i obserwował.

Wzrok jego jednak szukał głównie Leosi, którą zauważył pomiędzy obecnymi; odkąd dostrzegł jej bladą, sposępniałą twarzyczkę, posuwał się nieznacznie zawsze w kierunku, w którym mógł ją spotkać i zbliżyć się do niej, choć nie korzystał ze sposobności, aby ją zagadnąć i nawiązać z nią dłuższą rozmowę.

Raz tylko zauważywszy, że wyszła z pałacu

i skierowała się do ogrodu, poszedł za nią i wtedy znaleźli się po raz pierwszy sam na sam ze sobą.

Szedł za nią jakiś czas w alei zasłanej zwiędłym liściem, pomiędzy starymi kasztanami w głąb, ale widząc, że ze spuszczoną głową idzie, szukając samotności, nie śmiał się zbliżyć i odezwać; dopiero gdy zawróciła znowu w stronę pałacu, spotkali się na połowie drogi.

— Ucieka pani od ludzi? — zagadnął ją nieśmiało, gdy się zrównali ze sobą.

Wzruszyła ramionami obojętnie i odrzekła:

— Uciekać? — toby było zawiele dla nich zaszczytu; zostawiam ich tylko na mojem miejscu, a sama odchodzę swoją drogą. Nie lubię tej komedyi oficyalnego żalu przy cudzej trumnie.

— Czyż to komedya?...

— Nie wiem, ale tak mi się z pozoru wydaje. Jedna jest tu tylko boleść prawdziwa, a tej przez szacunek należy się... nie przyglądać.

— Mówisz pani o Krokowskim?

— Tak; nie mogę patrzeć na jego rozpacz!... Gdyby miał nawet mowę, zdaje mi się, że nie potrafiłby swojego bólu wyrazić dobitniej, jak tą niemą twarzą i płaczącemi oczyma. Okropne ma oczy... Nie uważałeś pan tego wcale?

— Owszem, spojrzałem w nie raz i więcej nie śmiałem spotkać się z tym wzrokiem, ale przypisuję to mojemu dekadentyzmowi, który do takich wrażeń zanadto ma postrzępione nerwy.

— To nie jest kwestyą samych nerwów — zaprzeczyła mu — ale serca. Aby odczuć cudzy ból moralny, trzeba mieć samemu serce; fizyczny odczuwamy jedynie nerwami. Widziałam nieraz nerwowe osoby mdlejące na widok krwi z zakłutego palca, a słuchające obojętnie płaczu sierót przy grobie. Czy nie zrobiłeś pan nigdy tego samego spostrzeżenia?

— O, zrobiłem, ale co do siebie, wolę jeszcze wierzyć we własne nerwy, niż we własne serce.

— Dlaczegoż to?...

Uśmiechnął się melancholijnie jakoś i odrzekł:

— Bo jeżeli mam jeszcze serce, to jest ono szczątkowym we mnie okazem i wolę mu nie ufać.

Zwróciła na niego swoje duże, wyraziste oczy i zdawała się rozmyślać nad jego słowami.

— Cóż pana w takim razie tu do Omylina przywiodło, jeśli nie serce?... — spytała — przecież chyba nie nerwy?... Musiałeś pan dla nieboszczki żywić jakieś uczucie, skoro przyjechałeś pożegnać ją na wieki?...

Patrzał na nią z tym swoim dziwnym, lekkim, ledwie dostrzegalnym uśmiechem na ustach i wytrzymywał ją chwilę wzrokiem, a potem wymijająco rzekł:

— Czyż na pogrzeby chodzi się tylko dla umarłych?...

— A dla kogoż?...

— Czasem się to robi tylko dla żywych — od-

parł i oczy jego głębiej spojrzały w jej źrenice, ale oboje spuścili wzrok w ziemię, jak gdyby jedno nie chciało zawiele powiedzieć, a drugie zawiele zrozumieć.

Baronównie jednak przez głowę przemknęła myśl:

— Czyżby dla mnie przyjechał?... — i nieznaczny uśmieszek poruszył jej ustami.

Widywała go często przy oknie wieczorami w Warszawie, gdy się jej grze przysłuchiwał i wpatrywał w nią z przeciwka; spotykała go po kilka razy dziennie, wychodząc z domu lub wracając, niby przypadkiem i uważała, że przeprowadzał ją zawsze oczyma, które z dziwnym wyrazem zajęcia i życzliwości na nią patrzały; pamiętała zresztą ów dowcipny, z humoru i liryzmu spleciony wierszyk, który jej przed laty napisał w dziewczęcym albumie, zakończony słowami:

„I niech te losy jasny piorun trzaśnie,
Że z gwiazdki w słońce rozpalisz się właśnie,
Gdy mego życia błędny ognik zgaśnie!...“

Nazywał ją wtedy „gwiazdeczką porastającą w promyki, niby ptaszę w piórka“ — i smucił się tem, że jako gwiazda będzie coraz wyżej się wznosiła, gdy on do ziemi coraz niżej pochylać się zacznie.

Wydawał się jej wtedy już jakimś dziwnym, oryginałem, z którym się bała rozmawiać, odkąd jej powiedzieli, że to literat, poeta i bardzo złośliwy, więc go się wystrzegać należy.

Traciła go z oczu i z myśli potem na dłużej lub krócej, ale przy każdem nowem spotkaniu obudzał w niej to samo zajęcie i jakąś niewytłumaczoną sympatyę, chociaż słyszała o nim w domu niepochlebne rzeczy.

Ojciec wyrażał się z przekąsem i lekceważeniem o Włodzińskim, nazywał go często pijakiem i gryzipiórkiem.

Matka tylko przynosiła jej niekiedy jakiś wiersz jego lub artykuł i mówiła:

— Przeczytaj, jak ten Włodziński ładnie pisze!... szkoda takiego talentu!...

On zaś, jakby miarkował, że w domu baronowstwa nie ma najlepszej opinii, trzymał się zawsze od nich zdaleka i wydawał się niby onieśmielony, a niby dumny, nie szukał zbliżenia, choćby mu to z łatwością było przyszło, ale te oczy jego zawsze, przy każdem spotkaniu, szły ku niej z jakąś dziwną lubością i zdawały się wpatrywać w nią, jak w „gwiazdeczkę, co w promyki porasta, niby ptaszę w piórka".

Wszystko to przypomniało jej się w tej chwili, podczas rozmowy z nim sam na sam w ogrodzie omylińskim — i przyszła jej ochota porozmawiać z nim dłużej, korzystając z tej rzadkiej sposobności, poznać go lepiej, zaspokoić ciekawość, którą w niej od tylu lat budził.

Zawróciła w aleję i szła z nim krok w krok, spoglądając na niego coraz uważniej.

Zdawało się jej, że go po raz pierwszy widzi tak zblizka; wydał jej się nawet przystojniejszym, niż dawniej i młodszym, pomimo swojej czterdziestki i twarzy zmęczonej życiem.

Mówili o rzeczach niby obojętnych, ale od czasu do czasu w rozmowę ich mieszał się jakiś nawias, jakaś uwaga, alluzya z jego strony bardzo przejrzysta, która najwyraźniej do niej była zastosowywaną.

Powiedział jej, że nie lubi muzyki, bo się na niej nie zna, ale że mimo to z przyjemnością słuchał jej gry na fortepianie całemi godzinami.

— Jakżeż to się jedno z drugiem zgadza?... — spytała go.

— Bo pani muzyka nie wydaje mi się muzyką — odrzekł.

— A czemże?...

— Monologiem samotnej duszy.

Uwaga ta wywołała rumieniec na jej twarz.

— Zatem pan nie słuchasz, ale podsłuchujesz mnie? — rzekła. — Dobrze, że wiem o tem; będę odtąd grywała przy zamkniętych oknach.

— Listopad je i tak pozamykał — zauważył — i panie, tylko ta poczciwa lampa z kremowym abażurem pozwoli mi widywać cień pani na firankach, a ten cień bywa równie niedyskretnym, jak muzyka...

— Jak to?...

— Przesuwa się przez wszystkie trzy okna, gdy

pani wieczorami chodzi po pokoju i sprawia na mnie wrażenie więźnia, który rozmyśla nad tem, jakby się ze swojej kaźni wydostać.

Roześmiała się z tego porównania, ale nie szczerze; nie chciała mu przyznać, że było trafne.

— Ależ pan nietylko podsłuchujesz, lecz i podglądasz także! — zawołała. — Ani przypuszczałam, że jestem tak pilnie śledzoną w mojej samotności... Pospuszczam teraz rolety.

— Wtedy moja domyślność przewierci mury i gotowa zobaczyć właśnie coś, co pani ukryć pragnie.

— A dlaczego pan jest tak ciekawy?... — spytała go, podnosząc z ziemi uschłą gałązkę.

— Dlaczego?... — powtórzył i popatrzył na nią z pod oka — jak się pani zdaje?...

— Czy ja wiem?!...

— Nie domyśla się pani?... nic a nic?...

— Nie.

Spuścił głowę i mruknął, jakby do siebie:

— To może i lepiej, panie! — a potem głośniej dodał:

— Kiedy się znów spotkamy na jakim pogrzebie lub może weselu, przygotuję dla pani odpowiedź.

— Tak długo każe mi pan czekać?...

— Cóż robić, kiedy wcześniej zapewne nie nadarzy mi się sposobność porozmawiania znowu z panią; my tylko, panie, jak meteory spotykamy

się z sobą na chwilę przypadkiem — odparł z uśmiechem.

— *A qui la faute?...* — spytała, z ożywieniem zwracając ku niemu od chłodnego wiatru zarumienioną twarzyczkę — jesteśmy przecież sąsiadami... Z drugiego piętra tak niedaleko na pierwsze.

— Czy mogę to uważać za zaproszenie?...

— Najformalniejsze — odrzekła, podając mu rękę. — Będę panu bardzo rada, jako gościowi; tylko... nie odkładaj pan zbyt długo wizyty swojej, bo dni mojego pobytu w mieście są już policzone.

Zwrócił na nią pytające spojrzenie.

— Wyjeżdżam na wieś na całą zimę — dodała objaśniająco.

— Z rodzicami?...

— Nie, rodzice znoszą się do Warszawy za jakie dwa tygodnie, ale ja zimować będę w Żołędziówce tego roku.

Twarz jego przybrała wyraz zdziwienia i rozczarowania.

— Przyszła mi taka fantazya do głowy — mówiła dalej, jakby uprzedzając jego zapytanie — chcę wypróbować siebie, o ile mam usposobienia na pustelnicę. Zatem mam obietnicę pańską?... zobaczymy się w Warszawie?...

— Skoro pani pozwala.

Skłonił się i uścisnął powtórnie podaną sobie rękę na zgodę.

— Musisz mi pan odpowiedzieć wtedy nietylko

na to jedno pytanie: dlaczego byłeś ciekawy, ale i na drugie: co panu pańska ciekawość przyniosła?... Pragnę wiedzieć, czy pan dobrze słuchasz i naprawdę obserwujesz tak bystro, jak o panu mówią.

Stanęli właśnie przed dworem i natknęli się na Jędrusia w długim, angielskim paltocie, z krepą na ramieniu, w czarnych rękawiczkach, które mu baronowa wdziać kazała na pogrzeb.

Trzymał za obrożę dużego pontera i z zajęciem znawcy przyglądał się jego uszom.

— Panie Włodziński! — odezwał się do towarzysza swej siostry — panie Włodziński, pan się zna na psach?... patrz pan, co to za pyszny okaz, ten Neptun!... Leosia, widziałaś Neptuna?... Daję słowo, że wart sto rubli na amatora, chociaż ma feler.

Baronówna obojętnie rzuciła okiem na Neptuna, którym się brat zachwycał i odeszła na bok, on zaś mówił dalej głośno, nie zważając, że stoi tak blisko tarasu, z którego widać było przez otwarte drzwi katafalk z trumną nieboszczki Krokowskiej.

— Ma feler, o!... widzisz pan?... ciekawym, czy się pan pozna!...

Włodziński szyderczem okiem spoglądał na młodego barona i oparty na lasce, zdawał się porównywać go z siostrą.

— Ja, panie, z psami miałem zbyt mało dotąd stosunków, abym się znał na nich — odrzekł.

— Patrz pan!... nos!... o!... nos ma czarny, a po-

winien mieć biały, bo cały jest białej maści — objaśniał mu z przejęciem Jędruś — tego nie wolno mu mieć, bo czarny nos, to właśnie feler, ale poza tem śliczny pies!... Zarazbym go zabrał z sobą do Żołędziówki. Co im tutaj po takim psie, prawda?...

Podjął z ziemi kamyk i rzucił go psu, cmokając głośno:

— Neptun, aport!...

Zapomniał zupełnie o tem, gdzie się znajduje i więcej był przejęty wrażeniami sportsmana, aniżeli uroczystą i żałobną sytuacyą.

Włodziński skrzywił usta grymasem niesmaku i biorąc go za ramię, rzekł:

— Nie budź pan zmarłej, panie!...

Jędruś wytrzeszczył na niego oczy, ale się zreflektował i cichszym głosem szepnął:

— A, prawda!... za blizko jesteśmy, ale ona już nie usłyszy — dodał z głupkowatym uśmiechem — oho!...

Potem odwracając głowę za Neptunem, szedł obok Włodzińskiego i mówił z poprzedniem zajęciem, tylko ciszej:

— Patrz pan, jak ta bestya aportuje!... pyszności pies, daję panu słowo honoru, sto pięćdziesiąt rubli wart nawet. Ja go muszę od Krokowskiego wyhandlować po pogrzebie...

Skręcił w bok i zaczął pocichu wabić do siebie znowu pontera, zapomniawszy już uwagę Włodziń-

skiego, do której przez przyzwoitość zastosował się na chwilę.

Oparty o balustradę tarasu, stał tęgi chłop w nowej siermiędze, z kapeluszem w ręku i z hardą miną przyglądał się temu, co się wewnątrz pałacu i dokoła niego działo.

Od czasu do czasu spluwał przez zęby, poprawiał na sobie siermięgę i mruczał jakby przekleństwo pod nosem, zaczerwienionym od chłodu i gorzałki.

— To ci ścierwo, nie wychodzi!... — mówił półgłosem z wyrazem zniecierpliwienia. — Przepędził mnie z sieni, przepędził z dziedzińca, peda, że ci tu nie moje miesce. A gdzie?... chorobaby cię sparła!...

Rozparł się i znowu czekał; chwilami mu się siwe, wyblakłe oczy, osadzone głęboko, mrużyły od senności, a głowa kiwała, jakby usypiał stojący.

Znać było po nim, że od samego rana za głęboko zaglądał do kieliszka.

Zwiesił głowę i drzemał.

W tej pozycyi zastał go Pniak, gdy przechodził z jednej strony pałacu na drugą, by zebranych w oficynie młodszych księży uwiadomić, że dziekan już przyjechał i za chwilę rozpocząć się mają ceremonie pogrzebowe.

Podszedł do chłopa i potrząsnął go za ramię.

— Walenty!... znowuś tu?...

— A... gdzież mam być?...

— Mówiłem ci, żebyś z całą gromadą pod kościół poszedł.

— Bez co ja mam pod kościół z dziadami iść?— obruszył się chłop — cóż to, niegodny jestem stać, kędy mi się spodoba?... Szwagier jesteś, to mnie do wewnątrz wpuść.

— Tam niema miejsca dla takich. Antoszkę weź i do kościoła!... zaraz ciało wyniosą.

Z nietrzeźwym uporem opierał się mu i sprzeciwiał.

— Co to niema miesca?... dla mnie niema miesca, dla szwagra?... Ja nieboszkę znał i poważał, dobrodzika była nasza, znajoma, więc jakże to?... Ty tu pan teraz i ludzie pedają, że bedziesz rządził, to mnie wprowadź, bo ty tu wszystko: dochtór, szwagier, pan!...

Pniak go pociągnął za sobą.

— Nie gadałbyś od rzeczy; kiedyś pałkę zalał, to idź się wyśpij.

— Za co mam spać?... kiedy mi się nie chce!... Na pogrzeb przyszedem dziedziczki naszy, dobrodziki, znajomy, wisz?.. A ty mnie nie szarp, bo ja ci się nie dam. Ja szwagier, moje miesce tu, rozumiesz?...

Pniak widząc, że sobie z nim nie poradzi, puścił jego ramię i przyspieszył kroku ze słowami:

— Stójże sobie, kiedyś uparty!

Walenty zatoczył się i oparł o drzewo z tryumfującą miną.

— A widzisz, że taki na mojem stanęło!... ho, ho!... ze mną braciszku nie poradzisz.

Zmrużył powieki i koniec języka wystawił z pijackim grymasem na ustach.

— Tyś mądry, ale i ja nie głupi! — mówił do siebie po odejściu doktora — wstyd ci takiego szwagra?... chcesz mnie się pozbyć?... aha! zjesz dyabła, czy dasz radę. Poczkaj, ja ci pokażę jeszcze!... Kiedym szwagier, tom szwagier i już!

Podniósł pięść i pogroził ukradkiem w stronę doktora.

W pałacu robiło się coraz rojniej i ruchliwiej.

Służba kręciła się po pokojach, zapełnionych żałobnymi gośćmi, księża wdziewali komże na sutanny, Krysiewicz pocichu wydawał polecenia, na dziedzińcu rosła gromada ludu wiejskiego; cała służba folwarczna się zgromadziła, bractwo z chorągwiami szykowało się w ordynku, by poprzedzić trumnę do kościoła.

Rozdawano świece i zapalano na wietrze, który je gasił.

Na drugim dziedzińcu roiło się od karet, powozów, koni, bryczek i wszelakich zaprzęgów, które przywiozły okolicznych obywateli na pogrzeb, znajomych i sąsiadów, bliższych i dalszych.

Wreszcie przed samem południem z wnętrza pałacu dały się słyszeć zmieszane głosy księży, ruch

wszczął się większy u wejścia od strony tarasu i we drzwiach błysnął krzyż niesiony przez zakrystyana, zabieliły się komeżki duchownych, zamigotały płomyki świec, a przed nimi wzniosła się czarna trumna ze złoceniami, pokryta wieńcami kwiatów i zieleni, od których zwieszały się wstęgi białe z napisami.

Pochód zwolna wyruszał z pałacu i sunął ku kościołowi.

Odezwały się żałobne pieśni, które falą popłynęły w powietrzu, nabrzmiewając zmieszanymi głosami, piskliwym dyszkantem dziewek i chrypliwym basem mężczyzn, tworząc ów charakterystyczny rozdźwięk ludowych śpiewów podczas wiejskich procesyi.

Za trumną, kołyszącą się ciężko na barkach sześciu najroślejszych gospodarzy z Omylina i innych dóbr nieboszczki, postępował Krokowski z oczyma wzniesionemi, zasłaniając sobie usta chustką, aby zgłuszyć te rozpaczliwe, bolesne, przejmujące jęki, które były jedyną jego wymową.

Orszak pogrzebowy wydłużał się, wzrastał w miarę tego, jak trumna ze zwłokami oddalała się od pałacu.

Listopadowe słońce swoją posępną twarz wychyliło na chwilę z poza szarych, grubych obłoków i rzuciło kilka jaśniejszych błysków na ten ruchliwy, różnobarwny tłum, który zalewał drogę do kościoła.

Z głosami ludu mieszały się dźwięki dzwonów i ćwierkania wróbli na obnażonych gałęziach lipowej alei, która ciągnęła się od bramy pałacowej ku drodze wiejskiej.

W pustym kościele kirem obity katafalk, obstawiony świecami i roślinami z dworskiej oranżeryi, wznosił się pośrodku, a na chórze organista dobierał jednym palcem tony, by zdala wpływającą pieśń zahaczyć strojnym akordem.

Błyszczący krzyż przed czarną trumną zbliżał się coraz bardziej ku wrotom kościelnym.

Droga wspinała się nieco ku wzgórzu, na którem stał kościół omyliński, więc pochód zwalniał nieznacznie, aż wreszcie przystanął na chwilę; chłopi, niosący zwłoki dziedziczki, zmieniali się, ciężką trumnę brała na swoje barki druga partya, a podczas tego Szuba korzystając ze sposobności, zbliżył się do barona i szepnął mu coś pocichu, z miną bardzo ważną i tajemniczą.

— Mam z panem baronem do pomówienia — rzekł półgłosem, jednym kątem ust, obzierając się poza siebie, czy nie jest podsłuchiwanym. — Zejdźmy z drogi na chwilę, albo... lepiej, gdy ciało wniosą do kościoła, spotkajmy się przy zakrystyi. Ciekawe nowiny!...

Baron rzucił na niego badawcze spojrzenie i spytał również tajemniczo:

— Cóż takiego?...

Odpowiedzi jednak nie otrzymał, bo w tej chwili

mijał ich właśnie stary Orsza, podpierany przez Lolusię, a jego widok zamknął usta Szubie, który lekko, ale znacząco ścisnął za ramię Phalerna i pokazał mu głową pana Ignacego.

Zrozumieli się obaj i umilkli.

Orsza czy nie widział ich rzeczywiście, czy umyślnie nie zwracał na nikogo uwagi, szedł ciężkim krokiem, z głową obnażoną, z oczyma spuszczonemi w ziemię i postękiwał co pewien czas, bo go ten pieszy spacer po wiejskiej drodze utrudzał.

— Lolusia!... — odzywał się tylko do wnuczki — daleko jeszcze?...

— Nie bardzo.

— Nie bardzo?... patrzajno dziecko!... ze dworu to się jakoś ten kościoł blizko wydawał, a tu idziemy i idziemy z pół godziny chyba, co?... nie?... Ciężka droga!... musiały być deszcze wczoraj albo przedwczoraj; rozmiękło.

— Pewnie.

— A no, niech jej tam będzie niewymowne, alem się zmachał! — wyrzekał, zatrzymując się co kilkanaście kroków, aby zaczerpnąć powietrza — potem głowę znowu zwieszał i wzdychał:

— Daj jej Panie niebo!... już to ostatnia posługa. Tak, tak... wynosimy się, Lolusiu, wynosimy my starzy. Patrzajno, i ona mnie wyprzedziła!... a przecież była młodsza. Ha, wola boska!... No, chodźmyż dalej, może i dojdziemy nareszcie!...

Lolusia odpowiadała mu półsłówkami; nie była usposobiona do rozmowy.

Oczy jej biegły nieustannie ku trumnie na przedzie, upatrując w jej pobliżu wyniosłą głowę Pniaka, który górował nad swojem otoczeniem i troskliwie trzymał się ciągle przy boku Krokowskiego.

Obawiał się widocznie o niego i nie chciał go odstępować ani na chwilę.

Dźwięki dzwonów i szlochającej sygnaturki ucichły wreszcie; pochód pogrzebowy wsuwać się zaczął do wnętrza kościoła, przed którym pozostały tylko skupione gromadki włościan i służby dworskiej.

Dudniący głos organów odezwał się na chórze; przy głównym ołtarzu i przy dwóch bocznych księża zaczęli odprawiać mszę żałobną za duszę nieboszczki.

Pod zakrystyą z wyrazem widocznej alteracyi przechadzał się młody Szuba, wyczekując barona.

Język go świerzbiał, nie mógł się uspokoić i na miejscu ustać.

— No, jestem! — usłyszał wreszcie za swojemi plecami głos Phalerna. — Cóż mi pan masz do powiedzenia?

— A, pan baron?!... doskonale; zejdźmy trochę na bok, tam pod murem swobodniejsze miejsce.

Z pewną poufałą już zażyłością wziął go pod ramię i poprowadził w drugą stronę, oddalając się od kościoła.

Znać było, że znajomość ich zrobiła już postępy

od owego czasu, gdy się po raz pierwszy zetknęli przypadkowo na „Patelni“ w Warszawie.

— Piękna historya nas tu czeka! — zaczął szybko półgłosem, wieszając się u ramienia barona. — Jeśli to wszystko prawda, to babunia wystrychnęła nas na dudków!

— No, cóż takiego?...

— Pan baron nic nie słyszał?

— W jakiej sprawie?

— W sprawie zapisów nieboszczki.

— Nie miałem sposobności jeszcze tej kwestyi poruszać; albo co?...

— Bo o tych zapisach dziwne wieści już krążą.

— No, no?... — z żywem zajęciem zagadnął go baron — cóżeś się pan dowiedział?... od kogo?...

Szuba usiadł na zaklęsłem w ziemi podmurowaniu, które ogradzało cmentarzyk kościelny i nasunąwszy na tył głowy swój wypłowiały melonik z czarną krepą, spojrzał przez ciemne binokle Phalernowi w oczy i po chwili rzekł:

— Nie, daję słowo honoru, że toby był przecież prosty skandal!... Niech pan baron sobie wyobrazi, zakręciłem się tam trochę pomiędzy księżmi, poznałem dziekana i tutejszego proboszcza, kilku wikarych, no, i przy tej sposobności, nie żebym podsłuchiwał, broń Boże!... chociażby w tem nic złego nie było, ale mi wpadło w uszy coś o testamencie, o jakichś legatach, fundacyach... to, owo... słucham uważniej i słyszę najwyraźniej, jak proboszcz tutej-

szy powiada do dziekana: „Pan Bóg ją natchnął przed samą śmiercią... Dysponowałem ją na śmierć, to zaświadczyć mogę, jakiej zacności wielkiej była to dusza. Pomnik sobie wystawiła, pomnik na wieki wieków“... A dziekan mu na to: „Ha, cóż, rodzina się obejdzie, więc lepiej, że na Bożą chwałę i ludzki pożytek to pójdzie. Ja to zawsze miarkowałem, że Krokowscy z takim ogromnym majątkiem coś zrobić muszą“. Domyśli się pan baron, że mnie aż coś kolnęło, jakem to usłyszał; zbliżam się do nich, aby w tej materyi czegoś więcej się dowiedzieć, ale spojrzeli tylko po sobie i urwali nagle. Zwracam się do proboszcza i pytam: „Ksiądz dobrodziej zapewne mówi o testamencie nieboszczki babki?“... — robię przytem chytrą minę, jakbym o wszystkiem lepiej wiedział od niego, — ale stary musi być kuty na wszystkie cztery nogi, bo oczy spuścił, ręce złożył na piersiach i powiada do mnie: „Ee, nie, my tu tylko tak z księdzem kanonikiem robiliśmy przypuszczenia; kto tam może wiedzieć, co stoi w testamencie!“... I zbył mnie niczem. Tak ja po rozum do głowy i przysuwam się do wikarego...

— No i cóż?... i cóż?... — wyrwało się niecierpliwie z ust barona, który aż poczerwieniał z ciekawości.

— Wikary, młody, rozmowny, sprytny, ale ostrożny. Zaczynam z nim z jednej beczki — nic, z drugiej — także nic, ani rusz, nie mogłem z niego nic wydobyć. Ciągle mnie zbywał niczem. Tyle mi po-

wiedział, że nieboszczka na restauracyę kościoła i podniesienie wieży, która jest za nizka, przeznaczyła fundusz, bo to wiedział niby od proboszcza. „A skądże proboszcz wie o tem?“... A wie, bo go wzywano na świadka przy spisywaniu testamentu. — Mój dziennikarski nos wystawiłem na cztery wiatry i zacząłem węszyć... Od służby dowiedziałem się, że nie jednego, ale dwóch rejentów sprowadzono z Warszawy, że drugim świadkiem był Krysiewicz, że babka porobiła jakieś ogromne zapisy na biednych ludzi i że Pniaczek wszystko musi wiedzieć najlepiej. Chciałem i jego zajść z boku, ale się nie dał. Arogant!... odwrócił się do mnie plecami i udał, że nie słyszy, kiedym go zagadnął wprost o fundacye, pod pozorem, iż mi te szczegóły będą potrzebne do nekrologu. Z tego jednak, com podsłuchał na pogrzebie, przed chwilą, wypadałoby wnosić, że stara chyba cały majątek zapisała na jakieś cele publiczne, filantropijne, czy licho wie jakie, a rodzinie figę!...

Baron się obruszył niecierpliwie.

— Myślałem, żeś pan dowiedział się coś dokładniejszego — rzekł.

— To trudno; mnie samemu jakoś nie wypada badać w tej sprawie wszystkich, zwłaszcza tu, na pogrzebie — usprawiedliwiał się Szuba — co wiem, to panu baronowi raportuję. Niema dymu bez ognia. W każdym razie pogłoski te są dla nas ważne; mogą być niejasne, przesadzone, ale każą nam się

mieć na baczności. Teraz pan baron . ze swojej strony musi przeprowadzić badanie; panu przecież przyjdzie to łatwiej ode mnie.

Czoło Phalerna zmarszczyło się i spochmurniało; stał zamyślony patrząc w ziemię i skubał brodę, w której z boku srebrzyły się już pojedyncze włosy siwe.

Opowiadanie Szuby sprawiło na nim wrażenie irytujące.

Zły był jakiś; te głuche pogłoski podziałały na niego, jak daleki grom, zwiastujący burzę, i zbudziły w nim znowu niepewność, która była dokuczliwszą od najgorszej pewności.

Rozmyślał nad tem, w jaki sposób możnaby najprędzej zbadać tajemnicę testamentu; to jedno zajmowało go i obchodziło najbardziej.

— Więc pan przypuszczasz, że pominęła nas zupełnie?... — odezwał się po chwili baron.

— Jakoś to tak wygląda z tego, co słyszałem.

— Toby było niemożliwe!...

— I ja tak sądzę; ale w takim razie skąd takie wieści?...

— No, ludzie lubią przesadzać w podobnych razach.

— Co najgorsza, że musimy na wykrycie prawdy czekać jeszcze. Z tych trzech żaden gęby nie otworzy. Krysiewicz milczy, jak ściana, Pniak nic nie powie i nie zdradzi się przed czasem, a ksiądz

choć się trochę wygadał, ale wszystkiego także nie wykrztusi.

— Tak, tak... trzeba czekać — mruknął baron przez zęby i niechętnem okiem spojrzał w stronę kościoła.

Nabożeństwo przeciągało się zbyt długo.

— Marudzą z tym pogrzebem! — szepnął — przed pierwszą się to zapewne nie skończy, prawda?...

— Tak się zdaje.

— Kiedy pan chcesz wracać do Warszawy?... moglibyśmy się razem zabrać.

— Jeśli pan baron łaskaw...

— Zanocujesz pan w Żołędziówce, a jutro rano pojedziemy pierwszym pociągiem.

Szuba skłonił się zadowolony.

Uśmiechała mu się wizyta u baronowstwa; wchodził w coraz bliższe stosunki z domem ich i uważał to sobie za wielki zaszczyt.

Baron wziął go pod ramię i poprowadził ku kościołowi, zawsze jeszcze rozmyślając nad tem, co usłyszał.

— Trzeba nam pokazać się w kościele — rzekł — może tam uda się czegoś więcej dowiedzieć. Próbój pan na swoją rękę, a ja na swoją...

Organy w tej chwili ucichły, bo na ambonę wszedł proboszcz i zabierał się do wygłoszenia mowy pogrzebowej.

Przejęty był widocznie do głębi swojem zadaniem; głos mu drżał z początku, w oczach miał

łzy, gdy począł opowiadać o stracie, jaką poniosła rodzina i społeczeństwo przez śmierć tak zacnej matrony, której żywot był wzorem cnót chrześcijańskich, pasmem dobrych uczynków, przykładem bojaźni Bożej i miłości bliźnich.

Mowa była prostą, bez frazesów, bez napuszystości oratorskiej, ale szczerą, gorącą i serdeczną.

— Jak wielką stratę ponieśliśmy wszyscy — kończył, przechylając się przez ambonę — nie potrzebuję wam tłómaczyć; dość wskazać na tę trumnę, w której spoczęła nieboszczka, aby oczy wasze łzami zaszły; dość wymienić jej imię, które w tylu wdzięcznych sercach zapisało się niestartemi głoskami, dość spojrzeć na tę bolejącą postać czcigodnego małżonka w żałobie, liczną rzeszę krewnych, powinowatych, przyjaciół i znajomych, którzy się tu zgromadzili, by ją odprowadzić do grobu na wieczny spoczynek. Ale żywot i uczynki ludzi prawdziwie dobrych sięgają jeszcze poza grób, bo schodząc ze świata, zostawiają po sobie pamięć, błogosławioną nieraz przez najdalsze pokolenia. Tak też i ta dobra pani, ta prawdziwa chrześcijanka, ta zacna matrona, odchodząc od nas na wieki, zostawia wspaniały pomnik, któremu dziwić się będą całe pokolenia i sławić jej imię i modlić się za jej anielską duszę. Nie wolno mi jeszcze, żałobni słuchacze, zdradzać przed czasem całej tajemnicy jej wielkomyślnych postanowień przed zgonem, ale tyle przynajmniej powiedzieć wam mogę, że maluczko,

a ze czcią i podziwem cały ogół wymawiać będzie nazwisko ś. p. Balbiny Krokowskiej, z zacnego Orszów rodu!... Z obowiązku kapłana, przy łożu dziedziczki i kollatorki naszej byłem świadkiem jej pojednania się z Bogiem i pożegnania ze światem. Stary jestem i prosty sługa kościoła, samemu mi już niedługo przyjdzie zejść także do grobu i śmierć dla mnie nie straszna, ani nie dziwna, ale bez łez nie mogę wspomnieć ostatnich chwil męczarni tej pani, która trzymając rękę małżonka w swych dłoniach, mówiła doń: „Nie płacz i nie wyrzekaj!... Bóg mnie zabierze, jednak duchem pozostanę przy tobie, aby cię wspierać odtąd w twoich działaniach. Zostań tu i żyj podwójnie dla bliźnich naszych, za siebie i za mnie, spełnij wszystko, czego mi już dopełnić samej nie dano, błogosław Boże tobie i naszym wspólnym zamiarom“. I Bóg Najwyższy pobłogosławi, ześle ukojenie i pociechę w tym wielkim żalu, jaki śmierć zadała. Amen.

Podniesione ku mówcy głowy pochyliły się pod znakiem krzyża i nastała cisza, przerywana westchnieniami i płaczem od kruchty kościelnej, gdzie się cisnął lud prosty i służba dworska.

Baron jeden stał z zaciętemi ustami i czołem pochmurnem.

Słowa księdza potwierdziły mu pogłoskę, złowioną czujnem uchem młodego Szuby.

Zakończenie mowy pogrzebowej sprawiło i na innych silne wrażenie; stanowiło ono niespodziankę,

która w danej chwili odwróciła całą uwagę słuchaczy od samego aktu żałobnego, od tej trumny, błyszczącej wśród świec zapalonych i zieleni, od tej złamanej bólem i rozpaczą postaci wdowca, ku któremu poprzednio kierowały się spojrzenia współczucia i litości.

Po kościele poszły szepty, spoglądano na siebie, w twarzach ożywionych przebijał się wyraz zaciekawienia i zajęcia.

Oczy zwracały się ku ambonie, na której z głową opartą o ręce złożone do modlitwy, klęczał stary proboszcz, zatopiony w kontemplacyi.

W kolatorskich ławkach stała baronowa z obiema córkami i jakimś niespokojnym wzrokiem szukała w tłumie męża, wyciągając szyję i zwracając głowę na wszystkie strony.

Na twarzy miała silne wypieki i ciemne smugi, jakby ją kto sadzą umalował; żałobna krepa długiego woalu ufarbowała ją w ten sposób, zwilżona łzami, które obficie wylewała przez cały czas pogrzebu.

Baron stał we drzwiach zakrystyi i widział to, ale unikał umyślnie oczu żony.

Usta zagryzał, brwi ściągał i z ponurą fizyognomią patrzał w srebrny krzyż, wyszywany na czarnem, sukiennem antypodyum ołtarza.

O kilka kroków klęczała cała rodzina Szubów, jak krzaczysta kępa, ponad którą chwiały się, niby

czarne łopuchy, żałobne kapelusze Szubiny i dziewczątek.

Pani Salomea przykucnęła na klęczkach, zgarbiła się, głowę pochyliła prawie do samej ziemi, jak kokosza pomiędzy pisklętami siedząca, i niby to zatopiona była w gorącej modlitwie, czytając z ogromnej książki, pełnej obrazków świętych, powkładanych litanii i przepisywanych modlitewek.

Obok niej, oparty łokciem, na jednem kolanie klęczał kochany Wenuś, z głową na bok przechyloną, z obłudnym wyrazem smutku i zamyślenia w twarzy; zdawał się być obojętnym na wszystko, ale dobrze słyszał mrukliwy szept żony, która go łokciem trącała o kolano podczas mowy proboszcza i zalękniona, rzucała z pod oka lisie spojrzenia na męża.

— A to co?... Wenuś, słyszałeś?... to nowina!... musimy się zaraz dowiedzieć, co to znaczy. Bój się Boga, ażem ścierpła cała!... Musisz pójść natychmiast do proboszcza i wyciągnąć od niego coś więcej. Patrzajno, jak baronowa poczerwieniała, jakby ją z ukropu wyjęli!...

Szeptała to potajemnie, ukradkiem, nadając sobie pozory modlitwy i bacząc pilnie, aby się nie zdradzić.

Wenuś tylko skinieniem głowy odpowiadał, ust nawet nie otwierając.

Możnaby było przysiądz, że żadna znikomość

ziemska w tej chwili nie zdołałaby go poruszyć i wyrwać z tej elegicznej zadumy.

Włodziński, zmieszany z tłumem, stał oparty o konfesyonał w głównej nawie kościoła i zdaleka wpatrywał się w zamyśloną twarzyczkę Leosi, która, jak alabastrowa kamea, bieliła się na ciemnem tle kolatorskiej ławy.

Tuż przy katafalku widać było Pniaka, stojącego w pobliżu Krokowskiego, który osunął się na klęcznik, głowę ujął w obie dłonie i tak nieruchomy, jak automat bez duszy, bez życia, pozostawał w jednej pozycyi.

Zgłuchnął, zamarł dla niego cały świat; nie widział, nie słyszał nic więcej dokoła siebie, ani księży śpiewających przy ostatniej ceremonii żałobnej, ani chłopów zabierających się do odstawiania świec i kwiatów, by trumnę na barkach swych dźwignąć znowu z katafalku i wynieść z kościoła, ani tej trumny czarnej nawet, w której spoczęła na wieki towarzyszka jego życia.

Ból go wyczerpał, obezwładnił, znieczulił już na wszystko i zmienił w jakąś bezduszną, apatyczną bryłę, którą trzeba było podpierać, prowadzić, raczej wlec na ten cmentarz, gdzie ostateczny miał być już kres krzyżowej drogi jego cierpienia.

Stawiał nogi, jak błędny, nieprzytomny męczennik, nad ktorym los się zlitował, odejmując mu świadomość sytuacyi.

Pozostał już do końca w tym stanie niepoczytalności, sprawiając wrażenie cichego obłąkania.

Spoglądano na niego, jak na widmo raczej, niż jak na żywego człowieka.

— On tego nie przeżyje!... — odzywały się pojedyncze głosy.

— Zabierzcie go do domu, niech wraca!... poco się ma męczyć jeszcze bardziej!

— Okropny widok!

— Zobaczycie, że on jeszcze dostanie pomieszania zmysłów.

— Może już dostał; przecież ma oczy zupełnie szklanne.

— Nieszczęśliwy człowiek!...

Pniak silnem ramieniem podtrzymywał go z jednej strony, Krysiewicz z drugiej.

Nie prowadzili go pod sam grobowiec murowany, tylko z boku przystanęli, czekając zakończenia ceremonii pogrzebowej; skoro trumnę spuszczono do lochu i zatrzaśnięto żelazne drzwiczki z łoskotem, widać było, jak instynktownie zadrżał na całem ciele, zgiął się w kolanach, oczy przymknął i z jękiem postąpił krok naprzód gwałtownym ruchem.

Zdawało się, że na tę jedną chwilę wróciła mu znowu przytomność i że ból go ocucił.

Pniak odwrócił się do otaczających go natrętnie kobiet i spokojnie, ale energicznie rzekł:

— Proszę się nie cisnąć!... tu nie widowisko przecież.

Potem do służącego szepnął:

— Powóz!

Za chwilę, przy pomocy Krysiewicza, wsadził nieszczęśliwego niemowę do powozu i usiadłszy przy nim, odjechał szybko z cmentarza.

Tłum z odkrytą głową przyglądał się w milczeniu tej scenie.

Młody Szuba, który stał właśnie obok baronowej, z wyrazem oburzenia odezwał się:

— Widziała pani baronowa?... siadł i pojechał z nim sam jeden!... to wyborne. Ależ on się tu rządzi, jakby nas wcale nie było!... Nie, ten pan Pniak jest paradny!

Baronowa nic na to nie odpowiedziała, nie słyszała nawet dobrze co do niej mówiono.

Szukała tylko oczyma Tonia, aby się nareszcie zbliżyć do niego i dowiedzieć, co myśli o tem wszystkiem.

Ceremonia pogrzebu była skończona; śpiewy duchownych i bractwa umilkły, księża przez głowy ściągali z siebie białe komże, składali stuły i gasili świece, zwijano chorągwie na cmentarzu, nakrywano głowy i odchodzono od zamkniętego grobowca, w którym spoczęła trumna nieboszczki.

Przy wrotach cmentarnych skupiły się baby wiejskie i zasłaniając sobie usta ręką, dziwiły się pojazdom i bryczkom, które zabierały żałobnych gości.

Od czasu do czasu jedna drugą łokciem trąciła

i wymówiła przekręcone nazwisko dziedzica lub dziedziczki z okolicy.

Dzieciaki, jak stadka gąsek, podbiegały do wychodzących księży, garnęły się do ręki i z przejęciem wielkiem ją całowały, cmokając głośno w powietrzu i ocierając sobie zaraz potem dłonią zadarte nosy.

W zmieszanym tłumie, który zalegał jeszcze cmentarz, odzywały się urywane rozmowy, westchnienia, słowa pożegnania; tu i ówdzie padł jakiś francuski wyraz z ust dam, w towarzystwie młodych panów snujących się po zarośniętych ścieżkach, pomiędzy zapadłymi grobami, na których pochylone krzyże z pordzewiałą blachą lub bez wszystkiego, sterczały z pod zwarzonej jesienią darni.

Lokaje w liberyi kręcili się, przeciskając przez tłum, by sprowadzić powozy swoich państwa, dziwnie odbijające swą wystawnością od tego skromnego tła przy wiejskim cmentarzyku.

Rozjeżdżano się na wszystkie strony, oddawszy ostatnią posługę zmarłej sąsiadce.

Część gości wszelako kierowała się w stronę plebanii, druga zaś wracała do pałacu.

Zaproszeni przez proboszcza księża z dziekanem na czele, zapełnili cały domek mieszkalny, w którym wrzało teraz, jak w ulu, i przez szyby widać było ciemne plamy czarnych sutanien, przesuwających się około długiego stołu, nakrytego białym obrusem.

Proboszcz swoich gości na obiad zaprosił.

W tym rozgardyaszu i zgiełku krzyżowały się zapytania i odpowiedzi, uwagi i wykrzykniki, które nie licowały już wcale z uroczystym i żałobnym nastrojem, jaki panował podczas pogrzebu.

Kilkanaście osób świeckich zmieszało się z gronem duchownych, a pomiędzy nimi wsunął się i Szuba, wysłany na zwiady przez żonę, która wraz z dziećmi zabrała się do dworu.

Próbował zasięgnąć języka u proboszcza, chociaż pora po temu była bardzo niestosowną; pragnął dowiedzieć się od niego bliższych jakichś szczegółów o owych zagadkowych rozporządzeniach zmarłej, które wszystkich tak zaintrygowały w kościele.

Niby to nieznacznie zachodził z rozmaitych stron i choć go ciekawość wielka paliła, nie umiał jednak nakierować rozmowy na przedmiot, który go najbardziej ze wszystkiego zajmował.

Proboszcz za dużo miał na głowie, jako gościnny gospodarz, krzątał się osobiście około pomieszczenia swoich gości i przygotowań do obiadu; chwilami tylko zatrzymywał się, rozpoczynając rozmowę to z tym, to z owym, aby ją przerywać raz po raz.

Szuba snuł się za nim z pokoju do pokoju, niecierpliwiąc się coraz bardziej, aż wreszcie upatrzył chwilę, gdy staruszek z zapaloną świecą schodził do piwnicy po jakiś odstały gąsiorek starki, którą chciał dziekana uraczyć, i nastręczył się sam z po-

mocą, byle tylko ułowić sposobność porozmawiania z księdzem na osobności, bez świadków.

Podjął się przyświecać mu do lochu i zeszedł z nim razem, ułożywszy sobie już zręczne zapytanie, na które jak haczykiem chciał zaczepić tajemnicę testamentu.

— Ach, ślicznie to dobrodziej pożegnał naszą nieboszczkę kochaną! — zaczął, unosząc się niby nad wymową proboszcza — tak serdecznie, tak poczciwie, tak wzruszająco!... Chciałem zaraz w imieniu rodziny podziękować dobrodziejowi za te słowa, tylko nie było sposobności.

Pochylił się do ramienia księdza, łypiąc swemi grubemi powiekami i pocałował go w rękaw.

Stali właśnie przed zamkniętemi na kłódkę drzwiami, które proboszcz otwierał dużym kluczem z drewnianą tabliczką na sznurku.

— Cóż znowu!... Cóż znowu!... — bronił się skromnie, ujęty tem pochlebstwem staruszek, oddając w powietrzu dobrodusznie pocałunek za pocałunek, potem spoważniał i, podnosząc klucz do góry, rzekł:

— Skargi, Skargi potrzeba było, aby godnie wygłosił jej cnoty! Po tem wszystkiem, co ona zrobiła, — świeć Panie nad jej duszą! — należała się jej nie moja mowa, ale pierwszego kaznodziei świata!...

Szubie oczy błysnęły ciekawością.

Świeca mu zadrżała w ręce, przybrał minę płaczliwą jednak i potakiwał:

— O! tak, tak!... dobrodziejka była!... to prawda, to święta prawda!... dużo też zapisała na kościół? — zagadnął księdza niby od niechcenia, wciągając go tym zwrotem zręcznym na temat, który miał od godziny na niecierpliwym języku.

Proboszcz głową potrząsnął.

— Ee!... co to znaczy, to kropla tylko!... — odparł, a zmieniając ton, w zaufaniu największem pochylił się do ucha Szuby i z wyrazem podziwu i najwyższego uznania, dodał:

— Przecież ona cały majątek zapisała na chwałę Bożą i pożytek bliźnich!...

Na Szubę poty uderzyły.

— Jakto?... jakto, cały majątek? — wyjąkał, uderzony, jak obuchem, tą wiadomością.

— A cały, cały, co do grosza! — zapalając się i przejmując tą myślą, powtórzył ksiądz, rozglądając się po piwnicy i szukając gąsiorka swego na półkach zakurzonych i pajęczyną osutych.

— Cały majątek?! — złamanym, głuchym, martwym jakimś głosem wyszepnął Szuba tonem niedowierzania, zgnębienia i zdziwienia zarazem.

— A tak, tak... będziecie o tem lada dzień słyszeli! — objaśniał go ksiądz w pośpiechu — jest w testamencie wszystko przecież opisane, wyliczone po szczególe, z motywami. A co za testament!... to tylko drukować, na podziw, na podziw!...

Szuba oniemiał.

— A... a... a dla rodziny nic? — zdobył się wreszcie na zapytanie, które mu ledwie przez gardło przeszło, tak był zalękniony i przybity tem, co usłyszał.

Proboszcz sięgnął po zakurzoną flaszkę, stojącą w samym kątku na półce.

— Alboż to rodzina potrzebuje? — rzekł. — Bogu dziękować, wszyscy mają z czego żyć i chleba im nie braknie. Ojoj!...

— Wszyscy, jak wszyscy — zaprzeczył Szuba, czerwony, zmieszany, przywalony tą hiobową wieścią — jest przecież linia uboższa, są... są nawet biedacy.

— No, o tych nieboszczka nie zapomniała!

— Nie zapomniała jednak?...

— A rozumie się.

Szubie twarz się nagle ożywiła.

— Bo... bo ja już myślałem, że nas pominęła zupełnie. Mojej żonie naprzykład, solennie obiecała pamiętać o naszych robakach; moja żona przecież z Omylińskich ..

Proboszcz oczy zmrużył i pod światło przyglądał się omszałej butelce.

— Czy to ona, czy nie ona?... — szeptał wątpliwie — wiem, że tu stała w kącie. Jeśli nie starka, to już Bóg raczy wiedzieć, co takiego!

Wziął parę flaszek pod pachę i zapominając o poprzedniej rozmowie, zwrócił się ku drzwiom.

— No, chodźmy, bo dziekan głodny i trzeba mu dać obiad.

Szuba zatrzymał go zlekka za ramię.

— Przepraszam, mój jegomościuniu, jeszcze słóweczko... Nie pamięta też jegomość, czy aby jest o nas wzmianka w testamencie? — spytał błagalnym jakimś tonem.

Ksiądz głowę przechylił na bok, jakby sobie chciał przypomnieć i po chwili namysłu rzekł:

— Zdaje mi się, że coś jest... ale na pewno nie wiem, bo tam tego dużo było i tak szczegółowo trudno spamiętać. To tylko panu dobrodziejowi mogę powiedzieć, że wszystko przypisała w dożywocie mężowi, a doktora swego zamianowała wykonawcą swojej ostatniej woli. Musisz dobrodziej z Pniakiem o tem pogadać, on będzie lepiej wiedział ode mnie, bo z biednego Krokowskiego pewnie nic nie wydobędziesz. Tam są rozmaite prawne zastrzeżenia, odnośniki, kodycyle, ale ja już głowy nie miałem do spamiętania. Przecież to trzy dni spisywano, bo biedaczce w trakcie tego pogarszało się kilka razy... Pniak, Pniak to wszystko będzie wiedział najlepiej!... Niechno dobrodziej pomoże mi jeszcze tę kłódkę założyć, o tak!... Bóg zapłać!... no, a teraz chodźmy na barszczyk z uszkami. Proszę z sobą!...

Szubie wszelako co innego siedziało teraz w głowie, niż barszcz; pomógł księdzu wygramolić się z piwnicy, świecę zgasił, odszukał swój kapelusz

i parasol, i nie wchodząc nawet do pokoju, wyszedł na dziedziniec, upatrzył jakąś bryczkę i kazał się odwieźć do dworu.

Wiedział rzecz najważniejszą co do zapisu i śpieszno mu było podzielić się z żoną.

Przez drogę uzupełniał domysłami niejasną wiadomość, której mu proboszcz w sprawie testamentu udzielił i mruczał pod nosem:

— Hm, hm!... to będzie bigos!... to jakaś po gmatwana historya! Fundacye, dożywocie, Pniak... Baron się wścieknie, bo pewnie im nic nie zapisała, a nam odczepnego z jakich kilkanaście tysięcy może... Żebym tylko wiedział, ile?...

Bryczka go trzęsła, podskakując po wybojach, ale nie czuł tego, zajęty swojemi myślami.

— Po sprawiedliwości — mówił sobie w dalszym ciągu — to możnaby się upomnieć nawet sądownie, boć po Omylińskim został majątek, którym nie miała prawa się rozporządzać. Ale chyba tego nie zrobiła... Zobaczymy, zobaczymy!... tymczasem nic jeszcze powiedzieć nie można, póki testamentu nie otworzą.

W Omylinie zastał jeszcze trochę gości pogrzebowych, którzy wrócili z cmentarza i podejmowani w pałacu, siedzieli właśnie przy stole.

Honory domu robił Krysiewicz w zastępstwie samego gospodarza, którego Pniak przywiózł nieprzytomnego i położył odrazu do łóżka.

Stan Krokowskiego był niepokojący; doktor nie

odstępował go ani na chwilę i nie wpuszczał nikogo do jego gabinetu, oprócz Lolusi, która pomagała mu cucić i doglądać biednego niemowę.

Stary Orsza siedział w swoim pokoju i nie chciał obiadować przy wspólnym stole.

Pomimo wzruszenia, natura domagała się w nim swoich praw: głodny był i zmęczony, więc w szlafroku i w pantoflach wygodnie umieścił się w dużym fotelu przy oknie, kazał sobie przystawić stoliczek i sam jeden jadł obiad, który mu lokaj przyniósł na tacy.

W zaczerwienionych oczach miał łzy, w twarzy wyraz frasobliwego smutku, głową potrząsał w zamyśleniu, ale szczękami poruszał i kładł w usta duże kawałki mięsa, spoglądając ponuro w talerz, który trzymał na kolanach.

Machinalnie, bezmyślnie spełniał tę funkcyę jedzenia, aby zadość uczynić głodnemu ciału i napełnić pusty żołądek, ale serce i duszę miał czem innem zajęte.

Odwracał głowę tylko i łypiąc powiekami, spoglądał z wielkiem zajęciem ku drzwiom, ilekroć stawała w nich wnuczka, która przynosiła mu wiadomości o Krokowskim.

— I cóż?... — pytał wtedy ze współczuciem — jakże tam?... ocuciliście biedaka?

Lolusia zaprzeczała ruchem głowy, z miną pochmurną i spoważniałą tak, że wydawała się zna-

cznie starszą z tym wyrazem troski i zamyślenia w twarzy.

Stary wzdychał i nie przestając jeść, powtarzał chrypliwym, rozrzewnionym głosem:

— Aj, Boże, Boże!...

Lolusia wpadała do niego na chwileczkę, ale znać było, że myślami zostaje tam, w tym zacisznym gabinecie od ogrodu, w którym Krokowskiego dozorował Pniak; pilno jej było powracać, więc pytała:

— Nie potrzeba tu dziadzi czego?...

I wracała znowu spiesznie na swoje stanowisko.

Baronowa z córkami czuła się z tego powodu urażoną, że jej nie dopuszczano tak samo do łoża wuja, jak odsuwano swego czasu od chorej ciotki.

Zabrała się też z mężem i odjechała do Żołędziówki, nie mogąc się powstrzymać, aby Krysiewiczowi nie powiedzieć na wyjezdnem:

— Nie chcę nikogo podejrzewać, ale mi się zdaje, że tu systematycznie odsuwacie swoich, mój panie Krysiewicz. Skoro wujaszek tylko przyjdzie do siebie, opowiem mu, jak go zabarykadowano przed najbliższą rodziną, że nawet dostąpić do niego nie można było.

Krysiewicz stał z głową zwieszoną, wpatrzony w ziemię i nie odezwał się ani jednem słowem, przyjmując z rezygnacyą tę pogróżkę.

Włodziński, który Leosię z Niną wsadzał do

drugiego powozu, na pożegnanie szepnął jej półgłosem:

— Zatem, do widzenia w Warszawie.

Podając jej rękę, uczuł, że mu ukradkiem wcisnęła białą astrę przy uścisku i wychylając się z powozu, rzekła z melancholijnym uśmieszkiem:

— Niech panu przypomni moje zaprosiny. Będę czekała!...

Skłonił się, a kiedy Jędruś z kozła cmoknął na konie i powóz szybko potoczył się ku bramie, poszedł w stronę ogrodu, ku pagórkowi wysadzonemu modrzewiem i stamtąd spoglądał długo na drogę, po której widać było dwa pojazdy baronowstwa, jeden za drugim mknące w stronę lasu.

W ręce trzymał astrę i zmięte jej listki wyprostowywał, uśmiechając się smutnie i złośliwie zarazem.

— Będę czekała — powtarzał w myślach — będę czekała...

Potem westchnął zlekka i jakby improwizował początek wiersza, który mu się w głowie układał, szepnął sam do siebie:

Niech cię, zwiędłe serce, świeży kwiat nie kusi,
Nie łudź się, że wiosna odrodzić cię musi;
Gaśnie w twojej duszy wiary gwiazdka blada,
Jesień chłodem dmucha, kwiat szczęścia opada...

Nasunął kapelusz na oczy i poszedł w stronę szpaleru, po którym dziś rano przechadzał się

z Leosią; miał jeszcze pół godziny czasu, zanim go na wieczorny pociąg do stacyi wyprawić miano.

Chodził i w wilgotnym piasku odszukiwał ślady bucików swojej towarzyszki, przypominając sobie prowadzoną z nią w tem miejscu rozmowę.

Co kilka kroków przystawał i uśmiechał się do siebie, myśląc:

— Czy ja, panie, nie jestem śmieszny?... zupełnie mi się studenckie czasy przypominają: w zanadrzu noszę kwiatki, panie, wiersze składam, rozmarzony jestem i sielankowo czuję się usposobiony. To wpływ wiejskiego powietrza i tego kwaśnego mleka, którem mnie Krysiewicz chciał uraczyć. Dalibóg, ciągle we mnie pokutuje stary romantyk w skórze dekadenta!... Szuba, panie, wyśmiałby mnie, gdyby teraz nie był przejęty zaszczytem, jaki mu pan baron zrobił, sadzając go, jak pinczera, na przedniem siedzeniu w swoim powozie. Jemu się pewnie zdaje w tej chwili, że jest co najmniej jakim hrabiczem, albo książątkiem *in partibus infidelium*.

Od strony pałacu coraz częściej słyszeć się dawał turkot i trzaskanie z bicza; zajeżdżały powozy i bryczki, zabierające gości, którzy spełniwszy obowiązek współczucia i towarzyskiej ceremonii, spieszyli się z powrotem do domu.

Słońce dogasało na zachodzie, wszesny zmrok rozpływał się po ziemi. W oknach pałacu zaczęły światła się ukazywać.

Około godziny szóstej wieczorem ostatnia bryczka zatoczyła się na dziedziniec i Włodziński ze starym Szubą — który po długiej naradzie z żoną, postanowił wyjechać do Warszawy, by jak najprędzej u rejenta dowiedzieć się o treści testamentu — pożegnali się z Krysiewiczem.

W pałacu na noc pozostał tylko stary Orsza z Lolusią.

Opustoszało wszystko, ucichło, zgłuchło, w przeciwstawieniu z ruchem, jaki tu w ciągu dnia panował.

Krokowski leżał w swoim gabinecie, pogrążony w dziwnym stanie odrętwienia.

Pniak nachylał się nad nim, badał puls, słuchał bicia serca i zastosowywał wszelkie możliwe środki, ażeby go do przytomności przywrócić.

Dwanaście długich godzin trwało to obezwładnienie, podobne do letargu.

Po północy po raz pierwszy chory westchnął, otworzył oczy i jęknął.

Doktor, który wyczerpany sam ze sił, siedział przy jego łóżku, zerwał się na równe nogi, a z drugiej strony, jak cień, wysunęła się czuwająca z wytrwałością siostry miłosierdzia Lolusia.

— Proszę o szklankę i krople, które stoją na stoliku — odezwał się Pniak.

Uniósł rozpaloną głowę chorego ostrożnie, delikatnie, powoli i przytknął mu do ust przygotowane lekarstwo.

Krokowski miał jeszcze zęby kurczowo zaciśnięte, ale odzyskiwał widocznie przytomność, bo otwierał oczy coraz szerzej i wpatrywał się w Pniaka, jakby się silił rozpoznać go w półcieniu, który zalegał pokój.

— Proszę, niech pan wypije choć kilka łyków — przemawiał do niego doktor — to pana orzeźwi!... niech pan spróbuje usta otworzyć. Poznaje mnie pan?... to ja jestem przy panu i panna Lola.

Lolusia uklękła przy łóżku i ujęła dłoń chorego.

Krokowski słuchał i zdawał się z trudnością jeszcze rozumieć, co do niego mówiono.

Namyślał się, jakby pracował całą siłą nad pochwyceniem tej umysłowej równowagi, która mu powoli wracała.

Odwrócił głowę o własnej mocy i przyglądał się cieniowi, jaki padał na ścianę.

Potem westchnął powtórnie jeszcze głębiej i rękę podniósł do skroni.

Pniak przytulił ucho do piersi jego i słuchał...

— I cóż? — szepnęła Lolusia.

— Uratujemy go! — odpowiedział energicznie doktor — niebezpieczeństwo minęło.

Łyżeczką podważył zaciśnięte szczęki i wlał mu w usta kilka kropel płynu, które chory z trudnością przełykał.

— Jakże się pan teraz czuje? — spytał po chwili.

Krokowski przymknął oczy i wskazał na głowę,

dając do zrozumienia na migi, że mu ból wielki dolega.

Pniak otoczył go swojem ramieniem i uniósł nieco na pościeli.

— Niech pani będzie łaskawa poprawić poduszki i podsunąć je więcej pod plecy — zwrócił się do Lolusi, która z gotowością posłusznej asystentki wypełniła polecenie.

— Tak, dziękuję; proszę teraz o synopizma... leżą tu obok na stoliku.

Podała mu je szybko, spiesząc się przytem i spoglądając mu w oczy, jakby z nich odgadnąć chciała myśli, których jeszcze nie wypowiedział.

Oprócz współczucia dla chorego i chęci niesienia mu pomocy, była nadto inna przyczyna tej gorliwości, z jaką krzątała się przy boku Pniaka; pragnęła mu być usłużną, sprawiało jej to przyjemność, że może być użyteczną, że wykonywa jego polecenia i z nim razem zajmuje się ratunkiem chorego.

Pochlebiało jej już to samo, iż jej jednej pozwolił pozostać przy sobie, że miał do niej zaufanie, że się do niej zwracał w ważniejszych chwilach i traktował ją tak, jak lekarz ordynujący traktuje swojego asystenta.

Przejęta była swoją rolą i tym obowiązkiem, nie tyle siostry miłosierdzia, ile pomocnicy doktora, dozorczyni chorych, studentki na klinice.

Ogarniało ją jakieś uczucie zadowolenia i dumy; byłaby się najchętniej zgodziła jak najdłużej po-

zostać w tym charakterze, byle ją doktor tylko przy sobie zatrzymał, byle mogła przy nim i z nim razem dzielić trudy te i zajęcia.

Spoglądała na niego z jakąś mieszaniną głębokiej życzliwości, szacunku i podziwu — spokój jego i energia imponowały jej.

Gotową była na wszystkie jego rozkazy, odgadując instynktownie jego życzenia i polecenia.

Odprawiła nawet służącego z pokoju, byle mogła sama jedna być mu we wszystkiem pomocną.

Przez ten cały czas czuwania przy łóżku Krokowskiego nie zamienili ze sobą prawie ani jednego słowa obojętnego; zdawało się, że poza jedynym celem ich uwagi i pieczołowitości reszta świata przestała istnieć zupełnie.

Dopiero odkąd stan chorego o tyle się poprawił, że niebezpieczeństwo jakichś poważniejszych komplikacyi, a może nawet katastrofy przestało zagrażać, uczuła jakby ulgę, odetchnęła swobodniej i naprężone nerwy jej sfolgowały.

— Uratujemy go!... — powiedział do niej Pniak z rozpogodzoną twarzą, z której zniknął ponury wyraz frasunku, zamyślenia i wytężonej uwagi.

Serce jej żywiej zabiło; w tych dwóch słowach było dla niej jakby przyznanie wspólnej zasługi i uczuła gorącą wdzięczność dla doktora za to, że ją niejako uprawnia do współdziałania ze sobą.

W pół godziny później po synopizmach polepszyło się jeszcze bardziej Krokowskiemu; umysł

mu się rozjaśniał — ów mętny, szklany wyraz oczu znikał, bolesny skurcz około ust wygładzał się i ustępował.

Pniak troskliwie pochylił się do niego i miękkim, przyjaznym głosem rzekł:

— Jakżeż?... lepiej panu teraz, prawda?... Trzeba wypocząć, trzeba oczy zamknąć i próbować zasnąć.

Krokowski objął go za szyję ramieniem i głowę przytulił do jego piersi, jak chore, zbiedzone dziecko; ciche, żałosne jęki wydobywały mu się z ust, a ta skarga niemowy wymowniejszą była od słów.

— No, niech się pan uspokoi, proszę... bardzo proszę. No, już, już...

Przyciskał go zlekka do siebie i przytrzymywał w objęciu, pomimo niewygodnej pozycyi.

Choremu zdawało się to ulgę sprawiać, uspokajał się i jakby czując przy sobie życzliwą duszę i opiekę, nabierał tej bolesnej rezygnacyi, która w cichych łzach i cichych westchnieniach się rozpływała.

— Usnął! — szepnął po długiej chwili doktor i ostrożnie złożył głowę chorego na poduszkach. Zwrócił się potem ku lampie, wyjął zegarek i rzekł:

— Trzecia już, niech i pani pójdzie wypocząć, panno Lolo; musisz pani być bardzo zmęczoną. Dobranoc pani!...

Podał jej rękę, którą ona ujęła w obie dłonie i uścisnęła z uczuciem.

— Pan jesteś dzielny człowiek! — wyrwało się jej z ust.

Spojrzał na nią, jakby zdziwiony temi słowy.

— O, tak! pan jesteś dobrą, dzielną, poczciwą duszą! — dodała szczerze, z głębokiem przekonaniem, nie wypuszczając jego ręki. — Pan umiesz być dobrym przyjacielem.

Patrzała mu przytem w oczy z zapałem uznania i życzliwości, a spojrzenie jej dopowiedziało mu resztę.

Skłonił głowę i uśmiechając się, odparł:

— Z pani jest entuzyastka, panno Lolo. Przeceniasz moje zasługi, a przecież spełnialiśmy razem nasze zadanie: ja z obowiązku, pani z dobrej woli. Ale teraz czas wypocząć, pójdź pani się położyć, kilka godzin snu pokrzepi siły. Nie trzeba zawiele sobie dowierzać.

— Pozwól mi pan tu zostać! — prosiła się, jak o łaskę.

— Kiedy to zbyteczne. Jutro rano znowu panią poproszę o pomoc. Na dzisiaj dość.

Wziął ją za rękę i poprowadził opierającą się jeszcze ku drzwiom.

— Dziękuję panu, dziękuję! — jak najciszej szeptała do niego jeszcze we drzwiach — to taka rozkosz czuć, że się może być użyteczną. Jakoś przy panu mogłabym tak czuwać nieustannie bez zmęczenia!...

Uścisnął raz jeszcze jej drżącą nerwowo i rozpaloną rękę, podał jej lichtarz ze świecą zapaloną

i wyprowadził przez salon przyboczny na kurytarz, a sam następnie wrócił do gabinetu.

Spojrzał jeszcze na Krokowskiego, aby się przekonać, czy śpi, przyćmił nieco lampę i usiadł w fotelu, by resztę nocy spędzić przy chorym.

Na drugi dzień słońce było już wysoko, gdy się przebudził.

Krokowski leżał na wznak, z oczyma nawpół otwartemi, ręce trzymał na pościeli złożone, jak do modlitwy, blady był i zmieniony, ale spokojny i jakby zatopiony w rozmyślaniu; zdawał się nie uważać wcale obecności doktora.

Pniak pozostawił go w tym stanie, zbadawszy tylko puls i dotknąwszy jego czoła ręką.

Wyszedł z pokoju, aby się po nocy, spędzonej w fotelu, umyć i przebrać.

Dzień zapowiadał się pogodny, ale jesienny chłód wiał w powietrzu i na drzewach znać było ślady szronu, który niby białą bawełną obdzierzgał gałęzie podczas nocy.

Pomimo tak wczesnej pory, Krysiewicz w krótkiej lisiurze i w butach z cholewami, wracał właśnie z najdalszego już folwarku i szedł dowiedzieć się od doktora o zdrowie dziedzica.

— Jakżeż tam, hm?... nie będzie nowego nieszczęścia? — spytał swoim mrukliwym, ucinkowym tonem, spoglądając badawczo Pniakowi w oczy.

Doktor przecierał okulary i zdawał się ociągać przez chwilę z odpowiedzią.

— Nie powinno być źle... — odparł wymijająco.

— Ale jak jest?...

— Ha! no, jest nieszczególnie, ale przynajmniej niebezpieczeństwa niema. Boję się tylko, żeby się melancholia nie przyplątała. Zanadto mi apatycznie wygląda. Ciało wytrzyma, ale umysł nie zawsze znosi takie wstrząśnienia.

Krysiewicz nastroszył brwi i wąsy, sposępniał i zadumał się.

— Niechże Bóg broni! — rzekł po chwili — toć to gorsze od śmierci... Trzeba ratować, nie dopuścić!...

— A no, trzeba, to się rozumie. Na teraz najważniejsza rzecz spokój i podtrzymanie sił. Ostatnie dni wycieńczyły go bardzo, za dużo przeszedł w tych czasach, a organizm wątły...

— Biedne panisko! — westchnął rządca i zabierał się do wyjścia, przy drzwiach jednak przystanął i z wyrazem zakłopotania zaczął:

— Ale, ale... trzeba co zrobić z tym młynarzem...

Pniak czoło zmarszczył.

— Bo co?...

— A no, bo gębę sobie za bardzo rozpuszcza... Podobno pił znowu całą noc w karczmie i wymyślał na czem świat stoi.

— Na mnie?

— A podobno; odgrażał się, że... ludzie mi tam ze wsi mówili... może i prawda.

— Że mnie uśmierci, tak?...

— A tak; doktor już wiesz o tem?...

— Wiem, bo mi to wczoraj w oczy powiedział po pijanemu, kiedym mu zabronił szwendać się około pałacu i cisnąć do trumny.

Krysiewicz głową pokręcił.

— Miły taki szwagierek!...

— Cóż robić!... gdy się prześpi, to go i pasya ominie. Nie może mi wybaczyć, że go z panami na równi nie traktuję; teraz będzie jeszcze więcej wymagający, przewiduję to, ale się nie dam!

— Możeby jednak dobrze było z nim pogadać i zatkać mu czem gębę?... — radził rządca.

Doktor zaprzeczył ruchem głowy.

— To najgorsze; chciwy jest, będzie się napierał jeszcze bardziej. Zresztą, nie mam czasu się nim zajmować.

— Żeby tylko...

Skubnął wąsa z jednej strony i nie dopowiedziawszy reszty, wyszedł.

Pniak zabrał się do pisania listów; musiał uwiadomić dyrektora cukrowni, że przez dni kilka nie będzie mógł przybyć do fabryki, zatrzymany chorobą Krokowskiego w Omylinie.

Drugi list wystosował do rejenta Lipowskiego w Warszawie, polecając mu złożyć testament nieboszczki w sądzie.

Około godziny dziesiątej zaturkotał powóz pod pałacowym podjazdem i w długiem palcie podróż-

nem wysiadł z niego niespodzianie baron, a za nim wyskoczył młody Szuba.

W Żołędziówce pożyczono mu pled na drogę, ale poranny chłód przeniknął go do kości, bo nieprzyzwyczajony do wiejskiej aury, zziąbł w drodze i dzwonił zębami, nadrabiając miną przy posiniałym nosie i policzkach wyszczypanych jesiennym wiatrem w polu.

— Cóż tu u was słychać? — spytał w progu Phalern służącego — jak się pan miewa?

— Trochę lepiej.

— Pan doktor jest u pana, czy u siebie?...

— U siebie; zaraz zobaczę.

— Poproś go do mnie na chwilę.

Służący poszedł na górę, a baron ze swoim towarzyszem, nie rozbierając się, wszedł do stołowego pokoju.

— Zobaczymy, czy się to na co przyda — rzekł półgłosem do Szuby. — Przyprzemy go do muru i chyba mnie nie będzie śmiał odmówić informacyi.

— No, spodziewam się! — potwierdził młodzieniec, rozcierając sobie skostniałe ręce w żałobnych rękawiczkach, które od wczoraj jeszcze nosił.

— A będzie się upierał, to i tak zdążymy jeszcze na pociąg do Warszawy.

— A naturalnie.

Lokaj powrócił w tej chwili z oznajmieniem, iż pan konsyliarz przeprasza, że służyć zaraz nie może, bo się właśnie ubiera, ale jeżeli pan baron

łaskaw pofatygować się na górę, to pan doktor każe prosić do siebie.

— Słyszałeś pan? — zwrócił się pan baron dotknięty tą propozycyą do Szuby. — Jak się to panu podoba?...

— Oburzające!

— Ja mam się fatygować do niego!... no, no!... zaczynają mu rogi wyrastać.

— Ananas! — szepnął szyderczo Szuba i uśmiechnął się pogardliwie. — I pójdzie pan barón?

— Czy ja wiem!

Przez chwilę siedział niezdecydowany i zły, ale się rozmyślił, że może lepiej będzie od początku nie zadzierać z człowiekiem, który miał być wykonawcą tajemniczego testamentu nieboszczki, więc zrzucając z siebie palto, które mu ciążyło i krępowało swobodę ruchów, poszedł nagle ku drzwiom ze słowami:

— Ostatecznie pójdę, ale mu powiem kilka słówek przyjemnych, które go nauczą grzeczności. Dureń jakiś!...

Pniak spiesznie wdziewał właśnie kamizelkę, gdy do drzwi jego dało się słyszeć dość głośne i szorstkie pukanie.

— Proszę wejść! — zawołał, domyślając się gościa, który w taki sposób się zapowiadał.

Baron wszedł z butną miną i ze słowami na ustach:

— Ależ do pana trudniej się dostać, niż do ministra na audyencyę!...

Pniak powitał go grzecznem, ale zimnem skinieniem głowy i odrzekł:

— Dostać się bardzo łatwo do mnie, bo drzwi mam dla wszystkich otwarte, tylko dostać mnie samego, chciał pan baron zapewne powiedzieć, trochę trudniej, zwłaszcza gdy jestem jeszcze bez surduta, za co najmocniej przepraszam.

Wdział szybko surdut i wskazał gościowi krzesło.

— Czemże mogę służyć panu baronowi?

Phalern z tłumioną irytacyą rzucił się na fotel obok stojący i rozpierając się w nim niedbale, zaczął wprost tonem wyrzutu:

— Pokręciliście tu wszystko tak, że się końców dorwać nie można; ani z kim pogadać, ani się od kogo prawdy dowiedzieć, ani poinformować!... szlabany, barykady stawiacie dla najbliższej rodziny, jakbyście Krokowskich w niewolę wzięli.

Pniak zagryzł lekko usta i spytał:

— Co pan baron chcesz przez to powiedzieć?...

— No, bo jakże! przez czas całej choroby nieboszczki nie dawaliście jakby z umysłu do niej dostępu, a teraz znów to samo się powtarza z wujem!... Przyznam się panu, że nie rozumiem takiego postępowania, a nie chcę domyślać się celów...

Doktor chrząknął, jakby mu co w gardle stanęło, a z poza okularów rzucił baronowi bardzo wymo-

wne spojrzenie, ale z wymuszonym spokojem dał mu jeszcze następującą odpowiedź:

— Nie wiem, jak daleko w tym względzie posunęłaby się domyślność pana barona, ale śmiem ją uprzedzić wyjaśnieniem, że stan nieboszczki, bardzo groźny od chwili powrotu do Omylina, wymagał największej troskliwości, kazał oszczędzać jej wszelkich wzruszeń, wstrząśnień i wysiłków, aby nie przyspieszyć przewidywanej katastrofy. Zresztą decydowała w tem i sama wola chorej, która nie chciała przyjmować nikogo, bo ją wszelkie odwiedziny i dłuższe rozmowy zanadto męczyły i wyczerpywały.

— Ale trzy dni spisywać testament i naradzać się nad nim jakoś jej nie męczyło! — przerwał szyderczo baron.

Doktor udając, że nie zrozumiał ukrytej aluzyi jego, odparł:

— To właśnie dowód, panie baronie, że siły jej nie pozwalały załatwić się jednego dnia z tą sprawą i trzeba było tę czynność kilkakrotnie przerywać... Co się zaś tyczy pana Krokowskiego, moralne wstrząśnienia, którym uległ, sprowadziły niebezpieczeństwo bardzo groźne, dzisiaj na szczęście usunięte, ale wymagające bezwzględnego spokoju przez jakiś czas, zanim organizm powróci do równowagi i siły pozwolą mu zajmować się czemkolwiek. Oto jest wyjaśnienie, które jako doktor, odpowiedzialny w tych dwóch wypadkach nie za samo zdrowie,

ale i życie swoich pacyentów, udzielić panu baronowi powinienem. Mogę ustąpić w każdej chwili moje miejsce komu innemu, lecz dopóki czuwam przy łożu chorego, obowiązek mój nakazuje mi tak postępować, jak postępowałem dotychczas.

Baron odsapnął głęboko i wydąwszy pogardliwie usta, rzekł:

— Przypuśćmy, że tak jest; nie myślę o to spierać się teraz z panem, ale w takim razie jesteś pan tutaj panem sytuacyi na razie, bo trzymasz w ręku nietylko życie samego wuja, ale i ostatnią wolę nieboszczki ciotki. Dowiedziałem się, że podobno masz pan być wykonawcą jej testamentu?... czy tak?...

Doktor skłonił głowę.

— Nieboszczka zaszczyciła mnie tem zaufaniem.

Phalern uśmiechnął się złośliwie.

— Aha!... więc ludzie prawdę mówili. Powiedz-że mi pan zatem, o ile prawdziwe są pogłoski o jej rozporządzeniach majątkowych. Pod tym względem krążą najpotworniejsze bajki, którym mi się wierzyć nie chce. Mówią o jakichś fundacyach publicznych, o przeznaczeniu całego majątku na cele humanitarne i filantropijne, z pominięciem najbliższej rodziny. Co to wszystko ma znaczyć?... hm?...

Wyjął swą srebrną papierośnicę i niby z lekceważeniem zapalił papierosa, puszczając z dymem wyraz:

— Brednie!... co?...

Pniak stał oparty o stół z oczyma spuszczonemi w ziemię i zdawał się namyślać nad odpowiedzią.

— Czy i w tym względzie dyskrecya pańska nie pozwala mi dać żadnych objaśnień? — zagadnął go po chwili wyczekiwania baron.

Doktor wzruszył ramionami i rzekł:

— Niestety, panie baronie, przed otwarciem urzędowem testamentu nie czuję się upoważnionym do zdradzania prywatnie jego tajemnicy.

— Dlaczego?... za kilka dni tajemnica ta będzie sądownie opublikowaną... Masz pan w tem chyba jakiś osobliwy powód, aby mi odmawiać odpowiedzi?...

— Bynajmniej. .

— A zatem...

— Testament został złożony u rejenta, a jutro zapewne zostanie wręczony prezesowi sądu i po dokonaniu wszelkich formalności będzie publicznie ogłoszony.

— Wiem o tem, ale spodziewam się po pańskiej uprzejmości, że mi nie każesz wyczekiwać tego urzędowego terminu. Chciałbym przynajmniej wiedzieć to, co mnie najbliżej obchodzić może, a mianowicie, czego się my, to jest moja żona i ja, jako najbliżsi spadkobiercy, spodziewać mamy?... Powiedz mi pan przynajmniej, jaki jest zapis na nasze imię!...

Pniak milczał.

— Tyle przecież uczynić pan możesz, nie sprze-

niewierzając się swoim obowiązkom, a czyniąc zadość moim prawom, jako członka rodziny — mówił dalej Phalern tonem grzeczniejszym i bardziej umiarkowanym. — Ileż nam zapisała?...

Doktor skubał spokojnie swoją brodę, jak gdyby wytrzymywał umyślnie na próbę ciekawość barona i obojętnie, lakonicznie wymówił tylko jeden wyraz:

— Nic.

— Co?!... — wrzasnął baron i poczerwieniał w jednej chwili, jak gdyby go ukropem zlano — nic?!...

Rzucił się naprzód całem ciałem, zgniótłszy w palcach trzymanego papierosa.

Pniak nie poruszył się z miejsca, nie zmienił pozy i tym samym spokojnym, obojętnym głosem powoli dodał:

— Nic, oprócz umorzenia sum, które państwo zostaliście dłużni nieboszczce do chwili jej śmierci.

— To być nie może!... — zawołał Phalern z oczyma iskrzącemi, podnosząc się, jak na sprężynie z fotelu — pan sobie ze mnie żartujesz!... Przyznam się, że chwila bardzo niestosowna do żartów!...

— Niestety, nie, panie baronie; mówię, jak jest. Zresztą przekonasz się pan baron sam o tem w krótkim czasie.

Baron oniemiał na chwilę; stał, badawczem okiem mierząc doktora od stóp do głowy, w twarzy jego

malowało się oburzenie, niedowierzanie, gniew i groźba jakaś.

Zdawało się, że wybuchnie i zaklnie gwałtownie.

To, co usłyszał, spadło nań jak pięść, jak policzek, jak maczuga niespodzianie i ogłuszyło go.

— Ależ... ależ... — zaczął zdyszany, jak gdyby w największym pędzie zbiegł ze szczytu wysokiej góry; szczęki mu drżały i około ust nerwowe drgania fałdowały policzki. — To niepodobna! to niemożliwe!... pan się mylisz!... Nie mogła tego uczynić!...

Doktor powtórnie zmieszał go jednym tylko wyrazem:

— Dlaczego?...

— Dlatego... dlatego, że... że...

Przetarł ręką czoło i odetchnął głęboko.

— Że przyrzekła najwyraźniej mojej żonie pamiętać o nas! — wyrzucił wreszcie z ust skrzywionych kurczowo z miną impetyka.

— I pamiętała — odparł Pniak, przypatrując się obojętnie tym zmianom fizyognomii barona — umorzyła przecież wszystkie swoje pretensye do państwa. Ogólna suma byłaby nawet dosyć znaczna z dawniejszemi zaległościami...

Baron rzucił mu gniewne spojrzenie i urażony, poruszył się gwałtownie.

— Pozwoli pan, że z panem tego obliczać nie będę — przerwał z butą i pasyą.

— Owszem, panie baronie — odezwał się Pniak

zawsze tym samym tonem — przy wykonaniu testamentu będę zmuszony wchodzić i w te szczegóły.

Baron zmrużył oczy i wyniośle popatrzał przez ramię na niego.

— To jeszcze kwestya — rzekł z pogróżką w zdławionym głosie. — Zobaczymy, co jest w testamencie i czy rozporządzenia opętanej fiksatki będą miały jakie prawne znaczenie!

Z kolei Pniak drgnął niecierpliwie i spojrzał na barona wzrokiem surowym i karcącym.

— *De mortuis aut nihil, aut bene* — przypomniał mu, stając w obronie zmarłej.

Ale baron tracił do reszty panowanie nad sobą.

— Schowaj pan swoją łacinę dla kogo innego! — ofuknął go, nie posiadając się z oburzenia — ja pańskich nauk nie potrzebuję... wiem, co mówię. Nie sądź pan, że jestem tak w ciemię bity, abym nie odgadł tego, co jest jasne, jak słońce. Wiem ja dobrze, czyje to doktrynerstwo wpłynęło na nieboszczkę przy układaniu takiego testamentu, ale niedoczekanie wasze tryumfować z krzywdą rodziny!... Rozumiem teraz, dlaczego tak skwapliwie pilnowano nieboszczki, aby się do niej nikt nie dostał przed śmiercią, dlaczego się z nią zamykano sam na sam i trzymano nas wszystkich zdaleka!... rozumiem dobrze.

Zgrzytnął zębami i mruknął coś niezrozumiałego pod nosem.

Pniak z szyderczym uśmiechem słuchał tego wszystkiego i z pogardliwem politowaniem patrzał na zaperzonego barona, którego ubliżających insynuacyi nie uważał nawet za godne odpierać.

Poczucie własnej godności nie pozwoliło mu odzywać się do człowieka, którego zawiedzione nadzieje i strata spodziewanych korzyści do tego stopnia wyprowadzały z równowagi.

Od dawna dla całej rodziny baronowstwa nie czuł ani sympatyi, ani szacunku; miał do nich nawet jakąś instynktową odrazę, znając ich interesowność i taktykę samolubnych wyzyskiwaczy.

Nie dbał przeto o opinię barona i nie czuł się dotkniętym jego podejrzeniami; pozwolił mu ciskać się i pienić z tą wyższością natury silnej i prawej, która sobie nie ma nic do wyrzucenia.

Przejrzał go jednak na wylot w tej chwili i zmiarkował, z kim będzie miał do czynienia.

Wściekłość barona nie liczyła się ze słowami, a w słowach tych brzmiała zbyt wyraźna pogróżka na przyszłość i zapowiedź walki.

Stał w milczeniu, wytrzymując wzrokiem barona, w którym przeczuwał odtąd zawziętego przeciwnika, który w środkach przebierać nie będzie i nie zawaha się przed niczem, aby zwalić testament i unicestwić ostatnią wolę „opętanej fiksatki“, za której trumną wczoraj jeszcze w grubej żałobie szedł, przekonany, że weźmie za tę fatygę sowitą nagrodę.

Stał i rozmyślał, jakby obliczając się z siłami, czy podoła tej walce z przewrotnością i złą wolą, z chciwością i brutalną napaścią, czy potrafi bronić się na stanowisku, na którem go zaufanie nieboszczki i wiara w niego postawiły.

Testament jej uważał za dzieło wielkiego serca i umysłu, za wspaniałą ofiarę, złożoną na ołtarzu dobra publicznego, za czyn wyższego natchnienia, który mógł dzielnie podeprzeć humanitarne i społeczne cele, stanowiące dlań umiłowany i w duszy ze czcią chowany ideał.

Miał być stróżem tej ogromnej fortuny, którą hojna pani oddawała po swojej śmierci na pożytek ogółu, czyniąc jedynie dożywotnikiem swojego męża, aby mu obowiązkiem wykonywania jej woli zapełnić pustkę wdowieństwa i stworzyć nowy cel w jego życiu, gdy się znajdzie samotnym obok jej mogiły.

Zadanie to ciężkie, lecz ważne, przyjmował z całą świadomością na siebie, bo zbudziła się w nim chęć do wypełnienia własnego życia, życia użytecznej jednostki — jakąś pracą wielką i owocną w skutkach dla dobra ogółu.

Wiedział, co go czeka i zdawał sobie dobrze sprawę z odpowiedzialności, którą na siebie przyjmował, bo jakkolwiek przydany był tylko Krokowskiemu do pomocy z woli nieboszczki, przewidywał dobrze, że cały ciężar obowiązku w wyko-

naniu obszernych fundacyi będzie musiał wziąć sam na swoje barki.

Ale nie uląkł się tego i teraz, gdy w baronie błysnęła mu groźna zapowiedź walki, z której trzeba było wyjść zwycięzcą w obronie słusznej sprawy; niebezpieczeństwo to podrażniło go, obudziło w nim jakąś bohaterską energię zapaśnika, który czuje swój obowiązek.

Wyprostował się, podniósł głowę i przerywając Phalernowi potok coraz dotkliwszych zarzutów, spytał z godnością:

— Czy pan baron nie ma mi nic innego więcej do powiedzenia?...

Baron wzrokiem bazyliszka obrzucił go od stóp do głowy i zdyszanym głosem odparł:

— Tymczasem nic, a reszty dowiesz się pan, panie totumfacki, po urzędowem otwarciu testamentu!..

I szybko wyszedł z pokoju, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Pniak otrząsnął się, jakby się pozbył płazu, który po nim pełzał, zacisnął ręce i ściągnąwszy brwi, szepnął z pogardą:

— Szubrawiec!...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

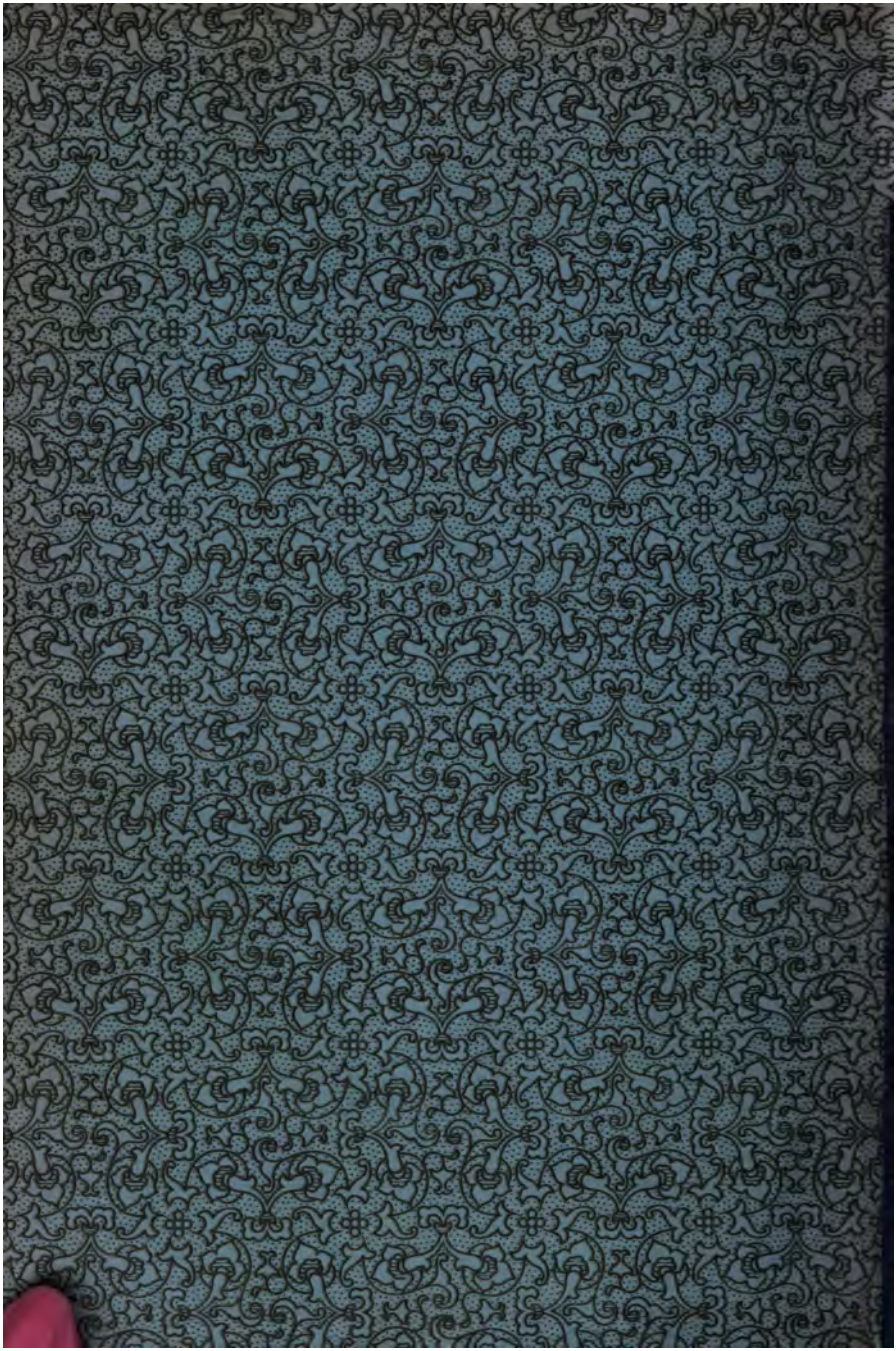

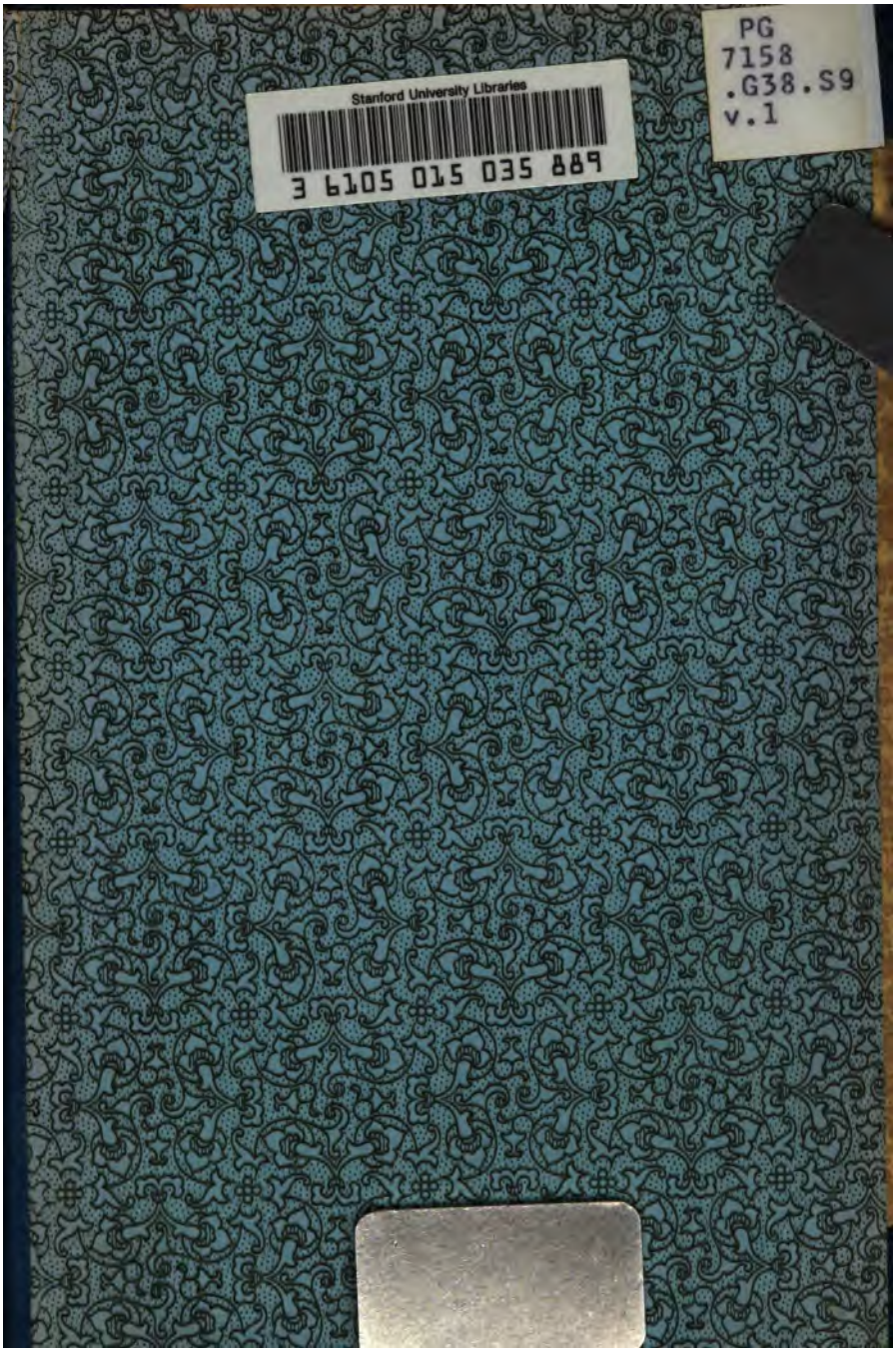
Stanford University Libraries
3 6105 015 035 889
PG
7158
.G38.S9
v.1